

 HARLEQUIN[®]

ROMANS
HISTORYCZNY



BRONWYN
SCOTT

Zamorska posiadłość

Bronwyn Scott

Zamorska posiadłość

Tłumaczenie
Barbara Ert-Eberdt

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bridgetown, Barbados – początek maja, 1835

Ren Dryden miał wyrobione zdanie na temat męskiej natury. Uważał, że prawdziwy mężczyzna jest na tyle mądry, by nie uciekać przed kłopotami, tylko stawić im czoła, ani nie jest na tyle głupi, żeby nie dostrzec swoich szans i możliwości. Uznał, że oto właśnie w jego życiu pojawiła się wyjątkowa szansa. Z tego powodu spędził dwa tygodnie na statku pocztowym „Furia”, na którego pokładzie przepłynął Atlantyk. Pozostawił za sobą świat, w którym wszystko było aż do znudzenia znajome. Ren był ciekaw czekającej go niebezpiecznej przygody i nie bał się zmierzenia z morzem. Nie lękał się też nieznanymi wyzwań, czekających go na lądzie, na którym za chwilę postawi stopę. Wreszcie będzie mógł działać.

Wyskoczył z szalupy, którą pokonał odległość dzielącą cumujący statek od brzegu, rzucił marynarzowi monetę i stanął na nabrzeżu w Bridgetown, mile zaskoczony gorączkową krzątaniną w porcie. Karaiby! Ojczyzna rumu, ład ryzyka. Wszystko tu było kolorowe. Ludzie, owoce, niebo, morze. Czuło się zapach cytrusów i ludzkiego potu. Ciepłe powietrze owiewało mu twarz. Dzisiejszy dzień oznaczał początek nowego życia, które sobie wybrał i którym pokieruje, w odróżnieniu od egzystencji, na jaką skazywały go kaprysy poprzednich generacji rodu Drydenów.

W Londynie znalazłoby się mnóstwo osób, które orzekłyby, że Ren ucieka od problemów. Ich lista była długa i nie do zlekceważenia. Poczesne miejsce zajmowała na niej rodzina usiłująca nakłonić go do spełnienia „obowiązku dynastycznego”, jak to nazwała, czyli poślubienia pewnej bogatej dziedziczki z Yorku, panny o niezbyt bystrym spojrzeniu i odstręczająco ziemistej cerze. Trudni do zniesienia stali się również wierzycciele rozzuchwaleni do tego stopnia, że ścigali Rena po całym mieście, nie wahając się czatować pod wejściem do ekskluzywnego klubu, którego był członkiem.

Wielu spośród jego znajomych ugięłoby się wobec konieczności i poprowadziło do ołtarza majątną dziedziczkę, uregulowało długi i spędziło resztę życia, zaciągając w szalonym tempie nowe zobowiązania, które musieliby spłacać z takim samym poświęceniem ich synowie. Ren wcześniej poprzysiągł sobie, że kiedy dożyje wieku męskiego, nie stanie się niewolnikiem przeszłości.

Z przerażeniem uzmysłowił sobie, że jego znajomi nie tylko byliby gotowi ugiąć się przed koniecznością, a wręcz woleliby się ugiąć, niż zabiegać o wolność. Wiadomo, lepsze zło znane od nieznanego. Ren to rozumiał i im współczuł, jednak zdecydowanie nie zaliczał się do konformistów ani oportunistów.

Na pierwszy rzut oka nie różnił się od mężczyzn ze swojej sfery ani sposobem ubierania się, ani upodobaniem do klubowego życia czy manierami. Jednak w głębi ducha był inny. Buntował się przeciwko ograniczeniom ze strony rzeczy i ludzi, przeciw wymogom i oczekiwaniom grupy społecznej, do której przynależał, a także

stanowczo nie godził się na wcielenie się w obowiązujący i zdaniem ogółu pożądany ideał dżentelmena.

Temu buntowi nadał realny kształt, przybywając na Barbados. Uwolnił się z więzów, którymi chciała skrępować go rodzina i sfera, lecz nie bez konieczności zapłacenia pewnej ceny. Wolność kosztuje. Jeśli zaplanowane przedsięwzięcie się nie powiedzie, nie tylko on poniesie przykre konsekwencje, ale również matka podupadła na zdrowiu po śmierci ojca, dwie siostry, jedna oczekująca debiutu, druga zaręczona, lecz wciąż niezamężna, i wreszcie trzynastoletni Teddy, młodszy brat, który wraz z tytułem hrabiowskim odziedziczy zadłużone włości.

Ren zacisnął dłoń na rączce walizki, którą zabrał do szalupy. Nie zostawił jej na statku, nie chciał bowiem, by przetransportowano ją na ląd wraz z kuframi. W walizce znajdowały się dokumenty gwarantujące jego przyszłość: list polecający oraz kopia testamentu kuzyna Alberta Merrimore'a. Na mocy tego dokumentu miał odziedziczyć pięćdziesiąt jeden procent udziałów w plantacji cukru, dających mu prawo decydującego głosu.

Naturalnie, będzie musiał ułożyć się z pozostałymi udziałowcami, ale praktycznie plantacja przejdzie pod jego kontrolę, a on na pewno nie zawiedzie. Chociaż to niezwykle jak na dżentelmena z jego sfery, Ren poznał tajniki handlu, po cichu inwestował na giełdzie, brał udział w sprowadzaniu towarów z zagranicy. Poza tym przysłuchiwał się debatom w parlamencie i był aktywny w kołach politycznych Londynu, a na Barbados przybył wyposażony w pewną wiedzę o tym klejnocie brytyjskiej korony. Obiecał sobie, że będzie pracował na uczciwy zysk, i aby go osiągnąć, przyzwyczaję zapłaci ludziom za robotę. Nie wzbogaci się, wyciskając z innych ostatnie poty. Nawet zdesperowany człowiek nie powinien zapominać o etyce.

- Ahoj, Dryden, to ty?

Z tłumu wyłonił się wysoki, śniady mężczyzna z wypłowiałymi od słońca włosami. W pierwszej chwili Ren go nie rozpoznał, ale ten głos nieomylnie należał do jego niegdyś najlepszego przyjaciela. Wcześniejszym statkiem pocztowym wysłał do niego list, w którym uprzedzał o swoim przyjeździe, nie miał jednak szansy doczekać się odpowiedzi. Pomyślał, że szacowni członkowie londyńskiej socjety padliby na apopleksję, widząc tego dawnego bywalca salonów. Niewiarygodne, co karaibskie słońce zrobiło z jego ciemnoblonde włosami i jasną karnacją.

- Kitt Sherard! - zawołał Ren, szeroko się uśmiechając. - Nie byłem pewny, czy przyjdiesz.

- Jasne, że nie zostawiłbym cię bez pomocy w dokach. - Kitt uściskał mocno Rena. - Ile to już lat? Pięć?

- Pięć długich lat. Jak ty wyglądasz, Kitt! Najwyraźniej pobyt na Barbados ci służy.

Ren wciąż nie mógł się nadziwić transformacji przyjaciela. Już w Anglii Kitt krył w sercu pewną dzikość, która na Barbados się ujawniła. Wypłowiałe włosy były długie, luźne ubranie przypominało odzienie krzątających się w dokach ludzi i zdecydowanie odbiegało od spodni i surduta, noszonych przez Rena. Natomiast oczy Kitta były wciąż takie same: bystre i niebieskie jak morze. Renowi sprawiał przyjemność widok jego sympatycznej przyjaznej twarzy.

- To prawda. - Kitt roześmiał się i odwrócił w stronę ładnej ciemnoskórej sprze-

dawczyni owoców, która zbliżała się do nich, kołysząc biodrami.

- Moi panowie, najlepsze na wyspie owoce. Czy ten przystojny jegomość to pański przyjaciel, panie Kitt? - zapytała i podstawiła Renowi pod nos dorodną pomarańczę, kusząc go jej zapachem.

Po dwóch tygodniach odżywiania się produktami, które nie miały nic wspólnego ze świeżością, chętnie zjadłby południowy owoc. Sprzedawczyni kusila pomarańczą niczym Ewa jabłkiem, a jeśli Ewa nosiła podobnie głęboko wyciętą bluzkę jak ta lokalna pięknotka, Ren potrafiłby zrozumieć, dlaczego Adam je zjadł.

- Przyplłynął prosto z Londynu, Liddie. Bądź dla niego miła. - Kitt dał dziewczynie dwie monety, wziął pomarańczę i rzucił ją w stronę Rena.

- Wszyscy pańscy przyjaciele są tacy przystojni? - Liddie wyraźnie zaczepiała Rena. Zapięcie bluzki rozchyliło się, błysnęła w nim na moment jędrna krągła pierś.

- Chyba nie uważasz go za przystojniejszego ode mnie, Liddie? - Kitt udawał obrażonego.

- Pan jest za dobry dla takiej biednej dziewczyny jak ja, panie Kitt. Zapozna nas pan?

- Liddie, to jest Ren Dryden, kuzyn Alberta Merrimore'a. Przejmie jego plantację. Renowi zdawało się, że Liddie zrobiła krok do tyłu.

- Sugarland to nawiedzone miejsce - powiedziała, zerkając na Kitta. - Niech pan lepiej powie mu o duchach i czarownicy.

Uniosła dłonie nad kark i zdjęła z szyi bryłkę czarnego koralu zawieszzonego na skórzanym rzemyku, po czym podała go Renowi.

- Będzie pan potrzebował ochrony. To odpędzi złe duchy.

Ren wziął ozdobę, niepewny, co odpowiedzieć. Wiadomość, że na jego plantacji czekają go kłopoty, była deprymująca. Tym bardziej że w całą sprawę zamieszane są duchy i czarownica. Rzucił spieszne spojrzenie Kittowi, ale ten wzruszył ramionami.

- Mój przyjaciel i ja jesteśmy dobrymi anglikanami, Liddie. Nie wierzymy w duchy.

Dobrymi anglikanami? - Ren się zaśmiał. Przymiotnik „dobry” w żadnej mierze nie znajdował odniesienia do Kitta, chyba że w połączeniu „dobra porcja problemów”. Przyzwoitość nie mieściła się w słowniku, jakim operował Sherard. Ren schował amulet pod koszulą, a Kitt nadal flirtował z Liddie.

- Jestem zazdrosny. Dla mnie nie masz amuletu? Tak na wszelki wypadek?

- Panie Kitt, współczuję biednym duchom, które mają z panem do czynienia, angikańskim i wszystkim innym - odpaliła Liddie i odeszła, kołysząc biodrami.

- Podobasz się jej. - Kitt trącił łokciem Rena. - Chcesz, żebym coś zaaranżował?

- Nie. Poczekaj, aż dotrę na plantację. Nic się nie zmienię, stary. Kobiety lgną do ciebie jak pszczoły do miodu.

- Mam nadzieję, że jednak się zmieniłem. - Kitt spoważniał. - Nie przybyłem tu, żeby żyć jak w Londynie. Ty chyba też nie, jak się domyślam.

Ren skinął głową. Obaj pojawili się na Barbados w poszukiwaniu nowego początku. Kitt opuścił Londyn przed pięciu laty raczej niespodziewanie i w pośpiechu. Pewnej nocy stanął na progu domu Rena i bez słowa wyjaśnienia poprosił o schronienie. Następnego dnia uciekł chyłkiem do portu. Ren był ostatnią osobą, która widziała go w Londynie. Odciął się od wszystkiego, nawet od własnego nazwiska. Nie

utrzymywał z nikim kontaktów, sporadycznie pisywał tylko do Rena i trzeciego z ich paczki, Benedicta DeBreeda.

Ren nie miał pojęcia, co po ucieczce działo się z przyjacielem. Milczenie, jakie teraz między nimi zapadło, potwierdzało, że obaj zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Ren postanowił skierować rozmowę na kwestie praktyczne.

- Udało ci się przyjechać wozem? - zapytał.

Uznał, że lepiej nie nawiązywać od razu do głębszych konsekwencji ich decyzji, lecz dochodzić do nich stopniowo. Następnym krokiem powinno być dotarcie na plantację.

- Tak, stoi niedaleko. Chyba płyną już na brzeg twoje kufry. - Kitt wskazał powracającą szalupę.

Nurtujące Rena pytania musiały zaczekać, gdyż na nabrzeżu właśnie wyładowywano jego bagaże, ale denerwował się coraz bardziej. Co narobił kuzyn Merrimore? Co złego działo się w Sugarlandzie? Od śmierci Alberta upłynęły cztery miesiące, ale pozostali współwłaściciele mieli chyba dość rozumu, żeby poradzić sobie z prowadzeniem plantacji.

Prawdę powiedziawszy, zakładał, że nie będzie miał wiele do roboty. Większość właścicieli plantacji nie mieszkała na miejscu. Plantacje w ich imieniu prowadzili rządcy, a oni sami przebywali w Anglii. Ponieważ nie doszło do żadnej próby skontaktowania się z nim w Anglii, Ren doszedł do wniosku, że współwłaściciele Sugarlandu mieszkają na wyspie. Tak czy inaczej, po śmierci Alberta, bez względu na to, gdzie mieszkali pozostali współwłaściciele, plantacją powinien kierować rządcą.

Ren wsunął palce pod kołnierzyk koszuli. W tym ubraniu było mu stanowczo za gorąco. Z zazdrością spozierał na przewiewny strój Kitta.

- Zdejmij ten cholerny surdut, nie jesteśmy w Anglii - powiedział ze śmiechem Kitt, zauważając dyskomfort przyjaciela. - Tutaj nawet upał jest inny. Przywykniesz. Jeśli choć trochę jesteś do mnie podobny, to nawet polubisz ten upał.

Ren odpowiedział uśmiechem i ściągnął surdut.

- Lubię, jak jest ciepło i pogodnie. Tu jest raj.

Dopiero co zszedł ze statku na ląd, a już zdążyło go urzec to miejsce. Wszystko było inne: niebo, pogoda, owoce, ludzie.

Opowieści o duchach i czarownicach nie zmartwiłyby go, gdyby nie dotyczyły jego posiadłości. Wiele zaryzykował, żeby tu się znaleźć. Zostawił rodowy majątek pod pieczęcią zarządcy i prawników. Ufał im, rzecz jasna, ale na wypadek, gdyby miał się co do nich pomylić, wyposażył Benedicta DeBreeda w pełnomocnictwa do działania w jego imieniu. Na miejscu pozostawił pewne zabezpieczenia, lecz gdyby Benedict okazał się niegodny zaufania, lepiej nie myśleć o konsekwencjach. Znajdzie sposób, żeby temu zaradzić, zapewnił się w duchu. Wspiął się na wóz i wcisnął na siedzenie obok Kitta.

- Jeszcze raz dzięki, że po mnie przyjechałeś.

- Zrobiłem to z przyjemnością, zastanawiam się tylko, dlaczego nie poprosiłeś o to nikogo z planacji? - Kitt cmoknął na konia i spojrzął z ukosa na Rena. - Wiedzą, że przyjeżdżasz? Do diabła! Nie wiedzą! - Właściwie zinterpretował milczenie przyjaciela.

- To nie tak - odezwał się Ren. - Nie byłem pewny, czy tam są jacyś „oni”. Przy-

puszczałem, że spośród wszystkich współwłaścicieli tylko kuzyn Merrimore mieszkał na plantacji, a kiedy zrewidowałem to założenie, było za późno na wysłanie listu.

Kitt niespokojnie poruszył się na siedzeniu i Rena ogarnęło złe przeczucie.

- Powiedz wreszcie, co się tam dzieje. Co z tymi czarownicami i duchami? - spytał i machinalnie dotknął palcem kawałka korala pod koszulą.

Bridgetown pozostało w tyle. Dla mieszkańca miasta, nawykłego do tego, że wszystkie jego uroki ma na skinienie, a w najgorszym razie kilka ulic od domu, perspektywa zakopania się na oddalonej od cywilizacji plantacji była dość deprymująca. Ren uświadomił sobie w całej pełni doniosłość dokonanego wyboru. Wiedział, że od tej chwili może polegać tylko na sobie. Będzie to prawdziwa próba jego siły i inteligencji.

- Złe się tam dzieje - odparł Kitt. - Oczywiście ja nie znam nawet połowy szczegółów. Przez większość czasu mnie nie ma.

Ren nie uwierzył w słowa przyjaciela. Kitt zazwyczaj wiedział wszystko o wszystkich.

- Nie musisz owijać w bawełnę - powiedział poważnym tonem. - Chcę wiedzieć, co mnie czeka.

Czyżby porwał się z motyką na słońce? Nie powinien przyjmować spadku po kuzynie? Tyle że nie miał wyboru. Gdyby nie podjął ryzyka, musiałby się ożenić z dziewczynką z Yorku.

Kitt wzruszył ramionami.

- Chodzi o pracę najemną. Wiele jest na ten temat kontrowersji.

- Wiem coś o tym. - Ren skinął głową.

Niewolnictwo na Barbados zostało zniesione kilka lat wcześniej. Zastąpiono je systemem pracy najemnej, w założeniu przyzwoitym. Dawni niewolnicy mieli otrzymywać wynagrodzenie za pracę na ziemi, którą przedtem uprawiali za darmo. Jednak w praktyce ich sytuacja niewiele się zmieniła. Chociaż teoretycznie wolni, byli zmuszeni do pracy w określonym wymiarze, w dodatku nie mogli porzucić właściciela, by poszukać miejsca, w którym zapłacono by im więcej.

- Trudno znaleźć dostateczną liczbę rąk do pracy. Zobligowani do płacenia robotnikom, plantatorzy tracą zyski, toteż zmuszają ich do nadmiernego wysiłku, wręcz do morderczej harówki. Nietrudno sobie wyobrazić, że nikt nie chce zarabiać nędznych groszy i umierać z przepracowania.

Nieźle, pomyślał zmartwiony Ren. Pola na mojej plantacji leżą odłogiem, bo brakuje robotników. Kolejne słowa Kitta pocieszyły go, ale tylko po części.

- Tak dzieje się wszędzie z wyjątkiem Sugarlandu i ten fakt wywołuje złą krew wśród sąsiadów.

- Wy tłumacz jaśniej - poprosił.

- Plantatorzy nadużywają przewagi nad robotnikami. Wszyscy z wyjątkiem właścicieli Sugarlandu. Tam każdy zatrudniony dostaje odpowiednie wynagrodzenie i ma zapewnione bezpieczne warunki pracy. W rezultacie obecnie Sugarland jest jedyną plantacją przynoszącą godziwy dochód.

Dobra wiadomość. Ren odetchnął z ulgą, ale szybko okazało się, że przedwcześnie.

- Kilka miesięcy temu - ciągnął Kitt - mniej więcej wtedy, kiedy umarł twój kuzyn,

ktoś rozpuścił plotkę, że do Sugarlandu wabią robotników duchy, a kobieta, która prowadzi plantację, sprzymierzyła się z kapłanami czarnej magii i dlatego plantacja prosperuje. Mówi się, że ona rzuciła przekleństwo na zbiory sąsiadów.

- Co takiego?

Kitt spojrzał pobłaźliwie na przyjaciela.

- Wiem, będziesz musiał przywyknąć do tego, że tutaj traktuje się czarną magię serio. Tutejsze wudu łączy elementy chrześcijaństwa z wierzeniami afrykańskimi i magią. Stąd te przesady, duchy i czary.

Ren pomyślał o grudce koralu pod koszulą. Czarna magia nie była największym jego zmartwieniem. Kuzyn Merrimore w rzadkich listach nie wspominał o wspólniku, a zwłaszcza o wspólniczce.

- Nie o to chodzi. Plantację prowadzi kobieta? - zapytał ze zdziwieniem.

- Nazywa się Emma Ward - oznajmił Kitt bez cienia wesołości czy kpiny w głosie, co było u niego niespotykane.

Ren zrozumiał od razu. Nie ma żadnych „onych”. Nie ma wspólników, którym musiałby wysyłać miesięczne sprawozdania. Jest tylko „ona”. Czterdzieści dziewięć procent udziałów należy do zwariowanej kobiety, o której powiadają, że rzuca czary na zbiory sąsiadów.

Uznał, że powinien zrewidować swoje poglądy na czynnik zaskoczenia. Co innego zaskakiwać innych, co planował uczynić, a co innego dawać się zaskoczyć. Zdecydowanie wolał nie znaleźć się w tej drugiej grupie. Ktoś od niego ostrożniejszy zawiadomiłby o swoim przybyciu i poczekał w mieście na odpowiedź. Tyle że on nie lubił czekać i nie uchylał się przed podjęciem ryzyka. Zazwyczaj stawiał mu czoła. Mało istotne, czy to ryzyko będzie związane z kobietą, i to taką, o której głośno.

Odchylił się na oparcie siedzenia i wystawił twarz do słońca. Karaiby - ojczyzna rumu, ład ryzyka i, jak się okazuje, niezły dom wariatów.

ROZDZIAŁ DRUGI

Można oszaleć! Zniecierpliwiona Emma Ward ponownie rzuciła okiem na zegar. Pan Pięćdziesiąt Jeden Procent już powinien tu być. Naturalnie, o ile przyплыął. Machinalnie przekładała leżące na blacie biurka dokumenty, lecz nie potrafiła skoncentrować na nich uwagi. Równie dobrze mogłyby być pisane po arabsku. Wstała i zaczęła nerwowo krążyć po gabinecie.

Właściwie na co czeka? Przecież nawet nie wie, czy on w ogóle zamierzał przybyć na Barbados. Czy już może się uspokoić myślą, że i tym razem nie przyплыął?

Tego rodzaju rozterki dręczyły ją od czterech miesięcy, czyli od śmierci Alberta Merrimore'a. Każdego dnia, gdy do portu zawijał statek pocztowy, zastanawiała się, czy dostanie list zapowiadający przyjazd spadkobiercy Alberta, czy może, co gorsza, ujrzy go we własnej osobie. Na razie w grę wchodziły obie możliwości. Statek mógł się spóźnić, ale równie dobrze kuzyn Merrimore'a mógł nie zdążyć na statek, o ile w ogóle planował opuścić rodzinne strony w Anglii. Czy warto wybierać się na drugi koniec świata tylko po to, by popatrzeć na odziedziczoną posiadłość, skoro nie będzie to miało wpływu na osiągnięte dochody? – rozważała Emma. Większość dżentelmenów nie fatygowałaby się bez powodu, zwłaszcza że długa morska podróż nie należy do najbezpieczniejszych. Ba, wręcz bywa groźna. Nawet w czasach silników parowych statki idą na dno.

Nie chciała, żeby Pan Pięćdziesiąt Jeden Procent utracił życie. Jedynie nie życzyła sobie jego przyjazdu. Zresztą pora przestać tak go nazywać. Imię „Renford” zostało wymienione w testamencie, a ona uznała je za dość dziwaczne. Nosił nazwisko Dryden. To oczywiste, że musi być niemłody, skoro Albert zwany Merrym miał dobrze po siedemdziesiątce. Trudno się spodziewać, że jego kuzyn okaże się dużo młodszy. Gdyby nawet był młodszy, powiedzmy najwyżej o dwadzieścia lat, to i tak miałby po pięćdziesiątce. Te spekulacje wzbudzały pewne nadzieje Emmy. Czy człowiek w zaawansowanym wieku wybrałby się w niebezpieczną podróż, która mogłaby się odbić na jego zdrowiu? Raczej nie. Niewykluczone, że nigdy tu się nie pojawi i nie zakłóci jej spokoju. Być może przynajmniej z tej strony nic jej nie zagraża.

Emma gorąco pragnęła uprawiać trzcinę cukrową samodzielnie i bez ingerencji ze strony mężczyzn. Uznała, że po wszystkim, przez co przeszła, nie oczekiwała od losu za wiele. Do tej pory ze strony mężczyzn, począwszy od ojca na niefortunnie wybranym mężu skończywszy, nie spotkało jej nic dobrego. Jedynym mężczyzną, który ją przyzwoicie traktował, był Merry. Niestety, teraz będzie miała do czynienia z jego kuzynem. Była świadoma, że nie jest w stanie zapobiec jego przybyciu, ale, gdyby jednak zdecydował się przyjechać, nie musi mu ułatwiać życia.

Już wcześniej zaczęła wdrażać w życie to postanowienie. Po zapoznaniu się z treścią testamentu nie wysłała do niego listu, obawiając się, że mógłby potraktować go jako zaproszenie. Wtedy, kiedy statek pocztowy zawijał do portu, nie posyłała gigu do miasta. Nawet z tego powodu miała obecnie wyrzuty sumienia. Jeśli zszedł na

brzeg dzisiejszego przedpołudnia, zapewne nadal siedzi w porcie i, nieprzyzwyczajony do tropikalnego upału, ledwie zipie. Nie popisałam się, pomyślała z pewną skruchą. Po raz kolejny spojrzała na zegar. Zrobiło się późno, a tym samym zagrożenie się oddaliło. Gdyby dzisiaj przyplłynął, musiałby już tu być...

- Panienko! Panienko! - Do pokoju wpadła pokojówka Hattie, nie próbując zachowywać pozorów spokoju. - To on! Nasz pan Dryden! Jestem pewna. Ten ladaco, pan Kitt, jest z nim!

- Kitt Sherard? Jesteś pewna?

Przepity rumem łachudra i dżentelmen pokroju Drydena przyjechali razem? Sherard był ostatnią osobą, w której towarzystwie Emma życzyłaby sobie widzieć Renforda Drydena, ponieważ Kitt cieszył się na wyspie tylko odrobinę lepszą opinią niż piraci. Wstała zza biurka i podeszła do lustra wiszącego nad stolikiem, chcąc sprawdzić, jak wygląda.

- Mam nadzieję, że jeszcze nie zdążył upić naszego gościa - powiedziała pod nosem, poprawiając fryzurę.

Zależało jej na wywarciu dobrego wrażenia na kuzynie Merry'ego, a obecność Kitta Sherarda mogła zburzyć jej plan. Emma zamierzała namówić pana Drydena do odprzedania jej swojego udziału, a w najgorszym razie do powrotu do Anglii. Z łatwością mógł się przekonać, że plantacja świetnie prosperuje i jego pieniądze są w dobrych rękach, tyle że chwilowo ich brakowało, ale po zbiorach to się zmieni. Była gotowa prehandlować część swoich zysków w zamian za samodzielność. Zasmakowała jej przez ostatnie cztery miesiące wolności. Niechętnie oddałaby choćby jej cząstkę.

- Jak wyglądam, Hattie? - Emma obciągnęła dół sukni, utrzymanej w kolorze akwamaryny, swoim ulubionym. - Są już przed domem?

- Podjeżdżają, panienko. Wygląda pani ślicznie. - Hattie puściła oczko do chlebowdawczyni. - Po dwóch tygodniach na statku temu panu wszystko się spodoba.

- Wątpliwy komplement. - Emma skwitowała z przekąsem uwagę pokojówki.

Zadowolona ze swojego wyglądu, ruszyła energicznym krokiem na spotkanie gościa. Może uda się jej naprawić zło, jakie już się stało. Im szybciej oswobodzi Drydena od towarzystwa Sherarda, tym lepiej.

Z bijącym sercem wyszła na ocieniony przedłużonym dachem ganek. Na tę chwilę czekała i jednocześnie się jej bała. Może mimo wszystko nie będzie tak źle, pomyślała. Lepsze zło znane niż niepewność, w której żyła od czasu śmierci Merry'ego. Skoro dawała sobie radę z prowadzeniem plantacji, potrafi stawić czoła staremu mężczyźnie.

Wóz zatrzymał się tuż przed schodami. Emma natychmiast zrozumiała, jak płonne były jej nadzieje. Renford Dryden wcale nie był starym mężczyzną, nie był nawet mężczyzną w średnim wieku. Oto miała przed oczami nieprzeciętnie przystojnego młodego człowieka, który sprawnie zeskoczył z wozu. Szerokie bary i umięśnione długie nogi świadczyły o jego tężyznie fizycznej. Pomyślała, że nie odstraszą go opowieści o niedogodnościach życia w tropikalnym klimacie. Z taką kondycją sprosta im bez trudu.

Emma rzuciła Hattie spojrzenie mówiące: dlaczego mnie nie ostrzegłaś? Zreflektowała się jednak. Przecież pokojówka zrobiła to na swój sposób, wspominając o to-

warzącym przybyszowi Sherardzie. Już wówczas powinna była się domyślić, że coś jest nie w porządku.

Oceniła, że Renford Dryden miał ponad metr osiemdziesiąt, dobrze umięśnione ciało zwieńczone gęstą czupryną w kolorze miodu, przenikliwe niebieskie oczy i prosty nos. Wszedł na schody z wielką pewnością siebie. Wręcz rósł w oczach. Był jednak tylko mężczyzną, a zarówno nim, jak i pozostałymi przedstawicielami tej płci da się manipulować. Mało tego, należy nimi manipulować.

Emma wzięła głęboki oddech, myśląc, że należy zacząć od razu, o ile jej zamiar ma się powieść. Mężczyźni, z którymi dotąd miała do czynienia, brutalnie się z nią obchodzili. Już nigdy to się nie powtórzy, bo ona żadnemu na to nie pozwoli. Wyciągnęła ku przybyszowi dłoń tak, jakby był najmilej widzianym gościem, i powiedziała układnie:

- Witam w Sugarlandzie, panie Dryden. Miło pana poznać.

Miała nadzieję, że przybyły nie doszuka się fałszu w jej słowach.

Ujął jej dłoń w swoją, silną i dużą, a Emmę nieoczekiwanie przebiegł przyjemny dreszczyk. Po raz pierwszy zareagowała tak na fizyczny kontakt z mężczyzną.

- Cieszę się, że tu przyjechałem, panno Ward.

Czyżby w jego odpowiedzi kryła się ironia? Czy podejrzewał, że ona nie jest wobec niego szczerą? - zastanowiła się Emma. Nie miała możliwości zweryfikowania tego wrażenia, bowiem już w następnej chwili Renford Dryden uśmiechnął się, a na jego policzkach pojawiły się zniewalające dołeczki. Ten czarujący uśmiech uruchamiał wyobraźnię, która podpowiadała kobiecie, że w towarzystwie przystojnego i uroczego Renforda czekają ją miłe wrażenia. Jak w takiej sytuacji nie doznać zawrotu głowy! Atrakcyjna powierzchowność nie była jedynym atutem Drydena. Czuło się, że jest świadomy swojego uroku i nieprzeciętnie inteligentny. Niebieskie oczy patrzyły tak przenikliwie, że potrafiły przejrzeć pozory.

Przyszło jej do głowy, że on robi to samo co ona, czyli ocenia przeciwnika i dobiera odpowiednią strategię, jaką będzie musiał zastosować. Nie żywiła wątpliwości, jaka ona będzie. Stosują ją wszyscy mężczyźni, gdy napotykają kobietę mającą coś, co oni chcieliby mieć lub przejąć. Emma oprzytomniała i wyzwoliła się spod uroku Drydena. Nie da się zwieść, nie odda swojej niezależności. Ona też zastosuje odpowiednią taktykę. Udowodni panu Drydenowi, że nie jest łatwo prowadzić plantację trzciny cukrowej. Zrobi wszystko, by doszedł do wniosku, że najlepiej zostawić interes w jej doświadczonych rękach i powrócić do dawnego wygodnego trybu życia.

Nie uszła jej uwagi jakość ubrania, jakie miał na sobie, i to zarówno pod względem kroju, jak i gatunku materiałów. Oceniła, że Dryden nawykł do luksusu. Może da się to wykorzystać przeciwko niemu? - zadała sobie w duchu pytanie. Na luksus trzeba porządnie się napracować, a mężczyźni jego pokroju nie wiedzą, co to ciężka praca. Zazwyczaj nie muszą się wysilać, by dostać to, czego pragną, zwłaszcza tacy, którzy przejawiają tyle pewności siebie, co Renford Dryden. Natomiast o prosperity Sugarlandu decyduje harówka.

- Na werandzie podano lemoniadę - powiedziała, uśmiechając się niczym wzorowa pani domu. - Możemy tam usiąść i porozmawiać. Będzie okazja poznać się bliżej, panie Dryden.

- Proszę mi mówić po imieniu, Ren. Skończmy z tym „panem Drydenem”.

Usunął się na bok, żeby przepuścić służących, którzy wnosili bagaże. Emma zignorowała propozycję przejścia na ty. Wiedziała, że zazwyczaj to pierwszy krok każdego uwodziciela.

- Panie Sherard - zwróciła się do Kitta - dołączy pan do nas? - Dobre maniery nakazywały, żeby go zapytała. Miała nadzieję, że Sherard zrozumie, że jemu dobre wychowanie każe odmówić.

- Nie, dziękuję. Wieczorem wypływam w interesach, a mam jeszcze dużo do zrobienia, zanim podniosę żagle. Wracam do miasta - oznajmił, posyłając Emmie spojrzanie, które jej przypomniało, że Sherard słusznie zasługuje na reputację uwodziciela. - Mam nadzieję, że dobrze się pani zaopiekuje moim przyjacielem, panną Ward. Ren - skinął głową do Drydena - zajrzę do ciebie po powrocie.

Cieszący się złą sławą Sherard jest na ty z moim gościem, pomyślała Emma, i nazywa go przyjacielem. Oby tylko nie uznał, że upoważnia go to do regularnych wizyt w jej domu. Dobrze, że chociaż dzisiaj jest zajęty. Najwyraźniej zemścił się na niej pomysł, żeby nie wysłać podwózki do portu. Dryden był zmuszony poradzić sobie sam i oto, co z tego wynikło.

Emmie nie podobało się, że jej nowy wspólnik zna się z Sherardem, zwłaszcza że i tak krążyły o niej plotki. Nieważne, że większość ludzi nie dawała im wiary, fakt, że istniały w publicznej przestrzeni, już rzucał cień na jej reputację i zwracał na nią uwagę, a tego nie życzy sobie żadna przyzwoita kobieta.

Obecność Sherarda nie skłaniała Emmy do nabrania przyjaznego usposobienia wobec gościa, tym bardziej że Kitt zachowywał się tak, jak gdyby Dryden faktycznie władał swoimi udziałami. Tymczasem to ona była na miejscu, zasadziła trzcinę i czuwała nad nią do zbiorów. Gdyby Dryden przybył kilka dni później, ominęłyby go również żniwa. Jak śmiał przyjechać niezapowiedziany i wyciągać rękę po owoce jej pracy?! Opanowała wzbierający w niej gniew i przeprowadziła gościa na werandę na tyłach domu. Tak będzie traktowała Drydena - jako gościa. A jak wiadomo, goście przyjeżdżają, ale i wyjeżdżają. Już ona się o to postara, żeby akurat ten wkrótce opuścił jej dom.

Zaczynało mu się tu podobać! Ren z przyjemnością raczył się chłodną i smaczną lemoniadą. Dawno już nic tak mu nie smakowało. Równie dawno nie sprawiał mu takiej przyjemności wietrzyk chłodzący rozgrzaną od słońca twarz. Sytuacja zaczynała przedstawiać się lepiej, niż przypuszczał. Kiedy Kitt podjeżdżał na plantację, Ren, mile zaskoczony widokiem białych ścian domu, przestał myśleć o wiedźmach i czarach. Wręcz poczuł do tego miejsca sympatię. Tutaj bez przykrości osiadzie na stałe, tutaj rozkwitnie, uznał.

Zreflektował się, że to dziwna reakcja jak na człowieka kierującego się wyłącznie rozumem, ale nie mógł zaprzeczyć, że tak właśnie było. Odezwał się w nim instynkt posiadacza. Moje, moje, moje, szumiało mu w uszach. A gdy na progu stanęła ona, ogarnęło go pożądanie.

- Wcale nie wygląda na wiedźmę - zwrócił się do przyjaciela.

- One nigdy tak nie wyglądają - odparł ze śmiechem Kitt. - Inaczej nie byłyby tak skuteczne.

Aparycja Emmy Ward zwiastowała coś równie niepokojącego i być może bardziej

namacalnego niż czary, uznał Ren, sącząc lemoniadę. Otaczała ją naturalna aura zmysłowości, dająca o sobie znać w ruchach bioder, kiedy go prowadziła przez przewiewne korytarze na werandę, w spojrzeniu egzotycznych, skośnych brązowych oczu. Ta aura, surowa i pierwotna, wprost z niej emanowała. Kusiła mężczyznę do przekraczania granic zdrowego rozsądku.

Ta kobieta nie jest niewinną angielską różą, uznał Ren, a kimś znacznie lepszym i jednocześnie znacznie gorszym. Może rzeczywiście to wiedźma. Będzie musiał mieć się na baczności. Wyciągnął ku niej dłoń ze szklanką. Stuknęli się.

- Wypijmy za przyszłość, panno Ward.

Jak na osobę, która proponowała rozmowę, Emma Ward była jednak wyjątkowo małomówna. Może źle ją zrozumiał. Skorzystał z okazji, żeby się czegoś o niej dowiedzieć.

- „Panno Ward”? Mogę tak się do pani zwracać?

- Tak, proszę bardzo - odparła najkrócej jak to możliwe i uśmiechnęła się przelotnie.

Uśmiech, jak spostrzegł Ren, obejmował tylko usta. Oczy pozostały uprzejmie obojętne. Może ten chłód brał się z tego, że nie uprzedził jej o przyjeździe? Nie spodziewała się go i z tego powodu obawiała. Na jej progu stanął obcy człowiek i oznajmił, że zamierza u niej zamieszkać.

- Wiem, że jest pani zaskoczona... - zaczął ugodowo. Wierzył w starą mądrość, że najlepszą przynętą na pszczoły jest miód. Nie należało bez powodu spychać panny Ward do defensywy. - Ja też jestem zaskoczony, proszę mi wierzyć. Kuzyn Albert ani słowem nie wspominał o pani w swoich listach. Oto znaleźliśmy się tu razem, dwoje obcych ludzi, połączonych przez nieprzewidziane okoliczności. - Posłał jej uśmiech, który zazwyczaj zmiękczał serca i rozluźniał zasady podejrzliwych matron, pilnujących podopiecznych w londyńskich salonach. Uśmiech nie poskutkował.

- Mówiąc szczerze, panie Dryden, miałam nad panem przewagę. Znałam pana imię i nazwisko. Merry wymienił je w testamencie.

Intrygujące to samooskarżenie. Bystry Ren nie mógł nie zwrócić na nie uwagi. Okazuje się, że mogła się z nim porozumieć. W tej sytuacji można mu wybaczyć niezapowiedziane przybycie, gdyż on nie wiedział, z kim się kontaktować. Ona mogła wysłać mu list z kopią testamentu. Woląta jednak tego nie zrobić.

Ren zdobył się na wymuszony uśmiech. Jak by się zachowała, gdyby przyparł ją do muru?

- Otóż to, panno Ward. Znała pani moje nazwisko. Wiedziała pani o moim istnieniu i nie odezwała się do mnie, żeby ustalić termin mojego przyjazdu.

Nie chciał być bardziej natarczywy. I tak zmusił pannę Ward do defensywy, a to bardzo interesująca pozycja u kobiety. Wyobrażał sobie, że w jej sytuacji powinna cieszyć się jego widokiem, gdyż mógł zdjąć z jej barków ciężar prowadzenia plantacji. Musiało być jej ciężko w ciągu czterech miesięcy, kiedy sama zajmowała się uprawą.

Spostrzegł, że zaczerwieniła się, słysząc wyzwanie. Dobrze. Zrozumiała, co chciał powiedzieć, co potwierdzało, iż panna Ward jest inteligentnym przeciwnikiem.

- Lada moment zaczynają się żniwa, panie Dryden. Nie ma czasu na to, by sie-

dzień godzinami w dokach i czekać na statek, który może nie przy płynąć, a jeśli przy płynie, może nie przywieźć tego, czego się spodziewało.

Słuszna uwaga, pomyślał. Tym razem panna Ward była górą.

- Nawet gdyby chodziło o krewnego? - zaryzykował.

Strzelił na oślepie, ponieważ był ciekaw, w którym miejscu na drzewie genealogicznym jego rodziny usadowiła się Emma Ward. Wyglądało na to, że kuzyn Albert był jej bliższy niż jemu. Skąd się to wzięło? Była jego kochanką? Konkubina? A może daleką kuzynką tak jak on? Ren widział Alberta Merrimore'a może trzykrotnie w życiu. Ostatnim razem przed ośmiu laty, kiedy kończył studia w Oksfordzie.

Emma Ward roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było odrobiny ciepła. Ren odniósł wrażenie, że zrobił fałszywy krok.

- Pan i ja nie jesteśmy rodziną, panie Dryden. Merry był moim opiekunem prawnym do czasu osiągnięcia przeze mnie pełnoletności. Potem pozostał przyjacielem.

Renowi nic to nie mówiło. Wiedział, że pojęcie „przyjaciół” jest bardzo pojemne, równie dobrze mogło obejmować kochankę. Skoro jednak Merrimore był jej opiekunem prawnym, należało zakładać, że do tego rodzaju zażyłości między nimi nie doszło.

- Prosiłem, żeby zwracała się pani do mnie po imieniu - zaproponował po raz wtóry, chcąc ocieplić ton rozmowy. - Życzyłbym sobie, żebyśmy zostali przyjaciółmi - dodał i pomyślał, by sama oceniła, znając prawdziwą naturę swojej przyjaźni z Merrimore'em, czy jego odpowiedź kryje jakąś nieprzyzwoitą aluzję.

- Póki co jesteśmy współnikami w interesach - ucięła, niwecząc wysiłki Rena nadania rozmowie bardziej osobistego charakteru.

Nie będzie miał okazji zadać jej licznych pytań, które cisnęły mu się na usta. Jakim cudem zatwardziały stary kawaler mógł zostać czyimś opiekunem prawnym? I dlaczego Merrimore nie wysłał jej do Londynu, kiedy osiągnęła pełnoletność? Będzie musiał się wstrzymać z tymi pytaniami do czasu, aż panna Ward trochę bardziej go polubi. W tym momencie dokonał szokującego odkrycia. Otóż w Londynie przywykł do tego, że niezmiennie wywierał wrażenie na kobietach, naturalnie, jeśli mu na tym zależało. Zazwyczaj jednak było odwrotnie, to kobiety starały się zwrócić na siebie jego uwagę. Emma Ward z pewnością się do nich nie zaliczała.

Na Barbados Rena nie poprzedzała sława arystokratycznego tytułu. Posażna panna z Yorku, z którą go swatano, nie kryła, że imponuje jej jego wielkopańskie pochodzenie. Ojciec tej dziewczyny był skłonny zapłacić duże pieniądze za to, żeby w żyłach jego wnuka płynęła błękitna krew Drydenów. Ren wszakże z głęboką awersją odniósł się do pomysłu użycia go w charakterze arystokratycznego ogiera rozplodowego. W jego oczach znalazłaby uznanie tylko kobieta, która zapragnęłaby go nie dla jego pochodzenia, lecz osobistych walorów.

Uśmiechnął się szeroko, gotów wypróbować swoją teorię. Emma Ward od samego początku usiłowała wprawić go w zażenowanie. Teraz on spróbuje.

- Panno Ward, myślę, że nie jest pani ze mną całkowicie szczerą. - Nagrodą był dla Rena błysk zaniepokojenia w jej ciemnych oczach.

- A to w jakiej sprawie, panie Dryden? - zapytała chłodno.

- Na przekór pani wcześniejszym zapewnieniom, uważam, że nie jest pani zadowolona z mojego przyjazdu. Nie wiem, skąd to uprzedzenie, przecież nie znaleźmy

się do tej pory.

Wkroczenie na tę ścieżkę nie było godne dżentelmena, ale to ona ustawiła ich znajomość na płaszczyźnie wspólnych interesów. Co więcej, w tej kwestii on miał wiele do zyskania.

- Przykro mi, jeśli czuje się pan potraktowany nie dość gościnnie.

- Mam w to uwierzyć? Jakim sposobem? Nie dostrzegam u pani nawet śladu skruchy.

Ren korzystał ze swojej przewagi. Jeśli zamierzała rzucić mu wyzwanie, niech to zrobi wprost. Stawi czoła każdemu wyzwaniu, ale musi ono być jawne i uczciwe. Nawet ze strony pięknej kobiety nie będzie tolerował zawołanej niechęci.

Oczy Emmy zapłonęły oburzeniem, usta złożyły się do ostrej odpowiedzi, która nie zdążyła paść, albowiem powietrzem wstrząsnął odgłos eksplozji. Zadzwończyły szyby w oknach, zagrzechotały szklanki na stole. Emma z okrzykiem zerwała się z fotela. Ren pierwszy dostrzegł płomień.

- Tam! - Wskazał w stronę, gdzie pod niebo wzbił się słup dymu. Starał się nie panikować.

Emma nawet nie próbowała zachować zimnej krwi.

- Rany boskie, tylko nie zabudowania gospodarcze! - Zbiegła w dół po schodach, zawołała, żeby jej przyprowadzono konia.

Ren popędził za nią.

- Mniejsza o siodła, nie ma czasu!

Nikt nie słuchał. W stajni panował chaos, ludzie biegali tam i z powrotem, próbując uspokoić przestraszone wybuchem zwierzęta. Renowi udało się wyprowadzić z boksu dość silnie wyglądającego wierzchowca.

- Emmo, niech pani oprze stopę!

Postawiła stopę na jego złożonych dłoniach i wdrapała się na koński grzbiet, Ren wskoczył za nią, uchwycił wodze i pospieszył konia do galopu.

W innych okolicznościach znalazłby może chwilę, żeby pomyśleć, jak miło jest poczuć tak blisko siebie kobiece ciało i doskonałego wierzchowca pod sobą. Teraz jednak był zaprzątnięty czym innym. Był tu zaledwie od kilku godzin, a już jego pięćdziesiąt jeden procent stało w ogniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wokół panował zamęt nie do opisania. Wszędzie snuł się gęsty dym i trudno było orzec, gdzie jest główne źródło ognia. Ren zeskoczył z konia i pomógł Emmie stanąć na ziemi. Spanikowani robotnicy biegali bez ładu i składu, nieudolnie próbując tłumić płomienie. Komuś innemu mogłoby się udzielić ogólne poczucie bezradności, ale nie Renowi. W podbramkowych sytuacjach instynktownie przejmował komendę.

Po pierwsze, trzeba było ustawić w rzędzie ludzi, którzy podawaliby wiadra z wodą czerpaną z beczek ze zgromadzoną deszczówką. Po drugie, należało zlokalizować źródło ognia, żeby nie rozprzestrzenił się na wszystkie budynki. Kiedy to się udało, Ren rozejrzał się za Emmą. Dostrzegł jej ciemne włosy i kolorową suknię. Kierowała wyprowadzaniem zwierząt gospodarskich z obór. Nie była w strefie bezpośredniego zagrożenia i dobrze sobie radziła, uznał więc, że nie musi się o nią martwić. Zrzucił surdut i zajął miejsce najbliżej ognia, na początku szeregu złożonego z ludzi przekazujących sobie wiadra z wodą.

Po półgodzinie wymachiwania ciężkimi wiadrami poczuł ból w ramionach i grzbiecie, ale na szczęście ogień zaczynał przygasać. Pewny, że robotnicy sprawnie dookończą dzieła bez niego, wycofał się z szeregu i ruszył na poszukiwanie panny Ward. Znalazł ją na dziedzińcu. Rozmawiała z wielkim, atletycznie zbudowanym Afrykaninem oraz mężczyzną w wysokich butach i spodniach do konnej jazdy, trzymającym za wodze wierzchowca. Musiał dopiero co przyjechać. Najwyraźniej nie brał udziału w gaszeniu pożaru, bo miał na sobie czyste ubranie, kontrastujące z uwalaną sadzą suknią Emmy. Nawet z daleka było widać, że rozmowa nie ma przyjacielskiego przebiegu. Panna Ward gestykulowała gwałtownie i kręciła głową w reakcji na coś, co powiedział ów mężczyzna. Nie była zadowolona z jego obecności.

Ren ruszył w ich stronę, nie tyle chcąc udzielić wsparcia Emmie – przez cały czas dawała sobie radę sama i chyba nie życzyła sobie jego pomocy – co działając we własnym interesie. Przecież plantacja w połowie do niego należała, a to wystarczyło, by zainterweniować. Bez wahania wtrącił się do rozmowy.

– Wiemy, co się stało? – To pytanie skierował do Emmy.

Z bliska zobaczył, w jak rozpaczliwym stanie jest jej suknia. Dół postrzępiony, na boku z pękniętego szwu wystawała biała koszula. Potargane włosy opadały na jedno ramię. Co nie przeszkadzało, że nawet potargana i usmolona sadzą wyglądała bardzo ponętnie.

– Nie wiemy. Pracowaliśmy, nagle usłyszeliśmy wielkie „bum” – odezwał się potężny Afrykanin. – Szopa dosłownie uniosła się w powietrze.

– To kurnik – wyjaśniła Emma. – Kury były na zewnątrz, ale i tak utraciliśmy przynajmniej tuzin.

Mogło być gorzej, pomyślał Ren. Oczywiście to też strata, ale łatwa do odrobienia. Gorzej, gdyby spalił się zapas siana, ucierpiały krowy albo zginęli ludzie. Pożar

w gospodarstwie to kataklizm. Ren wyciągnął dłoń w stronę nieznanego, kiedy stało się jasne, że Emma nie zamierza dokonać prezentacji.

- Jestem Ren Dryden, kuzyn Merrimore'a.

Mężczyzna uściśnął podaną dłoń i z uśmiechem powiedział:

- Sir Arthur Gridley, sąsiad od strony południowej. Wygląda na to, że przybył pan w samą porę. Nasza Emma nieustannie boryka się z kłopotami, odkąd po śmierci Merrimore'a przejęła zarządzanie plantacją. Biedaczkę prześladowuje pech. A to zachoruje koń, złamie się koło u wozu, a kiedy indziej zdarzy awaria w cukrowni. Wszyscy byliśmy gotowi ją wesprzeć, ale uparta z niej kobieta, nie chce żadnej pomocy.

Gridley odnosił się do panny Ward życzliwie, ale protekcjonalnie, co prawdopodobnie tłumaczyło widoczne niezadowolenie Emmy, która przybrała gniewną minę. Ren zastanawiał się, co bardziej ją irytuje: to, że Gridley mówi o niej, jakby była nieobecna, czy że zdradza jej niepowodzenia. Doszedł do wniosku, że najbardziej Emmie nie podoba się sam Arthur Gridley, co nieco go dziwiło, ponieważ na pierwszy rzut oka sprawiał sympatyczne wrażenie.

Ren zauważył, że podczas rozmowy Emma starała się stać jak najdalej od Gridleya. Najwyraźniej nie tylko nie darzyła go sympatią, a wręcz wzbudzał w niej niechęć. Nie wiedział z jakiego powodu, ale był pewny, że w swoim czasie tego się dowie. Tymczasem należało się zająć wyjaśnieniem przyczyny pożaru.

- Zamierzam obejrzeć pogorzelnisko, może znajdą się ślady wyjaśniające, w jaki sposób doszło do pojawienia się ognia. Liczę na pańską pomoc - zwrócił się do Gridleya, myśląc, że byłoby dobrze, by sąsiad wykazał się deklarowaną wcześniej chęcią pomocy. W końcu Emma jemu też nie okazywała sympatii. Może generalnie rzecz biorąc, czuje awersję do mężczyzn? Niewykluczone, iż tylko do tych, którzy zagrażają jej pozycji oraz samodzielności. - Szukajmy wszystkiego, co mogłoby świadczyć o umyślnym spowodowaniu eksplozji, na przykład kawałka drutu, detonatora, zapalek.

Emma obróciła się w stronę pogorzelniska, dając tym samym do zrozumienia, że zamierza wziąć udział w przeszukiwaniu terenu, ale Ren zagroził jej drogę ramieniem.

- Pani nie pójdzie, panno Ward. Proszę popatrzeć na swoje pantofle. Popiół jest jeszcze gorący. Wypali w nich dziury na wylot. Moim zdaniem, powinna pani rozmówić się z robotnikami. Może ktoś zauważył coś podejrzanego, zanim doszło do wybuchu.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Ren wiedział, że nie zaskarbił sobie jej wdzięczności, ale się mu nie sprzeciwiła. Dlatego, że uznała słuszność tego, co mówił? A może był to wygodny pretekst, by opuścić towarzystwo Gridleya? - zastanawiał się. Ciekawe, jak by się zachowała, gdyby Gridleya nie było.

Przeszukiwanie pogorzelniska nie przyniosło spodziewanych przez Rena rezultatów. Spenetrowali już prawie całość, lecz nie znaleźli żadnych śladów wskazujących na umyślne działanie podpalacza.

- Chyba coś mam! - zawołał nagle Gridley, wyciągając z rumowiska niewielki tobolek z szarego materiału.

Znajdujący się najbliżej niego ludzie krzyknęli ze strachu i się rozstąpili. Kątem oka Ren zauważył zbliżającą się Emmę.

- Co to takiego? - Wyjął tobolek z rąk Gridleya. - Wygląda jak szmaciana dziecięca lalka. - Lalka była wykonana bardzo nieudolnie, ledwo przypominała ludzkie kształty.

- To magiczna kukła. Ma przynieść nam pecha. - Emma spojrzała z wyrzutem na Gridleya, który ciężko westchnął.

- Przykro mi. - Wyciągnął dłoń, chcąc pocieszającym gestem dotknąć ramienia panny Ward.

Tym razem reakcja Emmy była jednoznaczna. Uskoczyła do tyłu, niechcący nadeptując na czubki butów Rena. Gridley udał, że nie zauważył tej jawnej niechęci.

- Ta lalka nie podpaliła kurnika - oświadczył Ren.

Nie zamierzał się wtrącać w wojnę, którą tych dwoje najwyraźniej między sobą toczyło. Czuł, że coś jest nie w porządku, lecz brakowało mu przesłanek, by potrafił zrozumieć co.

- Czy to ważne? - Gridley zaśmiał się, ale niewesoło. - Ogień nie jest największym złem. Spójrzcie na nich. - Wskazał robotników otaczających wielkiego Afrykanina. - Do rana Emma nie będzie miała ani jednego pracownika. Oni wierzą w czarną magię, mało tego, bardzo się jej boją.

Mówiąc, Gridley niespokojnie przestępował z nogi na nogę, obciążając żakiet.

Ren obrzucił go ukradkowym, ale uważnym spojrzeniem i dostrzegł widomą oznakę pożądania, jakie mężczyzna musi czuć do Emmy. Gotów był założyć się o ostatnią gwineę, że emocje, jakie żywi Gridley do Emmy, są jednostronne i daleko wykraczają poza czysto sąsiedzką sympatię, a na określenie ich natury cisnęły mu się do głowy same niepochlebne i mało cenzuralne słowa.

Nieśmiało zbliżył się do nich wielki Afrykanin.

- Panienko Emmo, ludzie nie chcą wracać dzisiaj do pracy. Muszą przyjść czarownicy i odczynić folwark, inaczej nie będą się czuli bezpiecznie.

Gridley splunął pod nogi.

- Słuchajcie, wy...! - wybuchnął.

Emma nie pozwoliła mu dokończyć.

- To moja plantacja i ja tu rządę - oznajmiła stanowczo. Stała pomiędzy Gridleyem a robotnikiem.

Ren obserwował ją z podziwem, mając w pamięci, że w czasie akcji ratunkowej dowiodła zimnej krwi.

- Peter, powiedz ludziom, że mają do końca dnia wolne, mogą robić, co chcą, lecz jutro muszą stanąć do pracy. Jeśli zawiodą, wszyscy na tym ucierpimy, a uzbierało się dużo rachunków do zapłacenia.

- Jest pani dla nich zbyt pobłażliwa - wtrącił się Gridley.

Nie zauważył, że wkracza na grząski grunt, a Emma jest gotowa do konfrontacji? - zadał sobie w duchu pytanie Ren. A może chciał wszcząć kłótnię?

Emma wyzywająco uniosła brodę, co nie rokowało dobrze szansom Gridleya.

- Jeśli to błąd, to biorę za niego odpowiedzialność. Moje nazwisko figuruje w testamencie, nie pańskie. Jeśli pan pozwoli, to wracam do domu. Muszę się umyć.

Renowi chciało się śmiać, kiedy robił z dłoni podpórkę, żeby ułatwić pannie Ward

znalezienie się w siodle. Dała niedwuznaczną odprawę Gridleyowi, który najwyraźniej był wściekły. Czyżby spodziewał się zaproszenia na herbatę? Na jakiej podstawie, skoro Emma nie kryła się ze swoją niechęcią, żeby nie powiedzieć wrogością? Tych dwoje już dawno nie siedziało razem przy popołudniowej herbacie, uznał w duchu Ren, a dzielący ich konflikt nie mógł zrodzić się bez powodu, z dnia na dzień.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Ren wszedł do domu. Nie było mu do śmiechu, gdyż Emma potraktowała go w taki sam sposób jak Gridleya. Oznajmiła, że chce się wykąpać, i zapytała, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli ona po takim dramatycznym dniu zje kolację w swoim pokoju. Jest zbyt zmęczona, dodała, by dotrzymywać mu towarzystwa.

Nie pozostawało mu nic innego, jak się zgodzić. Przekonująco wcieliła się w rolę delikatnej panienki i Ren z przyjemnością obserwował, jak ona to robi. Nie dał się jednak zwieść pozorom. Widział ją dzisiaj w akcji. Mimo to zachował się jak na dżentelmena przystało i zwolnił ją z obowiązku pełnienia honorów pani domu. Pozwolił, by zastąpiła ją w tej roli służba. Zaraz po posiłku udał się do przeznaczonych dla niego pokojów.

Gdy tylko się w nich znalazł, zrozumiał, że Emma nie dość, że uwolniła się od jego towarzystwa i powierzyła go opiece służby, to na dodatek z premedytacją umieściła go w bocznej części domu. Co gorsza, Ren nie miał prawa się skarżyć. Nie ulokowała go na strychu, lecz zapewniła mu wygodne i zupełnie niekrępujące mieszkanie, jakby stworzone z myślą o gościu męskiego rodzaju. Co więcej miało osobne wejście. Ren mógł swobodnie się poruszać bez konieczności przechodzenia przez główną część domu. Gdyby chciał, mógł nawet nie widywać nikogo z mieszkańców, a oni mogli uniknąć jego widoku. Domyślił się, że o to Emmie chodziło.

W pokojach czekał lokaj imieniem Michael. Zaoferował się, że zostanie dłużej i rozpakuje bagaże, ale Ren go zwolnił. Chciał zostać sam i przemyśleć wydarzenia z pierwszego dnia spędzonego na wyspie. Rozwiązał fular i rozpiął kamizelkę, by poczuć się swobodniej.

Zaczął układać bieliznę w szufladach komody. Po raz pierwszy w życiu znalazł się sam, bez rodziny, przyjaciół, a nawet bez ochrony, jaką w Anglii zapewniał mu arystokratyczny tytuł. Tutaj nic nie znaczył. Ren wypakowywał pudełko z zestawem do gry w szachy i przybory piśmienne. Jutro napisze list do rodziny, poinformuje ich, że bezpiecznie przybył do celu. Przetastawił kilka elementów umeblowania w inne miejsca, jego zdaniem bardziej odpowiednie. Tym samym zaznaczył swoją obecność w pomieszczeniach, które od teraz będą jego domem, czy pannie Ward się to spodoba, czy nie.

Nie oczekiwał powitania, jakie go dziś spotkało ze strony współwłaścicielki plantacji. Właściwie dobrze się stało, uznał, że przyjechał niezapowiedziany. Zaskoczona, panna Ward została zmuszona do improwizacji i się odsłoniła. Z kolei on nie spodziewał się, że będzie miał do czynienia z jednym współnikiem. Był przygotowany na to, że będzie ich wielu. Przypuszczał, że ucieszą się z jego przybycia, a może nawet poczują ulgę, że zdejmie z ich barków ciężar prowadzenia plantacji. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Emma Ward najwyraźniej nie życzyła sobie uwolnienia od obowiązków, a nawet przekazania tylko niektórych.

W tym miejscu nasuwało się pytanie, co takiego miała do ukrycia panna Ward. W trakcie rozpakowywania przyborów do golenia w głowie Rena wykiełkował plan. Gdyby miał do czynienia z inną kobietą, postawiłby na delikatność i nieskończoną uprzejmość. Już jednak wiedział, że taką strategią z Emmą Ward nie wygra.

Z nią trzeba postępować zdecydowanie. Był świadkiem, jak lekceważąco odniosła się do Arthura Gridleya. Jak nic, zje żywcem każdego mężczyznę, który popełni błąd, traktując ją jak kwiat. Na tę myśl Ren parsknął śmiechem. Jeśli Emma kojarzyła się z kwiatem, to tylko z takim, który wabi ofiarę piękną barwą, a jak ją zważy, zamyka we wnętrzu i odcina drogę ucieczki niepodejrzewającemu zagrożenia nieszczęśnikowi.

Otóż wkrótce przekona się, że on nie jest ani głupcem, ani tchórzem. Nie wystarczy postępować z nim jak z intruzem, który zakłócił spokój domu, żeby go skutecznie odstraszyć. Jeśli panna Ward sądzi, że on, zniechęcony chłodnym przyjęciem, spakuje się i wyjedzie, to spotka ją niemiła niespodzianka. Nawet Kitt, a co dopiero Emma, nie wie, co jest źródłem jego niezłomnej woli i determinacji. Tylko on jest świadomy, że jeśli mu się na tej wyspie nie powiedzie, czeka go, a wraz z nim całą rodzinę pozostawioną w Anglii, powolne dogorywanie w biedzie. Będzie patrzył, jak siostry więdną w staropanieństwie z powodu braku odpowiednich posagów albo wychodzą za mąż za mężczyzn niegodnych ich ręki, bo tylko tacy będą chcieli pojąć je za żony. Będzie widział, jak podupadają rodzinna siedziba i posiadłość, bo brakuje pieniędzy na naprawę dachu, a dzierżawcy uciekają do innych właścicieli ziemskich w poszukiwaniu lepszych warunków gospodarowania.

Bieda oznacza wyrok powolnej śmierci towarzyskiej dla rodziny i on, Ren, koniecznie musi temu zapobiec. Będzie walczył wszystkimi dostępnymi środkami. Nawet gdyby było go stać na opuszczenie Sugarlandu - rzecz oczywista na to nie może sobie pozwolić - lub gdyby los rodziny nie zależał od powodzenia jego wyprawy, a przecież zależy - to i tak nie zrezygnowałby ze swoich pięćdziesiąt jeden procent, bo to była jego przyszłość. Przyjechał na Barbados, aby tu pozostać. Wymagały tego zarówno względy praktyczne, jak i zasady.

Ren Dryden nie może zostać! Emma zanurzyła się głębiej w ciepłej, pełnej mydlanej piany wodzie, wypełniającej wannę. Dlaczego? Wystarczyło popatrzeć, jak sprawnie i przytomnie zachowywał się podczas akcji gaszenia pożaru. Aż za dobrze, niczym naturalny przywódca. Zorganizował brygadę gaśniczą i stanął na początku szeregu. Być może kierował się strachem o swoje pięćdziesiąt jeden procent, pomyślała złośliwie, niemniej ludzie chętnie mu się podporządkowali, uznając, że wie, co robi. Mieli to wypisane na twarzach. Tymczasem ona zdecydowanie nie potrzebowała mężczyzny obdarzonego wystarczającą siłą charakteru, żeby odebrać jej owoce wieloletniej pracy.

Właśnie tak by się stało, gdyby wiedział, jak się rzeczy mają. Emma robiła, co mogła, żeby odmalować przed nim obraz niemal idyllicznej sytuacji na plantacji. Chciała go przekonać, że tak znakomicie prosperuje, iż on nie będzie miał nic do roboty. W związku z czym może wracać do domu. Niestety, pożar kurnika, znalezienie nieszczęsnej magicznej lalki na pogorzeliisku oraz paternalistyczne uwagi Gridleya o „biednej Emmie” popsęły jej szyki. Jeśli Dryden dojdzie do wniosku, że jego inte-

resy są zagrożone, nigdy się go nie pozbędzie. Dowiedział dzisiaj, że ma rozwinięty instynkt posiadacza, a tego typu ludzie stają się wojownikami, jeśli zmuszają ich do tego okoliczności. Nie oddają bez walki tego, co jest im drogie.

Emmie zrobiło się gorąco i to bynajmniej nie od leżenia w kąpielni. Tacy mężczyźni mają zabójczą moc oddziaływania, są atrakcyjni. Również w jej oczach. Jego obecność działała na nią podniecająco nawet w chaosie akcji ratowniczej. Nie potrafiła oderwać od niego oczu, kiedy z zakasanyimi rękawami koszuli podawał wiadra z wodą, pokrzykując na ludzi, żeby się prędzej uwijali. A jak przyjemnie było czuć go za plecami, gdy jechali we dwójkę na jednym koniu!

Najwyraźniej, rozmyślała Emma, Dryden nie miał żadnych zahamowań, nie przychodziło mu do głowy, że w takiej jeździe może być coś niestosownego. Pewność, z jaką otaczał ją udami i ramionami, przyciągał do brzucha, świadczyła o tym, że dobrze czuje się w swoim ciele, jest przekonany, iż ono go nie zawiedzie w różnych sytuacjach, włącznie z pójściem do łóżka z kobietą.

Zreflektowała się. Tego rodzaju myśli o gościu, zwłaszcza takim, którego chce się pozbyć, nie prowadzą do niczego dobrego. Podejrzewała, że nie jest wyjątkiem. Bez wątpienia Ren Dryden uruchamia wyobraźnię wielu kobiet świadomych rozkoszy, jakich można zaznać w jego towarzystwie. Wystarczy jego jedno spojrzenie, jedno dotknięcie...

Tym bardziej jest niebezpieczny, a zwłaszcza dla takiej kobiety jak ona, która ceni niezależność i nie oczekuje od mężczyzn ochrony, co kojarzy się jej ze słabością. Ona nie zamierza się kryć za puklerzem dzierzonym przez męskie ramię. Dlatego musi zachować daleko posuniętą ostrożność. Inaczej padnie ofiarą jego dążenia do dominacji, które Ren Dryden ma wypisane na twarzy. W swoim najlepiej pojętym interesie powinna trzymać się raz obranej strategii, ignorować go w miarę możliwości, a jeśli to nie do zrealizowania, stawiać mu opór.

Tymczasem należy jak do tej pory kierować plantacją. To oznacza, że musi zachęcić robotników, żeby jutro podjęli pracę i zgodnie z planem wypalili pole, zanim przystąpią do ścinania trzciny.

Rety! Emma wyskoczyła z wanny, rozpryskując wodę na terakotowe kafelki. Powinna była uprzedzić Rena o wypalaniu pól. Teraz już na to za późno. Nie zamierza się ubierać, a nie będzie paradowała po domu w peniuarze. Nie chciała niczego dawać mu do zrozumienia, a tym bardziej go prowokować. Zdawała sobie sprawę, że ma do czynienia z łatwopalnym materiałem. Nieopatrznie rzucona iskra mogłaby wywołać pożar.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ren obudził się i momentalnie oprzytomniał. Pali się! Nic nie było widać, ale swąd nie pozostawiał wątpliwości. Teddy! Dziewczęta! Musi ich ratować!

Wyskoczył z łóżka i potykając się w ciemności, podbiegł do okna. Przez szpary w okiennicach ujrzał pomarańczowe jęzory ognia. Drażniący dym atakował nozdrza. W tym momencie uprzytomnił sobie, że nie jest w Anglii, a Teddy'emu i dziewczętom nic nie grozi.

Podciągnął w górę rolety i zapatrzył się zafascynowany. Wczorajszy pożar kurnika był niczym w porównaniu z tym pożarem. Paliło się całe pole trzciny cukrowej. W pierwszej chwili przeraził się, że oto idą z dymem jego dochody, ale przypomniał sobie, co czytał o metodach uprawy trzciny cukrowej na Karaibach. Pożar został wywołany umyślnie. Stanowił wstęp do żniw. Spaleniu miały ulec liście i zewnętrzna, pokryta woskowym nalotem powłoka trzciny po to, żeby łatwiej było rozdrobnić ścięte łodygi i wydobyć z nich słodki miękisz.

Oparł się o framugę okna. Uspokojony pomyślał, że znajdująca się na drugim końcu świata rodzina jest bezpieczna, podobnie jak plantacja. Mimo wszystko widok szalejącego na polu ognia był przerażający, a zapach spalenizny nie do wytrzymania. Przyszło mu do głowy, że Emma mogła go uprzedzić, iż z samego rana robotnicy przystąpią do wypalania pola. Tak samo jak w przypadku otwarcia testamentu wolała utrzymywać go w nieświadomości.

Ren miał zwyczaj spać nago i nie widział powodu do zmiany tego przyzwyczajenia po przybyciu na wyspę. Panna Ward mogłaby się zdziwić, jeśli w przerażeniu wybiegł z sypialni w stanie, w jakim go Pan Bóg stworzył. Tak czy inaczej, zapewne byłoby jej na rękę, gdyby ośmieszył się w oczach służby, uciekając w popłochu z rzekomego pożaru. Jeśli taki był jej zamiar, to on jej dowiedzie, jak błędnie go oceniła.

Włożył bieliznę, spodnie i czystą koszulę, wciągnął buty. Nie zrezygnował z surduta. Nie chciał dawać pola do domysłu, że wyskoczył prosto z łóżka. Pójdzie na pole i udowodni Emmie, że nie uległ panice.

Na skraju pola natknął się na trzy osoby stojące w bezpiecznej odległości od ognia, ze spokojem obserwujące jego postępy. Utwierdziło to Rena w przekonaniu, że ogień jest kontrolowany. Dostrzegli go i odwrócili się w jego stronę. Naturalnie, Emma znajdowała się w tej niewielkiej grupie.

Ubrana w spodnie, wysokie buty i męską koszulę, stała pomiędzy dwoma mężczyznami. Włosy miała splecione w ciasny warkocz, opadający na jedno ramię. Strój podkreślał długie nogi i wysoko osadzone piersi, co podziałało podniecająco na Rena.

Powitała go chłodnym spojrzeniem.

- Wypalamy pole - oznajmiła.

Ren pomiął milczeniem tę oczywistość. Zaatakował z innej strony.

- My? - zapytał. - Ten zaimek jest nie na miejscu, albowiem pani robi to beze

mnie.

- Miał pan długą podróż. Chciałam, żeby się pan dobrze wyspał- odparła, po czym zwróciła się do towarzyszy: - Panie Paulsen, Peter, poznajcie krewnego Alberta Merrimore'a, pana Renforda Drydena. - Z kolei powiedziała do Drydena: - To jest mój rządca, pan Paulsen. Peter, którego poznał pan wczoraj, dozoruje robotników rolnych.

Paulsen był wysokim, szczupłym mężczyzną o ogorzałej od słońca skórze, Peter zaś owym atletycznym Afrykaninem, który uczestniczył we wczorajszej akcji. Ren wyciągnął do obu dłoń i nie omieszkał z miejsca dać im do zrozumienia, że nie zamierza być współwłaścicielem plantacji tylko na papierze.

- Miło mi panów poznać. Chciałbym w najbliższych dniach z każdym z was porozmawiać o tym, czym się zajmujecie.

Peter spojrział w bok, przestępując z nogi na nogę, Paulsen z ociąganiem skinął głową. Renowi spodobała się ich lojalność wobec Emmy, ale od oporu jest tylko krok do otwartego buntu. Dlatego też postanowił chwycić byka za rogi.

- Jestem większościowym udziałowcem. Oczywiście będę się starał wspierać panę Ward, ale musicie się przyzwyczaić do nowych porządków. - Ren spojrział surowo na Emmę. - Radzę nie zapominać, że ma pani współnika.

Wspólnik, dobre sobie! Raczej dyktator. Emma skrzyżowała ramiona na piersi i skupiła wzrok na zasnutym dymem polu. Jeśli on chce wojny, to będzie ją miał. Dyktatorskie zapędy trzeba stłumić w zarodku, ale przystąpi do tego dopiero po powrocie do domu. Nie będzie wszczynać sprzeczki w obecności pana Paulsena i Petera.

Nie była na tyle naiwna, by sądzić, że nie usłyszy od niego więcej cierpkich uwag. To zaledwie zapowiedź tego, co ją czeka. Nie była cierpliwa z natury, a Dryden i tak wystawił ją na wielką próbę, kiedy przez ostatnie cztery miesiące żyła w niepewności, czy on przyjedzie na Barbados, czy jednak nie. Najwidoczniej musi się uzbroić w cierpliwość.

Nie odzywała się przez cały czas, kiedy czekali na dopalenie się pola, i także wtedy, gdy można było odejść, pozostawiając dopilnowanie dogaszenia ognia panu Paulsenowi. Milczała w drodze do domu oraz w pokoju śniadaniowym, kiedy wraz z Drydenem nakładali jedzenie na talerze i usiedli przy stole.

Ren nadgryzł posmarowaną masłem grzanekę i pytająco uniósł brew.

- Chce pani coś powiedzieć?

- Nie. A pan? - Emma uniosła do ust filiżankę kawy, mając nadzieję, że dobrze maskuje wewnętrzny niepokój. Chciała, żeby on zaatakował pierwszy.

- Nie mam nic do dodania ponad to, co pani już ode mnie usłyszała - odparł Ren i wbił w nią świdrujące spojrzenie błyszczących niebieskich oczu. - Dzisiaj próbowała pani zrobić ze mnie głupka - mówił dalej bezbarwnym, obojętnym tonem. - Oboje o tym wiemy. Celowo nie poinformowała mnie pani o wypalaniu pola.

Emma uciekła się do argumentu praktycznego.

- Kiedy sobie o tym przypomniałam, byłam już rozebrana do spania. - Słyszając własne słowa, pomyślała, że on może je odczytać jako prowokację, i tak się stało.

Ren natychmiast zwietrzył okazję, żeby ruszyć do ataku.

- Doprawdy? - Na jego ustach zagościł ledwo widoczny uśmiezek.

Emma wbiła wzrok w talerz z jajecznicą.

- Miałam paradować po domu w nocnym stroju? - To zdanie zabrzmiało jeszcze gorzej. Uświadomiła sobie, że brnie. Zazwyczaj stać ją było na zręczne riposty. Nie dzisiaj i nie w obecności tego mężczyzny.

- Ja też byłem rozebrany do spania - wyjął Ren. - Prawdę powiedziawszy, nie miałem na sobie nawet koszuli nocnej. Gdyby pani przyszła, byłaby pani w porównaniu ze mną ubrana aż za dobrze. - Na te słowa Emma uniosła wzrok; zaczynały ją palić policzki. - Śpię nago. Mówię to na wypadek, gdyby pani się nad tym zastanawiała.

- Ani mi to w głowie - rzuciła upokorzona. Skłamała. Wyobraźnia od razu podsunęła jej obraz nagiego Rena Drydena.

- Wracając do tematu, wyrwany ze snu, czując swąd spalenizny, omal nie popędziłem nago na pole. Komu byłoby bardziej głupio? Mnie, dlatego że biegam nago po polach, ponieważ boję się o swoje zbiory, czy pani, dlatego że zapomniała pani zrobić mi grzeczność i mnie uprzedzić?

Policzki Emmy przypominały dwie rozgrzane do czerwoności fajerki kuchenne. Mówił tak sugestywnie, że nie mogła odpędzić zdrożnych myśli o tym, jak też on by wyglądał w tej sytuacji. Bardzo się jednak starała panować nad sobą.

- Myślę, że oboje przywiązujemy przesadne znaczenie do tego epizodu - stwierdziła.

Postanowiła, że nie dopuści, by on zmienił tę rozmowę w śledztwo. Ani też, aby się okazało, iż jest mu winna wdzięczność za to, że oszczędził jej zakłopotania. Napotkała jego przenikliwy wzrok.

- Epizod może sam w sobie nieszkodliwy, ale nie odosobniony. Już raz dała mi pani do zrozumienia, że moja obecność jest pani niemiła. Jednak przyjechałem, ponieważ jesteśmy współwłaścicielami, i nie życzę sobie, żeby pani wysyłała mnie z powrotem do Anglii.

- Przepraszam, jeśli odniósł pan takie wrażenie - powiedziała Emma, ale w jej głosie nie było słycać poczucia winy.

Ren okazał się zręcznym przeciwnikiem, bezbłędnie zdefiniował jej strategię. Co nie znaczy, że była gotowa przyznać się, iż obrała niewłaściwy sposób postępowania z niechcianym współnikiem. Uznała jedynie, że musi zmienić taktykę. Z ignorowania Rena Drydena nic nie wyszło.

Doszła do wniosku, że nowa strategia musi być subtelniejsza. Postara się zjednać Rena, ale tak, by nie wzbudzić jego podejrzeń. Skoro on zostaje, to trzeba tę obecność wykorzystać. Do czego mógłby się przydać? Może jako sojusznik przeciwko Gridleyowi? Zauważyła, jak wczoraj pospieszył jej z pomocą podczas konfrontacji z tym namolnym typem.

Obserwowała Rena, świadoma, że on też się jej przygląda i czeka, by zaproponowała warunki partnerstwa. Patrz sobie, ile chcesz, pomyślała, uznając, że nie jest całkiem niewrażliwy na jej urodę. Dobrze wiedział, co robi, prowokując ją aluzjami i spojrzeniem. Mężczyzna nie stosuje takich gier wobec kobiety, na której uroki jest obojętny. Emma była przyzwyczajona do tego, że robi wrażenie na mężczyznach, jak chociażby na Arthurze Gridleyu. Nie miała jednak żadnych złudzeń co do

tęgo, że oni myślą wyłącznie o tym, jak wykorzystać ją do swoich celów.

Może udałoby się wygrać pewność siebie Drydena przeciwko Gridleyowi, rozmyślała. Tylko jak to przeprowadzić? Warto, zanim sprecyzuje odpowiedni plan, na razie udawać, że dąży do zgody. Zmiana musi być jednak przekonująca. Ren Dryden nie da się nabrać na nagłą kapitulację. Z udawanym ociąganiem wysunęła do niego rękę nad stołem.

- Skoro, jak się wydaje, nie mam wyboru, zgadzam się co do tego, że jesteśmy współnikami.

Będzie dopóty honorowała zasady partnerstwa, dopóki nie uzna, że przestaje ono być w jej interesie. Tymczasem, korzystając z chwilowego zawieszenia broni, obmyśli szczegóły taktyki bardziej wyrafinowanej od pierwszej. Tamta zawiodła, bo opierała się na niewiedzy, kim jest Ren. Tym razem będzie inaczej. Musi wygrać, bo kolejnej szansy od losu nie dostanie.

Ren zignorował wyciągniętą na zgodę rękę.

- Przypieczętujemy nasze partnerstwo objazdem posiadłości. Chciałbym się z nią zapoznać bez zwłoki.

Po plecach Emmy przeszedł dreszczyk podniecenia. Odniosła wrażenie, że jemu niekoniecznie chodzi o plantację. Puls jej przyspieszył, chociaż rozum przypominał: to tylko gra. Skoro on chce flirtować, niech flirtuje do woli, ale na koniec to ona musi zostać zwycięzcą. Podejmie rzuconą rękawicę, ale będzie kontrolowała sytuację.

- Mogę poprosić Petera albo pana Paulsena, żeby pojechali z panem - powiedziała, uznając w duchu, że po porannym starciu wskazany byłby niewielki dystans.

Wstała, chcąc odejść, ale Ren był czujny. Podniósł się zza stołu i zagroził jej drogę do drzwi.

- Jestem pewny, że dobrze wywiązałiby się z zadania, wolę jednak pojechać z panią. Możemy ruszyć choćby zaraz. Na szczęście jestem odpowiednio ubrany i pani także. - Uśmiechnął się konspiracyjnie. - Nie jest pani w nocnej koszuli, a ja nago. Nie ma więc wymówki.

Emma uznała swoją porażkę. Nie uda się jej przekazać go w ręce służby tak łatwo, jak to zrobiła poprzedniego wieczoru. Uśmiechnęła się z przymusem. Musiała skapitulować, nie miała wyjścia. On o tym wiedział. Sam to zorganizował.

- Dobrze. Poproszę o przyrowadzenie koni.

- Nie ma potrzeby - zauważył z szelmowskim uśmiechem - już to zrobiłem. Poprosiłem stajennego, żeby był gotowy w ciągu pół godziny.

Emma przełknęła nauczkę. Niby nic się nie stało, ale on przypomniał jej, że jest w Sugarlandzie współgospodarzem i z tego tytułu ma takie samo prawo wydawać polecenia służbie, jak ona. Nie odniosła się do jego odpowiedzi, wyszła przed dom. Będzie musiała przyzwyczać się do nowej sytuacji. Trzeba również radykalnie zmienić stosunek do Drydena. Przynajmniej przestać traktować go jak intruza, jak kogoś, kto znalazł się tutaj dzięki uśmiechowi losu w postaci pośmiertnej szczodrobliwości Merry'ego. Musi być silna. Inaczej Ren pomyśli, że jest słaba. Mężczyźni bez skrupułów wykorzystują słabości kobiet.

Konie rzeczywiście były gotowe do drogi i Ren pomógł jej wsiąść na siodło z taką samą łatwością jak wczoraj. Wyregulował długość strzemion i sprawdził popręg.

Robił to z galanterii czy aby okazać wyższość?

- Powinien pan wiedzieć, panie Dryden, że ja nie lubię zadufanych w sobie mężczyzn - oznajmiła i posłała mu niechętnie spojrzenie.

Szarpnął strzemieniem, żeby sprawdzić, czy sprzączka dobrze trzyma. W jego oczach zamigotała wesołość.

- A pani powinna wiedzieć, że ja nie lubię kobiet intrygantek. Każde z nas ma swoje antypatie.

Wskoczył na konia z gracją. Automatycznie obciągnął w dół pięty w strzemionach, udami objął gniadego ogiera, którego Merry kupił od wracającego do Anglii oficera. Emma przypomniła sobie, jak poprzedniego dnia tymi udami ją obejmował, kiedy razem jechali do pożaru.

- Widzę, że jest pan zawołanym jeźdźcem - zauważyła, kierując wierzchowca na drogę.

- Uwielbiam konną jazdę. Moja rodzina jest znana z hodowli koni. W naszej rodzinie wszyscy wychowaliśmy się w siodle.

- Ma pan liczną rodzinę?

- Dość liczną. Dwie młodsze siostry i młodszego brata. A pani?

- Nie miałam nawet obojga rodziców, o siostrach i braciach nie wspominając. Wychowywał mnie ojciec. Był wojskowym. Ciągłe przenosiliśmy się z miejsca na miejsce.

- To musiało być ekscytujące.

Przyjrzał się jej z nieudawanym zaciekawieniem. W innych okolicznościach Emma mogłaby uznać rozmowę za sympatyczną. Jednak w aktualnej sytuacji nie potrafiła się uwolnić od podejrzeń. To zainteresowanie było autentyczne czy czysto grzecznościowe? A może w taki sposób przygotowywał sobie grunt pod uwiedzenie? Był sympatyczny, bo zamierzał wyciągnąć korzyści z rozejmu, jaki zawarli podczas śniadania? Nader często zdarzało się jej mieć do czynienia z mężczyznami, którzy byli mili, gdy chcieli coś uzyskać. Jeśli on sądzi, że pocałunkami wyłudzi od niej plantację, to nie będzie pierwszym, który wpadł na taki pomysł, i nie ostatnim, który się mocno rozczaruje.

Emma wyczuła, że zaczyna się między nimi niebezpieczna gra. Nie wolno jej pod żadnym pozorem o tym zapomnieć. Nie będzie ułatwiała mu sytuacji, ale jednocześnie postara się nie przesadzić w oporze. Jeśli zbyt zdecydowanie stawi mu czoła, on nie uwierzy, że przemyślała swoje stanowisko i przestała być niechętna jego pobytowi na plantacji. Trzeba jednak uważać, żeby nie zabrnąć za daleko. Uznała, że będzie bezpieczna dopóty, dopóki nie zacznie myśleć, że może jemu chodzi o coś innego niż pięćdziesiąt jeden procent udziałów we współwłasności plantacji.

- Czułam się bardzo samotna - wyznała. - Ojciec był bez reszty pochłonięty karierą. Częste przeprowadzki były obciążeniem; marzyłam o normalnym życiu domowym, o gronie stałych przyjaciół. Nie miałam na kim się oprzeć, kiedy ojciec umarł.

- I wtedy na pani drodze stanął mój kuzyn - domyślił się Ren.

- Tak. Zawsze będę mu za to wdzięczna. Był uosobieniem szlachetności i dobroci dla osieroconej szesnastoletniej dziewczyny.

Droga, którą jechali, zwężała się i wiodła stromo pod górę. Emma wysunęła się ze swoim koniem do przodu. Była zadowolona, że mogła zostawić Rena w tyle. Chociaż

od śmierci Merry'ego upłynęły cztery miesiące, jej żal po stracie był wciąż świeży. Jeśli za wiele współczucia – szczerego bądź udawanego – okaże jej Ren Dryden, to gotowa zmienić się w fontannę, a tego chciała uniknąć.

Dotarli na szczyt i zsiadli z koni. Emma podeszła na skraj urwiska, pragnęła bowiem zyskać na czasie, by wyciszyć emocje. Jednak Ren jej na to nie pozwolił. Podszedł i stanął tuż za jej plecami tak blisko, że poczuła zapach jego potu zmieszany z zapachem konia i mydła, którego użył rano. Kombinacja nie była niemiła.

– To najwyższy punkt na terenie Sugarlandu. Widać stąd całą posiadłość.

To był jeden z jej najbardziej ulubionych celów konnych przejażdżek. Kiedy Merry dobrze się czuł, często się tu wyprawiali. Po raz ostatni dwa dni przed jego śmiercią. Droga bardzo go zmęczyła. Emma bała się, że on umrze na szczycie, i podejrzewała, że po to tu przyjechał. Chciał opuścić ten świat, mając w oczach widok posiadłości. Tego samego dnia ostrzegł ją przed Gridleyem. Szkoda, że nie uczynił tego samego wobec Drydena.

– Fantastyczny widok. – Ren gwizdnął z uznaniem. – Rozumiem, dlaczego chciała pani tu przyjechać. Człowiek czuje się tu jak król mający u stóp całe swoje królestwo.

– Albo jak królowa – uzupełniła.

To było jej królestwo, ona o nie walczyła, stawiała w jego obronie. Jaki byłby los Sugarlandu, gdyby nie okazała się jego czujnym stróżem? Gridley i inni rozszarpaliby tę posiadłość na kawałki. Ren Dryden zapewne nie okaże się od nich lepszy i zechce jej to królestwo wydrzeć.

– Proszę mi opowiedzieć o budynku na pierwszym planie – poprosił cichym, niemal pieszczotliwym głosem tuż przy jej uchu.

Emmę przebiegł przyjemny dreszczyk. Na bliskość Rena zareagowała zupełnie inaczej niż na umizgi Gridleya, które wzbudzały w niej obrzydzenie.

– To cukrownia, gdzie odbywa się proces rafinacji cukru. Nasza plantacja jest wystarczająco duża, żeby utrzymywać własną cukrownię. Mamy szczęście. Ponadto przerabiamy trzcinę dla innych drobniejszych plantatorów, którzy nie posiadają cukrowni.

Za budynkiem, o którym rozmawiali, aż po horyzont ciągnęły się pola trzciny, po czerniały po wypaleniu.

– Tam znajdują się ogrody warzywne i pola uprawne. – Emma spojrzała przez ramię na Rena. – Widzę, że jest pan zdziwiony. Jesteśmy samowystarczalni. Na plantacji ważne jest zachowanie równowagi pomiędzy roślinami uprawianymi w celu wyżywienia ludzi i zwierząt hodowlanych a trzciną cukrową. Plantacje trzciny, z której otrzymujemy cukier, zakłada się dla pieniędzy, ale co nam po nich, gdybyśmy nie mieli co jeść i każdy zarobiony grosz musielibyśmy wydawać na żywność. I tak jesteśmy uzależnieni od importu z Anglii, wstyd byłoby sprowadzać również żywność.

Ren kiwał głową. Widać było, że chłonie jej uwagi. Najwyraźniej interesowało go funkcjonowanie plantacji. Ciekawe, pomyślała Emma, co by powiedział, gdyby przyszło mu popracować na polu w skwarze lata. Swoją drogą, w czasie gaszenia pożaru nieźle sobie poczynął.

– Czy uprawa trzciny nastęcza trudności? – zapytał. – Z tego, co na ten temat

czytałem, chyba nie za wiele.

- Trzcina sama odrasta po ścięciu.

Emma wdała się w szczegóły, świadoma bliskości Rena. Nie dotykał jej, tylko stał tuż za jej plecami. Uwodził ją bliskością swojego ciała. Nie, to nie flirt, uznała w duchu, który polega na błyskotliwej rozmowie, wymierzaniu ciętych ripost. Dryden nie flirtował, wystawiał ją na próbę. Chciał sprawdzić, jak reaguje na jego fizyczność – zapach, ciepło, bliskość. Okazało się, że nawet najbanalniejsze słowa zaczynały mieć erotyczny podtekst, kiedy były szeptane prosto do ucha.

Dobrze wiedział, jak działać kobiecie na zmysły. Pytanie, po co to robi? Emma nie spotkała jeszcze mężczyzny, który nie kierowałby się ukrytymi motywami, kiedy zabiegał o względy kobiet czy konkretnie o jej przychylność. Nie potrzebowała być geniuszem, by się domyślić, o co chodzi Drydenowi. Nakazała sobie czujność już w momencie, w którym on zeskokczył z wozu Sherarda i wspinał się po schodach domu, onieśmielając ją swoim wyglądem: wysportowaną męską sylwetką i przenikliwym spojrzeniem przeraźliwie niebieskich oczu.

Obecne zachowanie tu, na wzgórzu, potwierdzało wcześniejsze podejrzenia Emmy, co sprawiło, że Dryden poniekąd ją rozczarował. Może w głębi duszy żywiła nadzieję, że mężczyzna, którego z uznaniem, a nawet podziwem obserwowała podczas gaszenia pożaru, okaże się inny. Chociaż rozumiała, na czym polega jego taktyka, to kiedy stał tak blisko, nie potrafiła zapanować nad przyspieszonym rytmem serca ani powstrzymać dreszczyku podniecenia, który przebiegał jej ciało. Cóż, będzie musiała się tego nauczyć.

Była inteligentną i doświadczoną kobietą. Znała się na mężczyznach. Ta wiedza musi posłużyć jej jako zbroja. Odsunęła się o kilka kroków.

- Powinniśmy wracać. Mam coś do zrobienia.

Wszystko lepsze od tej odurzającej bliskości i braku planu przeciwdziałania jej magnetycznej mocy, powiedziała sobie w duchu. Jeszcze trochę, a zapomni o swoim postanowieniu i o tym, po co Dryden przyplął na wyspę.

W drodze powrotnej opowiadała o miejscowej florze i faunie, o porach roku i huraganach, zwłaszcza o tym pamiętnym z 1831 roku, który spustoszył wyspę i pozbawił życia tysiąc pięćset osób. Zachowywała się tak po to, żeby utrzymać dystans i dać Drydenowi do zrozumienia, że są tylko współnikami w interesach i niczym więcej.

Widok domu podziałał na Emmę uspokajająco. Nie będzie musiała mieć do czynienia z Drydenem aż do kolacji. Zamknie się w gabinecie. Niestety, w miarę zbliżania się do domu, stawało się coraz bardziej jasne, że jej radość była przedwczesna. Przed gankiem jeździec zsiadał z cisawego konia. Emma zakłęła pod nosem.

- Spodziewa się pani gościa? - Ren podjechał bliżej Emmy.

- Nikogo nie zapraszałam. Prawdopodobnie sir Arthur Gridley widział dym z pałacego się pola i przyjechał, żeby wsadzić nos w nie swoje sprawy, co czyni z upodobaniem od śmierci Merry'ego.

- Narzuca się pani?

- Coś w tym rodzaju - odrzekła cierpko.

Nie dowierzała Gridleyowi. Chciał uchodzić za dobrodusznego, może nieco za-

nadto wścibskiego sąsiada, któremu w gruncie rzeczy leży na sercu jej dobro. Tyle że ona wiedziała, o co naprawdę mu chodzi i jaki z niego człowiek.

- Po co przyjeżdża?

Podobnie jak wczoraj, Emma odniosła wrażenie, że Dryden miałby chęć stanąć w jej obronie.

- Nie pana zmartwienie. Panuję nad sytuacją.

W każdym razie miała nadzieję, że tak jest. Nie byłaby gotowa przyznać się do bezradności, nawet gdyby rzeczywiście ją odczuwała. Nie chciałaby dawać mu do myślenia, że nie wszystko jest w Sugarlandzie w idealnym stanie, w obawie że mógłby to przeciwko niej wykorzystać.

Arthur Gridley ruszył im na powitanie. Uśmiechnięty przyjaźnie, jawnie grał rolę dobrego sąsiada. Emma pomyślała, że z dwojga złego woli towarzystwo Rena Drydena, a przy tym miała świadomość, że wpada z deszczu pod rynnę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Widzę, droga Emmo, że od rana działasz! - wykrzyknął Arthur Gridley na widok nadjeżdżających.

Był ubrany z wyszukaną elegancją. Każdy statek pocztowy przywoził mu nowy nabytek do jego kosztownej kolekcji garderoby. On jeden spośród wszystkich mężczyzn na wyspie niewątpliwie zasługiwał na miano dandysa.

Emma odpowiedziała grymasem niezadowolenia. Przy wymuskany Gridleyu poczuła się brudna i zaniedbana. Tyle że on nie wypalał od rana pola i nie objeżdżał plantacji. Osobiście nie nadzorował żadnych prac polowych w swojej posiadłości.

- Cieszę się, że pana widzę, sir Arthurze. - Mimo wszystko odpowiedziała uprzejmie, zaraz jednak dodała nieco złośliwie: - Czy umawialiśmy się, że pan przyjedzie?

Nie pozwoli mu panoszyć się na jej własnym terenie i nie da się zastraszyć. Wiedziała z doświadczenia, że Gridley niezmiennie wykorzystuje jej powściągliwość jako oręż przeciwko niej skierowany.

Nieproszony gość odstąpił w uśmiechu równe białe zęby. Wielu kobietom na wyspie, nie wyłączając małżonki gubernatora, miękło serce na widok tego uśmiechu. Emma zdecydowanie się do nich nie zaliczała. Gridley nie robił na niej wrażenia.

- Od kiedy to starzy przyjaciele potrzebują się umawiać, kiedy chcą się zobaczyć? - zapytał retorycznie. - Tym razem nie przyjechałem do pani, lecz aby porozmawiać z panem Drydenem. Wczoraj w chaosie panującym na folwarku nie było okazji do zawarcia bliższej znajomości.

Emma przejrzała jego intencje. Kiedy wymawiał słowo „chaos” można było odnieść wrażenie, że obwinia ją o wywołanie pożaru. Podstępny wąż przyjechał, żeby omotać nowego współwłaściciela fałszywą życzliwością, uznała w duchu. Powinna go ostrzec zawczasu. Zapewne Gridley będzie chciał wyłudzić udziały Drydena w plantacji.

- Albert był dobrym przyjacielem - zaczął ze smutnym uśmiechem.

Emma nie odniosła się do jego słów, chociaż rozmijały się z prawdą. Bez względu na to, co by powiedziała, on i tak nie przestałby pozować na kogoś, kim nigdy nie był ani dla Merry'ego, ani dla niej. Jej domysł potwierdził się już po kilku sekundach.

- Nie tylko Albert był mi bliski, ale i droga Emma również, jak sądzę.

- Pan wybaczy, ale miałam długie pracowite przedpołudnie. - Emma z trudem zdobyła się na minimum uprzejmości. Gościnnie pani domu powinna powiedzieć „Jest pan u nas zawsze mile widziany”, ale nie potrafiła aż tak kłamać. Nie będzie się bawiła w prawienie grzeczności natarczywemu Gridleyowi.

- Widziałem, podpalaliście pole - zauważył, unosząc z dezaprobatą brew i spoglądając na Emmę. Kolejną uwagę skierował do Rena: - Nie wszyscy podpalają pola. Plantatorzy starszej generacji uważają, że to ryzykowne, ale panna Ward ma skłonność do ulegania nowinkom.

- Mówi pan tak, jakbym podpałała pola dla kaprysu - stwierdziła cierpko Emma.

Nie mogła pozwolić, żeby Gridley dezawuował jej metody gospodarowania w oczach Rena Drydena, zwłaszcza że ona staje na głowie, aby zaimponować kompetencjami niechcianemu współnikowi. Podpalanie pól ułatwia i pomnaża zbiory. Gwałtownie rozprzestrzeniający się ogień wypala liście, pozostawiając nieuszkodzone łodygi i korzenie. Po ścięciu łodyg z korzeni wyrastają nowe pędy i dzięki temu te same rośliny dają zbiory kilkakrotnie.

- Jestem pewny, że panna Ward wie, co robi - oświadczył Ren.

Emma poczuła jego obecność za plecami, na szczęście w przyzwoitej odległości. Dostrzegła cień niezadowolenia, który przemknął po twarzy Gridleya, ale zaraz potem zagościł na niej dobrotliwy wyraz.

- Mimo to cieszę się, że pan przyjechał, Dryden. Weźmie pan sprawy w swoje ręce, a Emma zajmie się prowadzeniem domu.

Najwyraźniej, ku jej strapieniu, był dzisiaj w pełnej formie. Zachowywał się jak patriarcha rodu, decydujący o miejscu i rolach krewnych, ale Emma dobrze wiedziała, że Gridley nie planuje być dla niej kimś w rodzaju starszego opiekuna. Miał wobec niej ściśle określone zamiary.

- Zaprosiłabym pana, ale jestem bardzo zajęta. - Tym razem Emma posłużyła się ostrym tonem.

- Proszę nie robić sobie kłopotu z powodu mojej osoby. Jak powiedziałem, nie przyjechałem do pani - oznajmił Gridley i puścił oczko do Emmy, bo mu się wydawało, że udał mu się dowcip - lecz do pana Drydena. Proszę tylko kazać podać dzbanek falernum^[1] na werandę, a zajmiemy się sobą. - Mówiąc to, jowialnie klepnął Rena w plecy. - Wprowadzę pana w życie naszej społeczności.

- Bardzo chętnie posłucham, co ma mi pan do przekazania - powiedział Ren, rzucając Emmie dyskretne spojrzenie.

Zorientowała się, że bawi go ta sytuacja. Czyżby dawał jej w ten subtelny sposób do zrozumienia, iż w rozgrywce z Gridleyem będzie jej sojusznikiem? Uśmiechnęła się do siebie. Realizował własną strategię, ale w tej chwili przyjemnie było poczuć, że ma go chyba po swojej stronie. Doszła do wniosku, że jego obecność na plantacji jednak może się na coś przydać. Wszak wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Wróg? Przyjaciel? Życzliwy sąsiad? Niemile widziany natręt? - zastanawiał się Ren, siadając na werandzie w jednym z dwóch foteli na biegunach. Nie wiedział, jak zakwalifikować sir Arthura Gridleya, któremu panna Ward okazywała wyraźną niechęć. Nie lubiła go czy się go bała? Ukrywała coś, co Gridley mógł ujawnić? Nie znał odpowiedzi na te pytania i miał nadzieję, że rozmowa z sąsiadem okaże się kształcząca.

- I co pan myśli o naszym małym świątku? - Gridley zajął miejsce w drugim fotelu i przybrał wygodną pozycję, wyciągając nogi.

Najwyraźniej on czuje się jak u siebie, pomyślał Ren. Zapewne przyjaźnił się z Merrimore'em. Na pewno bywał tu częstym gościem, ale według Rena przesadnie demonstrował swoje prawo do pełnienia honorów pana domu.

- Gorąco tu - odparł Ren.

Wiedza to potęga, a Gridley zapewne zechce się pochwalić, ile to on wie, uznał w duchu Ren. Trzeba dobrze rozegrać tę rozmowę, a wówczas Gridley będzie mówił całe popołudnie, sądząc, że zaimponuje nowo przybyłemu. W rzeczywistości to on osiągnie swój cel – dostanie wszystko, na czym mu zależy, czyli informacje. Już dawno temu odkrył, że wśród żeglarzy nawigujących po wodach życia przewagę zyskuje ten, kto potrafi słuchać. Wiedział, że w nowym miejscu będzie musiał zacząć zawierać znajomości i przyjaźnie. Niewątpliwie zdarzy się, że nieraz źle trafi. Komu zaufać? Emmie, nieco szalonej kobiecie, która prowadzi Sugarland, czy nieskazitelnie ubranemu jowialnemu sąsiadowi?

– To prawda, gorąco. Inaczej niż w Londynie – przyznał Gridley. – Przywyknie pan. Tu występuje pora deszczowa i pora sucha, ale da się z tym żyć. Nie ma chłódów, lodu, szarego nieba.

Służąca wniosła tacę z dzbankiem wypełnionym bursztynowym płynem i dwiema szklankami. Postawiła ją na małym stoliku ustawionym pomiędzy fotelami i napełniła szklanki.

– Polubi pan falernum – powiedział Gridley. – Jest słodkie, pachnie korzeniami z domieszką wanilii.

Ren spróbował napoju. Czuło się w nim imbir, migdały i limonkę.

– Dobrze.

– Czyżby był pan zdziwiony? Panna Ward podaje najlepsze falernum na wyspie, bo jej kucharka trzyma w tajemnicy proporcję składników. – Gridley westchnął i zniżył głos: – Emma ma wszystko, co najlepsze. Najlepszą kucharkę, najlepszego dozorcę robotników, rządcę, najlepszą służbę domową. Z tego powodu narobiła sobie paru wrogów. Martwię się o nią. Cieszę się, że pan przyjechał. Może pan przemówi jej do rozsądku.

Gridley spojrział z ukosa, bez wątpienia spodziewał się, że rozmówca okaże zainteresowanie, lecz Ren się nie spieszył. Chciał dowiedzieć się więcej, zanim zadecyduje, czy można zaufać sąsiadowi. Postanowił odegrać naiwniaka.

– Chyba nie zrozumiałem, o co panu chodzi.

– Rzecz oczywista, że od razu nie może pan zrozumieć. Wprowadzimy pana we wszystko. Wtedy się pan zorientuje.

– Będę wielce zobowiązany – odparł Ren.

Zaczął się zastanawiać czy Gridley przyszedł z własnej inicjatywy, czy przysłali go inni plantatorzy, żeby otaksował i wysondował nowo przybyłego współwłaściciela Sugarlandu. Był do takich praktyk przyzwyczajony. Panowie w londyńskich klubach podobnie testowali nowych członków.

– Panna Ward nie jest niczemu winna – zapewnił pospiesznie Gridley. – Winien jest ten przeklęty system, który zaprowadzono po zniesieniu niewolnictwa. Na papierze niby wszystko się zgadza, ale w praktyce jest bardzo kosztowny dla plantatorów i ujawnia brak rąk do pracy.

Ren uniósł pytająco brew w nadziei, że Gridley odczyta to jako zachętę do udzielenia dokładniejszego wyjaśnienia. Tak też się stało.

– Pod rządami nowego systemu dawni niewolnicy mają swobodę decydowania, czy podejmą pracę na plantacjach, a także swobodę wyboru plantacji. Nie możemy ich do niczego zmusić. Naturalnie, wybierają te miejsca, gdzie dostają wyższe wyna-

grodzenia i jednocześnie wymaga się od nich mniej pracy. – Ren pojął już, na czym polega rzekoma wina panny Ward, ale Gridley postawił kropkę nad „i”. – Brakuje tylko, by Emma zaczęła ich karmić mięsem trzy razy w tygodniu. Sam pan wczoraj widział, jak ochoczo dała im wolne popołudnie, gdy nie chcieli wrócić do pracy po znalezieniu magicznej lalki.

– Czy dobrze rozumiem, że pan jest przeciwny takiemu traktowaniu? – zapytał Ren, uważnie patrząc na Gridleya. Zyskał pewność, że jego wizyta nie miała charakteru towarzyskiego. W grę wchodziły kwestie polityczne i ekonomiczne.

– Nie podoba mi się, jeśli jeden z właścicieli plantacji wyłamuje się z solidarności z sąsiadami. Wszystkim nam zależy na godnym życiu.

Ren rzucił okiem na kosztowne buty Gridleya i domyślił się, że decyzje Emmy w kwestii postępowania z robotnikami nie zanadto ważyły na jego dochodach.

Gridley złagodził ostrość swojej uwagi machnięciem ręki.

– Emma nie wie, co robi. Ma za dobre serce i jest zbyt uczuciowa. To nie pomaga w interesach. Nie widzi pełnego obrazu, nie rozumie konsekwencji swoich postanowień, a dotyczą nas wszystkich.

Ostatnia uwaga świadczyła o irytacji Gridleya. Ren poczuł, że powinien wziąć w obronę kobietę, która wcale nie kryła, że nie czuje sympatii do sąsiada. Zresztą, co to za człowiek, skoro wyraża się o Emmie krytycznie w rozmowie z jej współnikiem, i to w jej własnym domu?

– Może zbyt surowo osądza pan Emmę? Na pewno jest przekonana, że działa w najlepiej pojmowanym interesie plantacji.

– Ona nie rozumie szerszych implikacji. W tej konkretnej sytuacji jesteśmy przeciwko nim, a oni górują nad nami liczebnie. Jeśli nie będziemy trzymać się razem, oni wkrótce poproszą o dopuszczenie ich do władzy albo sami po nią sięgną.

Ren wiedział, o co chodzi Gridleyowi. Białych plantatorów było na Barbados dziesięciokrotnie mniej niż byłych niewolników, co stwarzało napięcia pomiędzy obu grupami. Władza należała do białych, ale gdyby dawna niewolnicza ludność zaczęła domagać się dopuszczenia do udziału we władzy, a jej żądania zostały spełnione, uzyskałaby w niej przytłaczającą większość.

Nawet zwycięska rebelia była możliwa. Ren jeszcze w Londynie słyszał o buntach na innych wyspach wchodzących w skład Indii Zachodnich. Przypuszczalnie Gridley i jemu podobni uważali, że rewolta nieuchronnie wybuchnie również na Barbados, i jedynej zapory upatrywali w prewencyjnym zaostrzeniu kodeksu karnego.

Ren rozumiał tego rodzaju logikę, jednak jej nie akceptował. Prawdopodobnie jego sposób myślenia podzielała Emma. Wiedział, że jeśli ujawni swoje poglądy, nie zbliży go to do Gridleya i innych właścicieli plantacji. Ostrożność nakazywała więc zachować dla siebie, co sądzi na poruszony w rozmowie temat.

– Może udałoby się dojść do porozumienia podczas dyskusji, znaleźć wspólny grunt- zauważył.

Nie chciał okłamywać Gridleya ani też wypowiadać opinii, z którymi się wewnętrznie nie zgadzał. Jednak wystarczająco długo nawigował po mieliznach polityki londyńskiej, by wiedzieć, że są mosty, których nie warto za sobą palić. Jeśli tak pochopnie postąpiła panna Ward, to tym bardziej on, mając na uwadze dobro Sugarlandu, nie może pójść w jej ślady, mimo że jest gorącym zwolennikiem zniesienia

niewolnictwa, a nawet takiego rozdziału miejsc w lokalnej legislaturze, który dokładniej odzwierciedlałby stan populacji.

Odpowiedź Gridleya była krótka i niebudząca wątpliwości.

- Wątpię w dyskusję oraz w to, czy jest wspólny grunt do znalezienia, a nawet, czy w ogóle jest jakiś grunt, i to w dosłownym sensie. Zrozumie pan to, jak tylko rozejrzy się po wyspie. Nie ma tu żadnej bezpańskiej ziemi, każdy kawałek ma właściciela. Wyzwoleni niewolnicy chcą pracować na swoim, ale jak to zrobić? Nie ma ziemi, którą mogliby kupić ani którą można by im nadać za darmo bez uszczuplenia obszaru istniejących plantacji - wyjaśnił z błyskiem w oczach, wyraźnie głęboko przekonany do swoich racji.

W tym momencie Ren doznał olśnienia - Gridley był w strachu. Bał się o to, że władze brytyjskie mogłyby wprowadzić ustawodawstwo odbierające ziemię plantatorom. Nie miał wątpliwości, że gdyby do tego doszło, Arthur Gridley powitałby strzelbą ludzi, którzy przyszliby do jego plantacji.

- Dość polityki, sam pan się zorientuje w czym rzecz - orzekł Gridley, wracając do swojego dobrodusznego sposobu bycia.

Jak ten człowiek płynnie potrafi przechodzić od jednego nastroju do drugiego, zdziwił się Ren. W jednej chwili był poważny, niemal fanatycznie przywiązany do jakiejś idei; w drugiej zachowywał się prawie niefrasobliwie.

- Jeśli chodzi o kwestię, czy rzeczywiście działanie Emmy służy jak najlepiej plantacji - podjął - to zostawmy ją na później. Wiemy, jak wielka to odpowiedzialność. Przecież panna Ward nie musi dźwigać tego ciężaru całkiem sama. Niestety, nie chce słuchać głosu rozsądku.

Ren domyślił się, że owo „wiemy” odnosi się do właścicieli sąsiednich plantacji. Wszyscy oni byli mężczyznami.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał, chociaż nie miał wątpliwości, o co chodzi. Szybko się zorientował, że Emma wszelkie podpowiedzi traktuje jako podyktowane chęcią ograniczenia jej niezależności.

- Normalnie - odparł Gridley. - Byłem blisko z Albertem Merrimore'em, a zwłaszcza w ostatnich latach. Martwił się o Emmę i o to, co się z nią stanie po jego odejściu. Obiecałem mu, że się nią zajmę. Gdyby chciała wrócić do Londynu, chętnie jej w tym pomogę. Jeśli będzie wolała zostać, umożliwię jej to. Jesteśmy najbliższymi sąsiadami. Nasze plantacje graniczą ze sobą.

- I co wybrała Emma?

- Postanowiła zostać. Samotnej kobiecie trudno prowadzić plantację, zaproponowałem jej więc małżeństwo, ale dała mi kosza. - Spojrzał Renowi w oczy jak mężczyzna, który żałuje, że coś, co miało dla niego wartość, wymknęło mu się z rąk. - Oświadczę się jej jeszcze raz, kiedy odzyska równowagę. Teraz widzę, że pospieszyłem się, chcąc spełnić obietnicę daną Albertowi. Ona była w żałobie, a po otwarciu testamentu nie oswoiła się z sytuacją. Dopiero zaczynała sobie uświadamiać, że na wyspę przyjedzie krewny, który będzie dysponował większością udziałów w plantacji. Nie była w stanie ocenić, co moja propozycja dla niej znaczy.

Oto prawdziwy cel wizyty Gridleya! - pojął Ren, który ujrzał go w innym świetle. Przyszedł, żeby zgłosić swoje pretensje do panny Ward. Niezrażony odmową, spróbuje jeszcze raz, nie bacząc na niechętnie nastawioną do niego Emmę. Nawet gdy-

by była śmiertelnie zakochana w Gridleyu, Ren nie mógłby dopuścić do ich związku. Nie będzie mu na rękę, dopóki Emma będzie posiadała udziały w plantacji. Nasuwało się pytanie, co było źródłem wytrwałości Gridleya: uczucie czy interesy. Nawiasem mówiąc, to pytanie miało dla Rena drugorzędne znaczenie, ponieważ i tak nie mógł pozwolić, by wytrwałość Gridleya została nagrodzona.

Obudził się w nim duch walki. Nie chodziło już tylko o ochronę panny Ward, podopiecznej jego kuzyna, przed namolnym adoratorem, lecz o obronę swojej własności i pozostawionej w Anglii rodziny. Gdyby Emma wyszła za mąż za Gridleya, stałby się on współnikiem Rena, a jemu zupełnie by to nie odpowiadało. Co innego sąsiad, z którym można pogadać przy szklaneczce falernum, a co innego współnik, od którego zależy pomyślność rodziny Rena. Szósty zmysł podpowiadał mu, że nie tego chciał kuzyn Merrimore, sporządzając testament. Ren liczył na to, że z czasem wykupi od Emmy jej udziały w plantacji. Swoją drogą, ciekawe, czy Gridley nadal będzie chciał ożenić się z Emmą, jeśli pozbędzie się swojej części własności?

- I tu się otwiera pole do działania dla pana, Dryden - doszło do uszu Rena. Zatoniony w myślach, musiał stracić początek przemowy Gridleya.

- Dla mnie?

- Powinien pan pomóc jej zrozumieć, co jest w najlepszym interesie jej samej i Sugarlandu. Przecież nie może prowadzić plantacji samodzielnie w nieskończoność, bo skutki tego będą opłakane.

Ren zastanawiał się, czy Gridley ma na myśli niezdolność Emmy do podejmowania właściwych decyzji w sprawach agrotechnicznych, czy raczej jej sytuację osobistą.

- Postaram się spełnić nadzieję, jaką położył we mnie kuzyn Merrimore - odparł dyplomatycznie, ale i uczciwie, zdając sobie sprawę, że może to oznaczać, iż nie postąpi zgodnie z życzeniem Gridleya.

Wstał, dając do zrozumienia, że uznaje rozmowę za zakończoną. Miał się nad czym zastanawiać. Jeśli Gridley przyszedł jako wysłannik pozostałych sąsiadów, to spełnił nałożone nań zadanie. Przekazał, co potrzebne, a nawet zadbał o własne sprawy. Bez wątplenia jest człowiekiem, który swoje interesy stawiał na pierwszym planie.

- Miło się rozmawiało, panie Dryden. - Gridley wyciągnął dłoń. - Zamierzam wydać kolację na pana cześć, aby miał pan okazję poznać resztę sąsiadów. Dam panu znać o szczegółach przez Emmę.

- Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia. - Ren odprowadził Gridleya do wyjścia.

Rozumiał, że on musi zrobić następny ruch. Gridley oraz inni sąsiedzi będą oczekiwali, jak on się zachowa. Mogą się zdziwić. Niewiele wiedział o uprawie trzciny cukrowej, ale znał się na ludziach. Jeśli Emma Ward uważa, że ma wszystko pod kontrolą, to powinna zacząć się zastanawiać, czy tak jest rzeczywiście.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trzymam rękę na pulsie, uznała w duchu zadowolona Emma, przesuwając pionek na planszy tryktraka. Ta konstatacja nie dotyczyła tylko gry, lecz całej sytuacji, w jakiej się znalazła. Była dobrej myśli w kwestii zbiorów, plantacji, a nawet ułożenia sobie kontaktów z Gridleyem. Owszem, popełniła błąd, nie biorąc pod uwagę przyjazdu Rena Drydena, współwłaściciela Sugarlandu z mocy testamentu Merriego.

Niemniej trzeba zachować czujność i rozwagę – jeden fałszywy krok może doprowadzić do katastrofy. A tego stanowczo sobie nie życzyła i była zdecydowana nie pozwolić zapędzić się w koziego róg. O rezygnacji z Sugarlandu nie mogło być mowy, a tym bardziej o triumfie Gridleya. Po prostu do tego nie dopuści.

Ren nie przyszedł do niej bezpośrednio po wyjściu Gridleya, co poczytała za dobry znak. Wyglądało na to, że nie ma powodu do zmartwienia. Czy aby na pewno? – zaniepokoiła się nagle. Podczas kolacji Ren także nie wspomniał ani słowem o przedmiocie rozmowy z Gridleyem. Po wstaniu od stołu przeszli do biblioteki na partyjkę tryktraka.

W tym momencie Ren z namysłem wpatrywał się w planszę. Potrząsał kubkiem z kostkami.

– Przydałby mi się dubel. Nie mam ruchu, jeśli nie rzucę co najmniej jednej piątki.

– Nie ma pan szans – odparła ze śmiechem Emma. Zablokowała mu wszystkie pola. Pomyślała, że miło jest spędzać wieczory we dwójkę.

– Jest pani za pewna siebie, Emmo Ward – odparł z uśmiechem Ren.

Do kolacji włożył strój wieczorowy i wyglądał zabójczo. Kiedy siadali do tryktraka, zdjął surdut. Prezentował się w nim bardzo atrakcyjnie, ale jeszcze większe wrażenie zrobił na Emmie w koszuli i kamizelce. Po pewnym czasie wyjął spinki z mankietów i podwinął rękawy.

Atmosfera domowej intymności uruchomiła wyobraźnię Emmy. Tak mogliby wyglądać mąż i żona w spokojny wieczór po pracowitym dniu na plantacji. Gdyby stawka nie była tak wysoka, nie chodziło o przyszłość plantacji i jej własną, gdyby nie musiała zachowywać czujności, w obawie że współnik toczy z nią podejrzaną grę, Emma mogłaby się zakochać w Renie. Romans byłby przyjemnym urozmaicheniem życia. W istniejącym stanie rzeczy wskazane było jednak zachowanie rozsądku i nieuleganie złudzeniom.

– Rzuca pan? Wpatrywanie się w planszę nic panu nie da.

– Jest pani zbyt pewna, że nie rzucę dwóch piątek. A może się założymy? Jeżeli rzucę dubla z dwóch piątek, to dostanę fant. Jeśli mi się nie uda, pani może zażądać fantu ode mnie. – Potrząsnął kostkami w kubku. – Czegoś drobnego. Naturalnie, nie chodzi o, na przykład, pani udział w plantacji. Nie proponuję pani zagrać o nią w karty, bobym panią łatwo ograł. Pani ma wszystkie myśli wypisane na swojej ładnej twarzy.

Emma udała oburzenie.

- Zgoda, przyjmuję zakład. Już myślę o tej drobnej rzeczy, której mogłabym od pana zażądać. Jest ich tyle, że trudno się zdecydować.

Ren rzucił kostki i aż krzyknął z wrażenia. Emma patrzyła z niedowierzaniem. Na stole leżały dwie piątki.

- Diabelskie szczęście. Myślałam, że pana zablokuję. A co z fantem?

- Mam czas - odparł tajemniczym głosem. - Będzie pani miała jeszcze jeden powód do rozmyślań oprócz zastanawiania się, o czym rozmawialiśmy z Gridleyem.

- Wcale o tym nie myślę - zaperzyła się Emma.

- Przeciwnie. Martwi się tym pani przez cały wieczór.

- Już panu mówiłam, że panuję nad sytuacją, jeśli chodzi o Arthura Gridleya.

Emma rzuciła marną kombinację dwójki i trójki, która nie przybliżyła jej do zwycięstwa. Wyciągnęła rękę, żeby posunąć swoje pionki. Nagle Ren chwycił jej nadgarstek. Przestraszyła ją gwałtowność tego gestu.

- Nic podobnego. Odrzuciła go pani, ale on nie zrezygnuje. Zastanawiam się, skąd się bierze jego upór.

Emma zamarła. Gridley wszystko wypaplał! Bóg wie, co jeszcze naopowiadał.

- To osobista sprawa. Nie powinien panu o tym mówić - zauważyła i wyrwała rękę.

- Prawdopodobnie nie. Mimo wszystko cieszę się, że zostałem o tym fakcie poinformowany. To element szerszej wiedzy na temat tego, co się tu dzieje.

Przytyk był tylko lekko zawołowany. Ren pytał wcześniej Emmę, kim jest dla niej Gridley, ale wówczas uchyliła się od odpowiedzi. Natomiast Gridley nie miał oporów. Skorzystał z okazji i pierwszy przedstawił swoją wersję, niewątpliwie pokazując się w korzystnym świetle.

Renowi udało się rzucić kolejnego dubla i już niewiele dzieliło go od wygranej.

- Według mnie, mężczyzna ujawnia osobistą informację obcemu tylko wtedy, kiedy czuje się głęboko zraniony odmową i przestaje myśleć rozsądnie, albo wówczas, gdy przyświeca mu ukryty cel. Jaki cel, zdaniem pani, może mieć Gridley? - zapytał, porzucając dotychczasowy żartobliwy ton.

- Sądzę, że Gridley cierpi na przerost ambicji - odrzekła wymijająco Emma.

Nie chciała dzielić się z Renem podejrzeniami co do prawdziwych zamiarów Gridleya, ponieważ nie dysponowała dowodami. A nawet gdyby je miała, nie wiedziałaby, czy może zaufać Drydenowi. Nie była przekonana, że stanie po jej stronie.

Ren wykonał ostatni rzut, który dał mu zwycięstwo w grze. Emma z niedowierzaniem pokręciła głową. Niemal do końca był na straconej pozycji.

- Merry też potrafił niespodziewanie wygrywać - powiedziała. - Kiedy byłam pewna, że jestem górą, nagle wyprowadzał mnie z błędu. Poza tym sprzyjało mu szczęście. Jeśli potrzebował dubla, to po prostu go rzucał.

- Miło mi to słyszeć. Muszę wyznać, że nie znałem kuzyna za dobrze. On mieszkał tutaj, ja w Londynie. Dzielił nas ocean w sensie dosłownym, ale oddaliła nas od siebie także różnica wieku. Mimo to lubiłem go. Kilkakrotnie nas odwiedzał. Ostatnim razem, kiedy studiowałem w Oksfordzie, około dziesięciu lat temu.

- Merry był dobrym człowiekiem, jednym z najlepszych, jakich znałam. Miał w sobie wiele empatii.

Gdy go poznała, miała piętnaście lat i ojciec jeszcze żył. Dopiero co zamieszkali na wyspie. Zawahała się, czy poruszyć kwestię, która dręczyła ją przez cały wieczór, jednak się zdecydowała.

- Mam nadzieję, że Gridley nie powiedział dzisiaj panu niczego, co splamiłoby pamięć o Merrym.

- Zapewnił mnie, że kuzyn Merrimore był jego bliskim przyjacielem, zwłaszcza w ostatnim okresie przed śmiercią. Muszę wyznać, że ta wiadomość mnie zdziwiła. Gridley był od Merrimore'a młodszy o kilkadziesiąt lat. Nie wydaje mi się, by stanowią dla niego odpowiednie towarzystwo, ale widocznie tu, na wyspie, nie można być zbyt wybrednym, jeśli chodzi o przyjaźnie. - Mówiąc to, chciał zmusić Emmę, żeby potwierdziła słowa Gridleya albo im zaprzeczyła.

Tymczasem uchyliła się od bezpośredniej odpowiedzi, chcąc najpierw wysondować, co Ren sądzi o Gridleyu.

- A pan co myśli o naszym sąsiedzie? Zostanie pańskim przyjacielem?

- Możliwe - odrzekł wymijająco. - Rozmawialiśmy zaledwie raz. Nie znam go wystarczająco dobrze. Czy pani chciałaby, żebym się z nim zaprzyjaźnił? Czy moglibyśmy z tej bliższej znajomości wyciągnąć korzyści dla Sugarlandu?

Emma zauważyła owo „my”. Świadczyło o tym, że Dryden planuje aktywnie uczestniczyć w zarządzaniu plantacją. Pozostawała do rozstrzygnięcia istotna kwestia: zamierza wziąć udział czy chce przejąć plantację. W drugim przypadku niewiele różniłby się od Gridleya. Na podstawie dzisiejszego zachowania Emmie było trudno cokolwiek orzec w tej kwestii.

- Obawiam się, że zdenerwowałam Gridleya - zaczęła ostrożnie. - Mamy odmienne poglądy, posprzeczaaliśmy się i teraz dzieli nas różnica nie do pogodzenia.

Była pewna, że Ren nie zadowolony się tą wykrętną odpowiedzią. Będzie się domagał dokładniejszego wyjaśnienia. Tymczasem on zdawał się zastanawiać nad jej słowami. Podszedł do drzwi otwartych na taras i stanął odwrócony do niej tyłem. Przedstawiał przyjemny widok. Wieczorowe spodnie opinały jędrne pośladki, krótki kamizelki podkreślał szerokie ramiona i wąską talię. Był męski i przystojny, imponował pewnością siebie, mógł budzić zaufanie. Była skłonna mu zaufać, ale za bardzo obawiała się zaryzykować.

- Podejrzewam, że Gridley nie należy do ludzi, którzy godzą się z porażką - odezwał się Ren.

Emma wstała i do niego dołączyła. Miała nadzieję, że przyjemny wieczorny wieczerzyk, wchodzący do domu z zewnątrz, rozpędzi nieprzyzwoite myśli, które kłębiły się w jej głowie. Musi skoncentrować się na rozmowie, a nie na rozbieraniu go w wyobraźni. Chciał coś z niej wyciągnąć i bała się, że niebacznie powie mu to, czego on oczekuje.

- Tak - rzekła ostrożnie. - Gridley lubi wygrywać.

- A pani nie lubi?

- Chcę chronić to, co do mnie należy. Myślę, że na tym polega fundamentalna różnica między mężczyznami a kobietami.

- Jest pani bardzo bezpośrednia. Ta bezpośredniość rani ego Gridleya.

Emma westchnęła z rezygnacją. Znowu wracali do tamtych nieszczęsnych oświadczeń.

- Co panu naopowiadał?

- Tłumaczył mi, że działał w pośpiechu powodowany lojalnością wobec kuzyna Merrimore'a, a pani nie była w stanie należycie ocenić korzyści wynikających z jego propozycji.

Ren zwrócił na Emmę spojrzenie przenikliwych niebieskich oczu, mówił ściszym głosem, co sprawiało, że rozmowa nabrała intymnego charakteru, jak zresztą cały wieczór spędzony nad planszą do tryktraka.

- Wspomniał, że ponowi swoje oświadczenia - dodał. - Przyjmie je pani teraz, kiedy doszła do siebie po okresie żałoby i miała czas, aby przemyśleć swoją sytuację?

- Śmiałe pytanie - odparła wykrętnie.

Nigdy nie przyjmie awansów Gridleya, uznała jednak, że wyjawienie tej informacji Drydenowi po zaledwie dniu znajomości byłoby nadmierną szczerością. Poza tym mógłby potraktować to jako zachętę do flirtu, a nie wiedziała, czy Ren bardziej zasługuje na jej zaufanie od Gridleya. A gdyby tak spróbować wygrać jednego przeciwko drugiemu? Tylko którego przeciwko któremu? Gdyby powiedziała „tak” Gridleyowi, to czy Ren zachowa się jak na dżentelmena przystało i poczuje się zmuszony do odwrotu? A gdyby przyznała się, że odmówi, a on zacznie ją uwodzić, czy byłby to wystarczający bufor przeciwko Gridleyowi?

- To pytanie biznesowe - wyjaśnił. - Dla mnie ma wielkie znaczenie, za kogo pani wyjdzie za mąż. Będę musiał z tym mężczyzną współpracować, wszak w jego rękach znajdzie się czterdzieści dziewięć procent mojego źródła utrzymania.

- Może właśnie z tego powodu nigdy nie wyjdę za mąż. Ja też będę musiała powierzyć temu komuś swoje czterdzieści dziewięć procent.

Nie wiadomo kiedy Ren uniósł dłoń Emmy i zaczął palcem rysować na jej grzbiecie kółka. Robił to leniwie, ale pod wpływem tego dotyku Emmę ogarnęło przyjemne ciepło.

- Gridley dostanie kosza? - przyparł ją do muru. - Wczoraj i dzisiaj wyczuwałem między wami napięcie.

Wyraźnie domagał się odpowiedzi i Emma czuła, że jest mu ją winna jako zapłatę za to, że stanął po jej stronie, chociaż nie był o to proszony.

- Dostanie kosza.

Nie tłumaczyła dlaczego. Spłaciła dług. Reszty będzie musiał sam się domyślić.

- Sąsiedzi mogą nie być z tego zadowoleni.

- Wiem - odparła.

Wszyscy skorzystaliby, gdyby wyszła za mąż za Gridleya choćby dlatego, że jej plantacja przestałaby konkurować o siłę roboczą.

- Pańska obecność powinna ich uspokoić - dodała. - Chcą, żeby Sugarlandem zarządzał mężczyzna, i będą go teraz mieli, przynajmniej nominalnie.

- Więcej niż nominalnie - poprawił ją z uśmiechem. - Czy to nie okazja do zmiany pani nastawienia do mnie? Uważam, że w okolicznościach, o których rozmawiamy, powinna pani być zadowolona z mojego przyjazdu. Nie pojmuję, dlaczego wczoraj dawała mi pani do zrozumienia, że jest inaczej.

Emma czuła się tak, jakby prowadziła walkę na dwa fronty. Na jednym froncie przeciwnikiem był Gridley i co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Na drugim znajdował się Ren, a on mógł być równie dobrze wrogiem, jak przyjacielem. Pora

rozstrzygnąć tę kwestię.

Potrzebowała go, to pewne. Mógł stanąć między nią a osaczającym ją Gridleyem, a także między nią a sąsiadami, którzy chcieli mieć do czynienia z mężczyzną, bez względu na to, czy znał się na uprawie trzciny cukrowej. Uważali, że nawet ignorant będzie lepiej zarządzał plantacją niż ona, która o uprawie trzciny cukrowej wie wszystko, tylko dlatego, że jest kobietą. Mógł wesprzeć ją w wojnie, jaką toczyła od śmierci Merrimore'a przeciwko wszystkim, którzy wątpili, by Sugarlandem mogła kierować kobieta, i to nie gorzej niż mężczyzna. Może wówczas dano by jej spokój.

Emma zacisnęła ukryte w fałdach spódnicy dłonie w pięści. Gridley, natrętny jak zwykle, usiłował za pomocą sztuczek z magicznymi lalkami wystraszyć jej robotników, podłożył ogień pod kurnik. Jak w tej sytuacji zdoła przekonać Rena, że wszystko ma pod kontrolą, kiedy okoliczności świadczą o czymś przeciwnym? Wzmagął się atak na jej niezależność.

- Prawda jest taka, że pani mnie potrzebuje - usłyszała.

Ren potrafił sprawić, że oświadczenie zabrzmiało jak zaproszenie do popełnienia grzechu. Tak samo było na urwisku. Zdawałoby się, że toczyli rozmowę o zbiorach, a w istocie była to gra wstępna.

Stanęli blisko siebie, już nie jedno obok drugiego, lecz twarzą w twarz. Ren przesunął opuszkami palców po policzku Emmy. Oparła się o futrynę drzwi, świadoma, że znalazła się w pułapce. Nie miała dokąd uciec przed jego pałającym wzrokiem. Z bijącym sercem czekała na następny krok.

- Co pan robi? - wyszeptała, chociaż dobrze wiedziała, do czego on zmierza. Przez cały dzień wystawiał ją na próbę, prowokował, a przy tym dobrze bawił się jej udawaniem, że nie rozumie, na czym polega jego gra.

Przywarł ustami do jej szyi.

- Odbieram należny mi wygrany fant.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Poddaj się - szepnął.

Bliskość Rena podziałała podniecająco na Emmę. Odchyliła się w tył, żeby ułatwić mu dostęp do swojej szyi, a on nie omieszkał z tego skorzystać i przewędrował miękkimi ustami aż do małżowiny ucha. Poczwała delikatne ugryzienie i gorący oddech, ledwie muskający skórę. Było jej bardzo przyjemnie, lecz nie mogła pozwolić na więcej, bo skończyłoby się na kapitulacji, a do tego nie wolno jej było dopuścić. Wiedziała, jakimi konsekwencjami groziłaby uległość.

Wieczorem Ren podjął natarcie i Emma z największym trudem opierała się jego urokowi. Rozsądek przemawiał za jak najdalej posuniętą wstrzeźliwością, a jednak dopuściła do siebie wątpliwości. A może nie stałoby się nic złego, gdyby pozwoliła na jeden pocałunek? - zadała sobie w duchu pytanie. Czy nie warto mieć tego za sobą, by raz zaspokoić ciekawość, i na tym skończyć? Pomyślała, że nigdy nie dowie się, jakie są prawdziwe intencje Rena, jeśli go teraz odtrąci.

Przecież nie robi niczego złego, pozwalając sobie na chwilę zapomnienia. Tak długo walczyła, zachowywała czujność, żeby nie dać się podejść osaczającym ją nieprzyjaciołom. Ren nie stanowi zagrożenia dla jej czterdziestu dziewięciu procent, skoro ma większość udziałów. Związane z plantacją plany Rena mogą się jej nie podobać, ale są jasne, w przeciwieństwie do zamiarów tych wszystkich mężczyzn, którzy uczestniczyli w pogrzebie Alberta Merrimore'a. Przyszli, aby się zorientować, jak mogliby obrócić zaistniałą sytuację na swoją korzyść.

Dlatego nie zaprotestowała, gdy Ren przywarł ustami do jej warg i usiłował je rozchylić językiem. Nie stawiała oporu i też wysunęła język, ciekawa, jak smakują jego pocałunki. Tymczasem on otoczył jej talię silnymi dłońmi i przyciągnął ją ku sobie. Wystarczyłoby, żeby lekko uniosła ręce i mogłaby dotknąć tych jego wspaniałych szerokich barów. Przecież ten gest nie musi o niczym świadczyć, uznała w duchu, chyba wolno być przez chwilę sobą. Ten argument zadecydował.

Wtulila się w ramiona Rena i upajała pieśczołą jego ust. Całował z pewnością siebie doświadczonego kochanka, świadomego, jak jego pocałunki działają na kobietę. Emma odpowiadała z całą szczerością, na jaką było ją stać. Ren smakował wypitym podczas kolacji winem, pachniał wanilią i czystym zdrowym mężczyzną. Przyłgnęła do niego całym ciałem, upajając się emanującą z niego siłą. Przez ubranie poczuła jego masywne uda i twardość mięśni i w tym momencie ochłonęła. Zabrnęli stanowczo za daleko.

Niechętnie, ale oderwała się od Rena.

- Musimy przestać - odezwała się przerywanym głosem.

- Dlaczego? - zapytał, opierając czoło o jej czoło i zaglądając jej głęboko w oczy.

Będąc tak blisko Rena, nie potrafiła na poczekaniu wymyślić racjonalnego powodu.

- Prawie się nie znamy - odparła cicho, świadoma, że kłamie. W gruncie rzeczy

poznała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że wkroczyli na drogę donikąd.

- Chyba nie docenia pani, jak wiele pocałunek może powiedzieć o człowieku, nawet o kimś zupełnie obcym. - Ren stał oparty jedną ręką o framugę, ale wciąż nie-przyzwoicie blisko Emmy. - Na przykład już wiem, że jest pani nadzwyczaj namięt-
ną kobietą. Pani nie całuje wyłącznie ustami, lecz także biodrami, ramionami, całą
sobą. Zasługuje pani na kochanka godnego pani temperamentu.

- I właśnie pan nim jest? - zapytała oschle, chociaż pragnęła ponownie znaleźć się
w jego objęciach. Rzeczywiście, przyznała w duchu, jestem kobietą namiętą, lecz
niełatwą do zdobycia.

- Mógłbym nim być, Emmo. Zbyt długo jest pani sama - odparł i utkwiał wzrok
w jej ustach. - To było zaproszenie, nic więcej. Reszta należy do pani.

Odepchnął się od futryny i wyszedł do ogrodu. Gdy tylko znalazł się poza zasię-
giem lampy, pochłonęła go ciemność tropikalnej nocy. Emma bezskutecznie szukała
go wzrokiem.

Dzisiejsza niezapowiedziana wizyta Gridleya zmieniła jej zapatrywanie na obec-
ność Drydena. Zamiast traktować go jak drugiego przeciwnika, z którym powinna
toczyć wojnę, należałoby zachęcić go do wcielenia się w rolę sojusznika. Mógłby
stać między nią a Gridleyem chociażby z tej racji, że jest większością udział-
łowcem plantacji. Chyba tak właśnie będzie, ponieważ dał jej to do zrozumienia.
Tyle że na jak długo? Co się stanie, jeśli w przyszłości postanowi sprzedać swój
udział i wrócić do Londynu? Jak mogłaby skłonić go do pozostania?

W ciągu jednego dnia sytuacja zmieniła się diametralnie. Jeszcze rano wręcz ży-
czyła sobie, by Ren sprzedał swój udział i wyjechał, bo wtedy mogłaby samodzielnie
zarządzać plantacją. Tyle że, jak się okazało, zlekceważyła zagrożenie ze strony
Gridleya. Będzie miała z nim więcej kłopotów, niż przypuszczała. Wyjście za niego
za mąż oznaczałoby nie tylko utratę kontroli nad Sugarlandem, lecz także nad wła-
snym losem, a tego ostatniego Emma bała się najbardziej. Już zaznała władzy męż-
czyzny i nie życzyłaby sobie ponownie znaleźć się w takim położeniu.

Stała jej przed oczami jak żywa postać Thompsona Hunta, odżyły wspomnienia
okrucieństw, jakich się wobec niej dopuszczał. Nie miała wątpliwości, że Gridley
okazałby się jeszcze gorszy. Thompson, niespełniony artysta, fałszerz dzieł sztuki,
był małodusznym egoistą. Natomiast Arthur Gridley był sadystą i, według niej, mor-
dercą. Gdyby została jego żoną, nikt by nie uwierzył jej skargom, zakładając, że ży-
łaby dostatecznie długo, by zdążyć się poskarżyć. Emma była pewna, że jej małżeń-
stwo z Gridleyem nie potrwałoby długo po wymarżonym przez niego przejęciu Su-
garlandu.

Głęboko odetchnęła. Wróciła do terażniejszości. Ren musi zostać. Ona go potrze-
buje, i to nie tylko w charakterze większościowego współnika z nie do końca wyja-
wionym jej planem na przyszłość. Jak sprawić, by się zaangażował na stałe, mimo
że może się dowiedzieć, iż sytuacja finansowa Sugarlandu nie jest tak doskonała,
jak wynika z jej zapewnień? Czy odważyłaby się związać z Drydenem w taki sposób,
w jaki wzbraniała się z Gridleyem?

Jeśli zdecydowałaby się na małżeństwo, to ślub nie przeszkodziłby Renowi wrócić
do Londynu, zwłaszcza gdyby w zawartym wyłącznie z praktycznych względów mał-
żeństwie nie było więzi emocjonalnej. Ale przecież tak być nie musi. To mężczyzna

o gorącym temperamentem. Dzisiejszy wieczór świadczy o tym, że potrafiłaby rozniecić w Renie silną namiętność. Wiedziała, że seks to potężna broń. Przekonała się o tym, kiedy zastosowano ją przeciwko niej. Nigdy nie zniży się do poziomu Thompsona Hunta, ale może użyć atutów, jakie ma.

Kobiety nie są gorsze od mężczyzn... Mężczyźni uwodzą kobiety także po to, by zawładnąć ich majątkami. Być może Ren próbuje robić to samo. Wyraźnie powiedział, że się nie zniechęci i szybko nie wyjedzie. Skoro tak, to niech zostanie na stałe w charakterze jej sprzymierzeńca. Trzeba w tym kierunku podjąć działanie, postanowiła Emma, lecz powoli i rozważnie. Gwałtowny zwrot w jej stosunku do Rena wzbudziłby jego podejrzenia. Poza tym nie dowierzałaby kobiecie, która zbyt pośpiesznie obdarzyłaby go swoimi wdziękami.

Emma uznała, że wymyśliła doskonały plan. Niech Ren myśli, że ją uwodzi, a tymczasem to ona jego uwiedzie. Zwabi go do łóżka, a przy odrobinie szczęścia nawet do ołtarza.

- Jestem pewny, że uda się nam przeciągnąć go na naszą stronę - oznajmił z przekonaniem Arthur Gridley grupie mężczyzn, zgromadzonych wokół stołu w bibliotece, jednym z pomieszczeń jego okazałej rezydencji.

Miles Calvert, Elias Blakely, Hugh Devore i Amherst Cunningham byli Anglikami i szanowanymi członkami parafii św. Michała. Ich wszystkich dotknęły trudności finansowe, jakie od pięciu lat spędzały sen z powiek białym plantatorom na wyspie, i byli zgodni co do tego, że bez wydarcia Sugarlandu z rąk Emmy Ward nie zdołają rozwiązać problemu płynności finansowej swoich plantacji. Niezależnie od tego, każdy z nich miał osobiste powody, żeby trzymać się razem, przy czym niektóre bardzo dziwne. Gridley znał je na pamięć.

- Musimy działać szybko, zanim wpadnie w pazury tej przeklętej kocicy - powiedział Cunningham.

- Pracuję nad tym - odrzekł Gridley. - Dryden i ja odbyliśmy dzisiaj długą rozmowę.

Miał nadzieję, że ziarno, które posiał, zapanuje. Dryden musiał zrozumieć ostrzeżenie, by nie dobierać się do Emmy, bo należy do niego, Gridleya. Mężczyznę, którego wpuści do swojego łóżka albo przyjmie jego oświadczenia, nie będzie nikt inny, tylko on. Zrobił, co należało. Co prawda, zaniepokoił się nieco, kiedy okazało się, że Dryden jest młody i przystojny. Liczył na to, że kuzyn Merrimore'a będzie starszym panem.

- Czy ten Dryden ma pieniądze? - zainteresował się Miles Calvert.

Gridley doskonale wiedział, co się kryje za tym pytaniem. Pewnie Calvert się zastanawia, czy nakłaniać nowo przybyłego do kupna jego średniej wielkości sąsiedniej plantacji i tym samym powiększenia udziałów w Sugarlandzie. Miles Calvert od dawna nosił się z zamiarem sprzedania ziemi i powrotu do Anglii. Na szczęście zwierzył się kiedyś ze swoich planów nad szklaneczką absyntu. Jak dotychczas, Gridley skutecznie odwodził go od zrealizowania tego pomysłu. Nie było to takie trudne, gdyż do dnia dzisiejszego nie pojawił się żaden kupiec. Przypuszczalnie Calvert zastanawiał się, czy przyjazd Rena Drydena nie oznaczał zmiany sytuacji, pomyślał Gridley. Trzeba będzie mu wytłumaczyć, że nic takiego się nie wydarzyło.

- Nie jestem pewny - odrzekł zgodnie z prawdą. - Sądząc po jego garderobie i wyglądzie, należałoby się domyślić, że nie jest całkiem bez pieniędzy, ale kto wie, ile ich ma. - Gridley wzruszył ramionami na znak, że wątpi, by Dryden miał dość pieniędzy na zakup plantacji.

Do rozmowy wtrącił się Hugh Devore, masywny siwiejący mężczyzna, obdarzony silnym i władczym głosem.

- Nie pieniądze są najważniejsze, lecz koligacje. Mnie interesuje, jak dobrze Dryden znał Merrimore'a. Wiemy, że jest jego kuzynem, ale czy byli ze sobą blisko? Czy możliwe, że Merrimore mówił mu o nas? Jeśli tak, to ciekawe co? Zaliczył nas do przyjaciół czy wrogów?

W ostatnim pytaniu kryło się zawołane oskarżenie. Gridley się najeżył.

- Zapewniałem cię już wcześniej i zapewniam jeszcze raz, że Merrimore niczego nie podejrzewał i nikomu nic nie mówił, bo według niego, nie było o czym.

- Namówiłeś nas do podjęcia ogromnego ryzyka, Gridley, i przegraliśmy - oznajmił Hugh Devore. - Pomyliłeś się. Nic nie przebiegło tak, jak przewidywałeś, a teraz mamy na scenie kuzyna, dodatkową osobę stojącą na drodze do naszych celów.

Elias Blakely skinął głową na znak, że podziela zdanie Devore'a. Amherst Cunningham nie odezwał się, wpatrzony w swoje dłonie. Wszystko było jasne. W grupie szykował się rozłam. Gridley pomyślał, że będzie musiał ich spacyfikować. Nie zaważa się uciec do małego szantażu, żeby wymusić ich posłuszeństwo. Najpierw jednak spróbuje po dobroci.

- Nie przypominam sobie, żebym was widział w pokoju chorego Merrimore'a, podejmujących to ryzyko - zwrócił się do Devore'a i Blakely'ego. - Wasze ręce, panowie, są czyste, przynajmniej w tej sprawie. - Mniejsza o to, że miał ich pozwolenie na to, co tam zrobił. O tym przypomni im kiedy indziej. Wspólnicy ponoszą taką samą winę jak sprawca.

- Niemniej Emma Ward dała ci kosza, przez co nasze ryzyko okazało się daremne. Sugarland jest poza twoim zasięgiem. Nie dostałeś go ani aktem darowizny, ani przez małżeństwo.

Siedzący przy stole wyraźnie się ożywili. Pół toku temu, kiedy umierał Merrimore, zgodnie orzekli, że najprostszym sposobem przejęcia Sugarlandu od Emmy będzie wżenie się w posiadłość. Najlepszym kandydatem był Gridley, albowiem Devore i Cunningham mieli już żony, Miles Calvert był zatwardziałym kawalerem, zaś Elias Blakely nieudacznikiem i ponadto nie cieszył się dobrym zdrowiem.

- Ponowię propozycję. Chyba ona zrozumiała, jaka jest rzeczywistość - oznajmił Gridley. - Przypomnę o obietnicy złożonej Merrimore'owi i zagram na jej sentymencie.

- A Dryden? - zapytał przytomnie Devore. - Czy on nie myśli o ożenku?

- Skąd mam wiedzieć? Rozmawiałem z nim tylko raz. Nie potrafię czytać w cudzych myślach. Mam propozycję: zaproszmy go i wtedy sami go wysondujecie. Wówczas postanowimy, co z nim począć.

- Tymczasem - po raz pierwszy zabrał głos Elias Blakely - trzeba coś zrobić, żeby skłonić Emmę Ward do ustępstw. Nie muszę wam mówić, że czas ucieka. Zbliżają się zbiory. Kiedy się zaczną, decyzje będą dotyczyły następnego roku. U nas krucho z pieniędzmi. Jeśli nie zdołamy przejąć Sugarlandu, to jeden z nas może ze-

chcieć podjąć indywidualną decyzję. Ceny plantacji spadają i w związku z tym ktoś z naszego grona może wystawić plantację na sprzedaż, zanim spadną jeszcze bardziej.

- Jeśli to zrobi - Gridley przygwoździł go groźnym spojrzeniem - zniszczy kartel, nad którego utworzeniem tak ciężko pracowaliśmy. Jak będziemy trzymać się razem, ceny cukru mogą wzrosnąć.

- Tylko wtedy, kiedy będzie z nami Sugarland - zauważył Miles, który zazwyczaj puentował każdą dyskusję. - Dopóki Sugarland będzie nadal poza naszym porozumieniem, dopóty nie zdołamy kontrolować cen.

Gridley uśmiechnął się z przymusem. Coraz więcej wysiłku kosztowało go utrzymywanie jedności w tej grupie, ale nie mógł się od nich odciąć, bo ich potrzebował. Jeśli podjęcie na nowo zalotów do Emmy spacyfikuje ich nastroje, zrobi to, przy czym da jej dwa tygodnie. Niech ona otrząśnie się po pożarze kurnika i znalezieniu w zgliszczach magicznej lalki. Zaraz potem ruszy do akcji. Kolacja na cześć Drydena będzie doskonałą okazją do wznowienia zabiegów o Emmę. Wiedział, że to nie wystarczy. Były inne sposoby zaciągnięcia Emmy do ołtarza, niemające nic wspólnego z romantycznymi staraniami o jej przychyłność, za to wiele z wytrwałością w dążeniu do osiągnięcia celów bez względu na koszty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ren czekał cierpliwie, aż Michael upora się z węzłem jego fularu. Wybierali się z Emmą na kolację, którą wydawał na jego cześć Arthur Gridley. Renowi zdawało się, że wkłada zbroję, a nie strój wieczorowy.

Bitewne skojarzenie nie było pozbawione podstaw. Co prawda, w ostatnich dwóch tygodniach, kiedy na plantacjach trwały żniwa, między Gridleyem a Sugarlandem panował swego rodzaju rozejm, mimo to Ren nie potrafił zapomnieć o ambicjach i planach Gridleya wobec Emmy. Dzisiejsza kolacja mogła oznaczać koniec okresu spokoju, ponieważ Gridley będzie oczekiwał, że on opowie się po którejś ze stron – plantatorów lub Emmy.

– Proszę stać spokojnie. Pan Merrimore dbał o nienaganny wygląd, pan też powinien. Wpiąć panu szpilkę do fularu?

Ren postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji i wziąć lokaja na spytki.

– Czy Merrimore i Gridley byli bliskimi przyjaciółmi? – zapytał.

– Byli w przyjacielskich stosunkach, ale dopiero w ostatnim roku można by je nazwać bliskimi. Sir Arthur bywał u nas codziennie. Grali w tryktraka albo w szachy. Kiedy panu Merrimore’owi się pogorszyło, sir Arthur kazał mi znieść pana Merrimore’a na dół. Tam siedzieli godzinami i on mu czytał. Był tu, gdy pan Merrimore umarł, a potem też codziennie przychodził, ale w pewnym momencie panna Emma nie mogła tego dłużej wytrzymać. Z tą szpilką jest znakomicie. – Michael odstał do tyłu, żeby móc podziwiać własne dzieło. Był pewny, że zna się na swoim fachu nie gorzej niż niejeden londyński kamerdyner.

Ren sięgnął po leżący na toalecie zegarek na łańcuszku.

– Pogoniła go? – spytał.

Zaczynał rozumieć, skąd się wzięła antypatia Emmy do Gridleya. Wolałby, żeby sama mu o tym opowiedziała, ale zauważył, z jaką niechęcią wspominała Gridleya, więc jej nie zapytał. Musiał poszukać innego źródła informacji.

– Ona była w żałobie, a sir Arthur chciał, żeby szybko się zdecydowała. To było ponad jej siły. – Michael bez oporów dał się ciągnąć za język. – Pewnego dnia doszło do kłótni. Słyszeliśmy w kuchni, jak na siebie krzyczeli. Nie rozróżnialiśmy słów, bo dochodziły do nas tylko ich podniesione głosy. Zaraz potem coś upadło. Podczas sprzątania znaleźliśmy rozbity wazon. Panna Emma musiała rzucić nim w sir Arthura.

Ren stłumił wybuch śmiechu. Potrafił wyobrazić sobie tę scenę. Emma była kobietą obdarzoną temperamentem, zapewne również skorą do wybuchów gniewu. Przez ostatnie dni obserwował ją bacznie. Pocałunek zrobił swoje. Zaczynała patrzeć na niego innymi oczami. Taki był jego cel. Chciał, żeby przestała widzieć w nim wroga, a zaczęła dostrzegać kogoś, kto pomoże jej w utrzymaniu Sugarlandu, pod warunkiem że pozwoli sobie pomóc. Skoro nie przyjęła go z otwartymi ramionami w charakterze współnika, to może zaakceptuje go jako przyjaciela albo i coś

więcej. Ren pozostawił jej swobodę wyboru. Była ekscytującą kobietą, świadomą swoich pragnień i nieobojętną na jego urok.

- Dziękuję, Michael. Dam sobie radę bez ciebie. - Zwolnił lokaja, nakazując mu stanowczo, by nie czekał na niego wieczorem.

Położy się do łóżka bez jego asysty, bo wie, że Michael będzie musiał nazajutrz wstać bardzo rano. Ren zdążył się zorientować, że w czasie zbiorów trzciny nikt się nie wyleguje. Niezależnie od tego, jakie obowiązki pełnią przez resztę roku, w czasie żniw wszyscy muszą być w polu, nie wyłączając jego i Emmy. Cierpiały na tym prace w innych częściach gospodarstwa.

Był zdumiony, jak pracochłonne są zbiory trzciny cukrowej. A tymczasem z powodu chronicznego braku rąk do pracy i zabobonnego lęku, który ogarnął robotników po znalezieniu magicznej lalki w zgliszczach kurnika, Emma miała do dyspozycji nie więcej niż dwie trzecie potrzebnego personelu. On i Emma odzierali łodygi trzciny z zewnętrznych włókien i rzucali je na wozy. Londyńscy przyjaciele Rena śmialiby się, gdyby widzieli, jak złany potem uwija się na trzcinowym polu.

Na szczęście żniwa w Sugarlandzie dobiegały końca. Na innych plantacjach potrwają jeszcze jakiś czas, a w niektórych dopiero się zaczną, zależnie od stopnia dojrzałości roślin do zbiórki.

Chociaż bolały go mięśnie, Ren był zadowolony, że robi coś pożytecznego dla dobra rodziny. Wkrótce kampania cukrownicza się skończy i będą pieniądze, które pośle do domu. Miał nadzieję, że kwota okaże się znaczna. Dzięki dochodowi z plantacji Sarah, starsza siostra, wyjdzie korzystnie za mąż, a za parę lat pójdzie w jej ślady również młodsza, Annaliese. Naturalnie, on nie popłynie do Anglii, żeby weselić się razem z siostrami. Pozostanie tutaj, ale to niewielkie poświęcenie z jego strony. W dniu wyjazdu miał świadomość, że opuszcza Anglię bezpowrotnie. Może za kilka lat pojedzie do kraju w odwiedziny, ale nigdy już tam nie będzie mieszkał. Tu jest jego nowe życie. Prawdę mówiąc, wcale mu to nie przeszkadza. Londyn już dawno utracił w jego oczach wszelki powab. Gdyby nie obowiązki względem rodziny, wyjechałby dużo wcześniej, z Kitem.

Rzucił ostatnie spojrzenie w lustro. Opuścił Anglię przed pięcioma tygodniami, a już bardzo się zmienił. Włosy mu zjaśniały - przypominały kolorem dojrzałą pszenicę - twarz ogorzała. Nabrał też krzepy z racji intensywnego wysiłku fizycznego. Wątpił, by Arthur Gridley się sportował, a Emma wspominała, że on nie ma zwyczaju pomagać na polu podczas żniw.

Zadowolony ze swojego wyglądu, wziął z łóżka pelerynę. Była zupełnie niepotrzebna w tak gorącą noc, ale Michael twierdził, że na przyjęciach u sir Arthura obowiązuje pełny wieczorowy rynsztunek, a przecież nikt nie wybiera się na wojnę bez odpowiedniego uzbrojenia.

Emma czekała w bawialni. Odwróciła się od okna i Ren aż wykrzyknął z zachwytem. Wyglądała oszałamiająco. Gdzie podziała się ubrana w spodnie i buty do kolan kobieta, która obok niego pracowała w pocie czoła na polu? Zamiast niej stała dama tak wytworna, że nawet w Londynie nikt nie potrafiłby doszukać się w jej wyglądzie najmniejszej skazy.

W spiętrzone na czubku głowy ciemne włosy wplotła sznur pereł. Fryzura odsłaniała długą, smukłą szyję, ozdobioną cienkim złotym naszyjnikiem, prostym, ale

kosztownym. Złoto doskonale pasowało do ciemnoczerwonej sukni. W Londynie taki kolor uznano by za zanadto śmiały. Na salonach dominowały biel i róże. Tutaj, na tej kolorowej wyspie, na tle intensywnie zielonej roślinności i lazurowego nieba, czerwona suknia była jak najbardziej odpowiednia.

Emmie, z jej ciemnymi włosami i oczami oraz zdrową, lekko opaloną karnacją, było w niej prześlicznie. Fason eksponował doskonałą figurę: głęboko wycięty dekolt odsłaniał szczupłe ramiona, staniczek unosił wysoko piersi, spódnica zmysłowo opływała krągłe biodra, którymi tak prowokacyjnie kołysała w ruchu.

- Myślałam, że to mężczyzna powinien czekać na kobietę - zauważyła i roześmiała się gardłowo, obrzucając go aprobującym spojrzeniem.

Ren wziął z oparcia fotela okrycie Emmy i narzucił jej na ramiona, muskając dłonią odsłoniętą skórę dekoltu.

- Zapewniam panią, na mnie warto poczekać.

- Jest pan najbardziej aroganckim mężczyzną, na jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek czekać.

- Wydaje mi się, że pani nie żałuje, że na mnie poczekała.

Ren z przyjemnością się z nią przekomarzał. Może to dobry wstęp do wieczornej ofensywy? Wcześniej postanowił, że dzisiaj zacznie ją uwodzić. Był już porządnie wyposzczony, a ciągła bliskość Emmy działała mu na zmysły.

Otwarte lando stało przed domem. Ren pomógł wsiąść Emmie, a sam usadowił się naprzeciwko, tyłem do kierunku jazdy. Postanowił zachowywać się jak układny dżentelmen. Galanteria działała na kobiety. Nie opieraj się, Emmo, przemówił do niej w duchu. Wiesz, że tego chcesz, przestań torturować nas oboje.

Wiedział, że się jej podoba. Ona też mu się podobała, i to od chwili, gdy zsiadł z wozu i ujrzał ją na schodach domu. Późniejszy pocałunek miał na celu wysondowanie jej intencji. Teraz Ren czekał raczej niecierpliwie na ruch ze strony Emmy. Dwa tygodnie, które upłynęły od pocałunku, były okresem próby zarówno dla niej, jak i dla niego. Sprowokował ją, ale od tamtej pory to ona nieustannie się z nim drażniła. Patrzyła zalotnie podczas posiłków, wieczorami przekomarzała się z nim nad planszą tryktraka, jakby niechcący muskała jego ramię, kiedy mówili sobie „dobranoc”.

Żył w stanie ciągłego napięcia. Zaczynał się zastanawiać, kto kogo uwodzi. Czas najwyższy, żeby ona wreszcie odpowiedziała na jego zaproszenie. Być może dzisiaj wieczorem nadarzy się okazja do ułatwienia Emmie podjęcia decyzji.

Do domu Gridleya dojechali w pół godziny. Emma wypełniła ten czas opowiadaniem o tych, kogo tam spotkają. Ren miał głowę nabitą nazwiskami oraz różnymi szczegółami, kiedy podjeżdżali pod neoklasycystyczny budynek z portykiem wspartym na kolumnach i fontanną na środku dziedzińca.

- Ten dom dużo mówi o właścicielu - zauważył, pomagając Emmie wsiąść i kładąc dłoń na jej plecach.

- Pretensjonalne monstrum. Drugiego takiego nie ma na całej wyspie.

- Widocznie o to chodzi, żeby był nieporównywalny - odparł Ren.

Coraz lepiej orientował się w mentalności Arthura Gridleya. Zapewne jego ambicją było posiadanie rzeczy najlepszych i najrzadszych. Nic dziwnego, że oświadczył

się Emmie, kobiecie rzadkiej urody. Gridley mógł jej pragnąć nawet bez Sugarlandu.

Goście zebrali się w salonie. Gridley ruszył powitać Rena i Emmę.

- Proszę państwa, oto nasz gość honorowy! - oznajmił i uściśnął dłoń Rena, a pozostali goście powitali go oklaskami.

- Cieszę się, że pana widzę, Dryden. Pięknie się pan prezentuje. Emma nie zdążyła zaharować pana na śmierć.

Pochylił się ku dłoni Emmy i złożył na niej pocałunek. Ren zauważył, że wzdrygnęła się z obrzydzenia.

- Pięknie wyglądasz, moja droga - kontynuował Gridley. - Dobrze, że nie ubrałaś się na czarno. Albert nie życzyłby sobie, żebyś ciągle chodziła w żałobie.

- Wiem, czego by sobie życzył Merry - odrzekła ostro i cofnęła dłoń. - Pozwolisz, że oprowadzę pana Drydena wśród gości? - Tym sposobem chciała pozbyć się jego towarzystwa.

- Ja to zrobię, a ty porozmawiaj z paniami. Dawno się z nimi nie widziałaś. Panie mają mało odpowiedniego towarzystwa na wyspie. To jedna z niedogodności życia w koloniach - wyjaśnił Renowi.

Ren z Gridleyem wykonali rundę po salonie. Ren ścisnął dłonie sąsiadów i wysłuchiwał ich uwag na temat zbiorów. Emma pozostawała wśród pań, stanowiąc kolorową plamę na tle stonowanych niebieskości i szarości ich strojów. Renowi przyszło do głowy, że Gridley z rozmysłem zastosował strategię separowania go od Emmy.

Przy stole było podobnie. Ren siedział po prawej stronie Gridleya, mając po lewej za sąsiadkę Glorię Devore, która od czasu do czasu kładła mu dłoń na udzie, prowokując go w sposób oczywisty. Vis-à-vis siedziała Alexandra Cunningham, która robiła to samo wzrokiem. Emmie przeznaczono miejsce na drugim końcu stołu pomiędzy Eliasem Blakelym a Milesem Calvertem. Kiedy podano w końcu sery i owoce, Ren już wiedział, po co Gridley zorganizował to wydarzenie. Wcale nie tylko z jego powodu.

Wyciągnął najlepszą porcelanę i kryształę, postawił na stole wspaniałe jedzenie, podał kosztowne importowane wina. Niewątpliwie miał na oku jakąś korzyść. Ren domyślił się, że został honorowym gościem nie bez przyczyny. Zauważył, że Gridley nie spuszcza wzroku z Emmy. Ta wystawna kolacja miała jej uzmysławiać, jakim luksusem by ją otoczył, jaki styl życia zapewnił, gdyby przyjęła jego oświadczenia.

W Renie obudził się instynkt posiadacza, gdy wyobraził sobie Emmę w ramionach Arthura Gridleya, całującą go równie namiętnie jak jego. Chociaż wyraziła się jasno, że nie chce Gridleya, to Ren wciąż nie potrafił tego zrozumieć. Dlaczego kobieta w ogóle, nie tylko ta szczególna, mogła go nie chcieć? Gridley jest bogaty, przystojny, cechują go nieskazitelne maniery, ma imponujący dom, a nawet tytuł szlachecki, co prawda, nie dziedziczny, ale mimo to świadczący o jego wysokiej pozycji społecznej. Dziwne, że taki starający się nie przekonał Emmy do zamążpójścia. Przyjęcie jego oświadczenia, zwłaszcza złożonych w tak sprzyjającym, zdaniem Rena, czasie dla kandydata na męża, byłoby czymś absolutnie niebudzącym zdziwienia.

Żona Devore'a wstała od stołu, uznając w końcu swoją porażkę.

- Drogie panie, przejdźmy do salonu. Rozmowa zaczyna schodzić na nudne intere-

sy.

Panie wstały posłusznie i wyszły, Emma wraz z nimi. Gloria Devore była przystojną kobietą, ale Ren z zasady nie wiązał się z mężatkami. Inaczej niż Kitt, któremu było wszystko jedno, kim jest ta, którą sobie upatrzył na kolejną noc. Fruwał z kwiatka na kwiatek. Ren był bardziej stały, zaś jeśli chodzi o Emmę, zamierzał być wyjątkowo stały.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy za paniami zamknęły się drzwi salonu, Ren wzmógł czujność. Wiedział, że zaraz się wyjaśni, jaki poza prezentacją bogactwa w oczach Emmy jest cel tej wystawnej kolacji, którą rzekomo Gridley wydał na jego cześć. Tymczasem gospodarz serwował gościom porto i ani on, ani żaden z pozostałych w jadalni mężczyzn nie spieszyli się z nawiązaniem do zasadniczego tematu.

- Jak pan widzi, Dryden, nasze życie nie jest pozbawione wszelkich przyjemności. Powiedziałbym nawet, że żyje nam się całkiem dobrze w koloniach. - Gridley uniósł w górę kieliszek. - Wypijmy, panowie. Za nasz ciężko zapracowany sukces!

Ren spełnił toast, chociaż nie potrafił opędzić się od myśli, że Gridley nie zawdzięczał sukcesu własnej ciężkiej pracy. Atmosfera w jego domu nie przypominała tej, jaka panowała w Sugarlandzie. Tam Ren czuł się jak w typowym zamożnym domu angielskim. Służba pracowała w poczuciu dumy z dobrze spełnianych obowiązków, za które otrzymywała należyte wynagrodzenie. Tutaj odnosiło się wrażenie, że ludźmi, jakby nadal byli niewolnikami, kierował strach przed niezadowoleniem pana.

- Nie będę owijał w bawełnę, Dryden. Mamy z panem do omówienia ważne sprawy. - Gridley odstawił kieliszek. - Od kilku lat spadają ceny cukru. Nosimy się z zamiarem utworzenia kartelu po to, żeby je wywindować w górę. Chcielibyśmy, żeby pan przyłączył się do nas. Niech Sugarland nie odstaje od innych plantacji w naszej okolicy.

Ren powoli sączył porto. Wreszcie wyszło szydło z worka. O to chodziło Gridleyowi i pozostałym, którzy teraz kiwając głowami, dawali wyraz poparciu dla słów pana domu.

- Muszę porozmawiać o tym z panną Ward - powiedział dość oficjalnym tonem.

Gridley roześmiał się lekceważąco.

- Pan ma większościowy udział w plantacji - zauważył. - Nie musi pan o nic pytać Emmy. Niech pan przejmie kierownictwo i nie pozwoli jej wodzić się za nos. - Mru-gnął porozumiewawczo. - Nie byłby pan pierwszym, któremu zawróciła w głowie. Chyba domyśla się pan, co mam na myśli.

Słowom Gridleya towarzyszył rechot pozostałych mężczyzn. Ren się najeżył, bo uwaga była obraźliwa zarówno dla niego, jak i dla Emmy. Gridley sugerował, że Ren mógłby okazać się mężczyzną bez charakteru, podatnym na manipulacje Emmy, oraz że ona gustuje w męskim towarzystwie.

- Zgodnie z zapisem testamentu, Emma i ja jesteśmy równoprawnymi współnikami - oświadczył, chociaż ostrożność nakazywała raczej nie spieszyć się z ujawnianiem własnego stanowiska.

Czy to, co Gridley powiedział o Emmie, jest insynuacją, czy prawdą? - zastanawiał się. Z pewnością nie była niewinną panienką. Ren zauważył to zaraz po przyjeździe, a utwierdził się w tym przekonaniu następnego dnia, kiedy całowali się po

kolacji. Była świadoma siły swojej kobiecości. Czy to znaczy, że jest wyrachowaną manipulatką, jak sugeruje Gridley? Ren dopiero teraz uzmysłowił sobie, że patrzył na Emmę przez okulary kuzyna Merrimore'a.

- To, że jest równoprawną współpracowniczką, nie oznacza, że ma równe prawa. Niech pan nie pozwoli, żeby to panu wmówiła. Kuzyn zostawił panu większościowy udział nie bez powodu - wtrącił Hugh Devore. - Emma jest impulsywna i emocjonalna, na pewno czuje się zagubiona po śmierci Merrimore'a. Nie ma cech, które gwarantowałyby, że jest zdolna podejmować właściwe decyzje. Tymczasem musimy utworzyć kartel, zanim wystawimy na sprzedaż tegoroczną produkcję.

- Nie naciskaliśmy na pannę Ward - wyjaśnił Elias Blakely. - Daliśmy jej czas do namysłu. Jestem przekonany, że Merrimore przyłączyłby się do nas, ale ona odmawia. Sugarland jest największym producentem w naszej okolicy. Bez niego kartel nie będzie miał odpowiedniej siły oddziaływania.

Ren skinął głową, dając do zrozumienia, że rozumie, czego od niego się oczekuje. Nie było to skomplikowane. Uciekali się do wypróbowanej strategii: nie wpuszczają cię od frontu, spróbuj tylnymi drzwiami. Nie mogli dogadać się z Emmą, postanowili ją obejść i jego skaptować.

- Pomyślę o tym - powiedział na tyle stanowczo, by uznali dalsze naleganie za bezcelowe.

Gridley to pojął. Zmienił temat, nie dopuszczając do głosu Devore'a, który zapewne dalej by naciskał.

- Niech pan sprawdzi księgi rachunkowe Sugarlandu, Dryden. Przypuszczam, że tak samo potrzebuje pan kartelu jak my. - Uśmiechnął się do swoich gości. - Koniec rozmowy, panowie. Dołączmy do dam.

Emma z ulgą spojrzała w stronę otwierających się drzwi. Miała już dość tego wieczoru. W domu Arthura Gridleya czuła się jak w więzieniu. Przez cały czas paraliżował ją irracjonalny lęk, że nigdy nie opuści tych murów.

Nic jej nie cieszyło. Ani dobre jedzenie, które ledwie tknęła, ani towarzystwo kobiet. Udawały, że chcą jej pomóc w niezręcznej sytuacji, wynikającej z tego, że mieszkała pod jednym dachem z obcym mężczyzną. Emma nie miała najmniejszych wątpliwości, że zostały do tego namówione przez mężów, którym przede wszystkim zależało na tym, żeby usunęła się z Sugarlandu. Gloria Devore nawet zaproponowała Emmie, żeby przeniosła się do jej domu.

- Niech pan Dryden zajmie się plantacją, pani nie musi już tego robić - powiedziała z fałszywą troską.

Emma uprzejmie odmówiła. Gloria niewątpliwie wolałaby zaproponować miejsce pod swoim dachem Renowi, wzięwszy pod uwagę, ile czasu trzymała rękę pod stołem podczas kolacji.

Na szczęście nieobecność mężczyzn nie trwała długo - najwyżej pół godziny. Emma zastanawiała się, czy to dobrze, czy źle. Ren miał minę jeszcze bardziej nieprzeniknioną niż podczas kolacji, ale wyglądało na to, że wyszedł z tego spotkania górą. Emanował spokojem. Na pewno w niczym nie ustępował ani potężniejszemu od niego Devore'owi, ani niewątpliwie przystojniejszemu Gridleyowi.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Emmie zrobiło się lżej na duszy. Przyzwyczała się

do jego towarzystwa. Spędzali ze sobą dni i wieczory. Dzisiaj Gridley już od przyjscia zmonopolizował Rena dla siebie i Emma była przekonana, że nie stało się to przypadkiem. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się do niego przyzwyczaiła. Wspólnie pracowali, razem jedli wieczorne posiłki, a przed udaniem się na spoczynek grali w tryktraka. Można rzec, żyli jak domownicy.

A jednak w głębi duszy Emma się niepokoiła. Dałaby wiele, by wiedzieć, o czym rozmawiano za zamkniętymi drzwiami jadalni oraz co mówił Ren, a także jak się zachował skonfrontowany z grupą najważniejszych plantatorów na wyspie. Czy zniweczył owoce jej ciężkiej pracy? Czy użyje swoich pięćdziesięciu jeden procent, by zmusić ją do udzielenia zgody na działania, których ona sobie nie życzy? Mężczyźni już ją zdradzali. Czy Ren okaże się taki sam?

„Zdrada” to może za wielkie słowo w tej sytuacji, skoro z Renem nie łączyło jej nic poza jednym pocałunkiem. Co nie zmieniało istoty rzeczy. Nie miała pojęcia, czy może liczyć na lojalność i poparcie tego silnego i pewnego siebie przybysza, który wkroczył w jej życie. Właśnie rozmawiał z Gridleyem. Posłała mu uśmiech, mając nadzieję, że odczyta to jako zaproszenie, ale to nie on, lecz Gridley zbliżył się do kanapy, na której siedziała.

- Droga Emmo, przejdźmy się po salonie. Nie widziałaś nowego obrazu, który właśnie nabyłem.

Nie mogła odmówić, nie mogła też nie zauważyć podekscytowanych spojrzeń, jakimi odprowadzały ją damy, kiedy oddalała się z panem domu w inną część rozległego pomieszczenia. Nie było tajemnicą, że wszystkim tu zgromadzonym byłoby na rękę, gdyby przyjęła oświadczyzny Gridleya albo znikła z wyspy. Wówczas mogliby zawiązać kartel i prowadzić interesy po swojemu, kosztem tych, na których pracy się wzbogacili.

Znowu ogarnął ją lęk. W tym domu nie czuła się bezpieczna nawet wtedy, kiedy był pełen ludzi. Kto stanie w jej obronie, jeśli Gridleyowi przyjdzie do głowy nie zachowywać się, jak na dżentelmena przystało? A może Ren, pijąc w jadalni porto, doszedł do wniosku, że życie byłoby mniej skomplikowane, gdyby sąsiadom udało się przełamać jej opór? Pomyślała o nożu, który na wszelki wypadek przymocowała do uda pod suknią i westchnęła ciężko. Użyje go, jeśli zostanie do tego zmuszona. Wiedziała, że bez wahania zatopi go w czarnym sercu Gridleya, jeśli okaże się to jedyną możliwością obrony.

- Co to ma znaczyć? Znowu się do mnie zalecasz? - zapytała ostrym tonem. - Jeśli tak, to radzę przestać, bo dobrze znasz moją odpowiedź - dodała, udając, że z zainteresowaniem przygląda się obrazowi.

Gridley stanął stanowczo za blisko, co wywołało w Emmie chęć natychmiastowej ucieczki. W towarzystwie Rena nigdy nie nawiedzało jej takie pragnienie.

- Powinnaś się zastanowić - powiedział. - Mam ci dużo do zaoferowania. Dzisiaj wieczorem pokazałem ci wszystko. Mogę otoczyć cię taką opieką, jakiej pragnąłby dla ciebie Merrimore. Jestem cierpliwy, a nie sądzę, byś uznała moją obecność w swoim łóżku za nie do zniesienia - dodał zniżonym głosem. - Proszę o tak mało w zamian za tak wiele.

Złość Emmy zaczynała brać górę nad strachem.

- Nie graj zakochanego wielbiciela! - rzuciła gniewnie. - Jak śmiesz udawać, że

chodzi ci o uczucia, skoro oboje dobrze wiemy, że zależy ci tylko na zdobyciu Sugarlandu.

- Nie doceniasz swojego uroku, Emmo. Zapewniam, że cię pragnę. Leżę bezsen- nie nocami i wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy staniesz się moja. Mam ci opo- wiedzieć ze szczegółami? - zapytał i oczy zaświeciły mu się niezdrowym blaskiem.

- Nie! - niemal wykrzyknęła.

Oby Ren podszedł jak najszybciej, pomyślała. Przecież to nawet z daleka nie wy- glądało na normalną rozmowę. Najlepszy dowód, że w tym pokoju nikogo specjalnie nie obchodzi, w jaki sposób Gridley osiągnie swój cel. Postanowiła zagrać jedynym asem, jakiego miała.

- Jesteś właścicielem niewolników i mordercą. Jeśli nie przestaniesz mnie prze- śladować zalotami, to pójdę do sędziego - oznajmiła. Chciała odejść, lecz Gridley silnie chwycił ją za ramię.

- Wydaje ci się, że to widziałaś w sypialni Merrimore'a? - syknął, oblewając gorą- cym i kwaśnym oddechem jej twarz.

- Zabiłeś go - rzuciła śmiało, mówiąc sobie w duchu: a niech się boi. - Miałeś w rękach poduszkę.

- A ja widziałem coś zupełnie innego. Zakrywałaś poduszką jego twarz.

- Kłamiesz!

- Kto kłamie, Emmo? Ty twierdzisz, że ja zabiłem Merrimore'a, a ja ci odpowiem, że ty to uczyniłaś. Komu uwierzy sędzia? Szlachcicowi, który okazał ci wiele sza- cunku, a nawet zaoferował małżeństwo, czy kobiecie o podejrzanym przeszłości, któ- ra nie wie, czego chce? Na twoim miejscu lepiej przemyślałbym tę linię ataku. - Uśmiechnął się demonstracyjnie. Chciał, żeby wszyscy obecni myśleli, że rozmowa ma przyjacielski charakter. - Jeszcze nie pokazałaś Drydenowi ksiąg rachunko- wych. Jak sądzisz, jak długo uda ci się odwracać jego zainteresowanie od finansów plantacji?

Dla Emmy było jasne, do czego nawiązywał.

- Tak samo było z Thompsonem Huntem, prawda?

- Jak śmiesz...

- Jak ty śmiesz! - przerwał Emmie i jeszcze boleśniej wpił palce w jej ramię. Była pewna, że pozostaną jej siniaki. - Mam dość słuchania twoich pouczeń. Obrażasz mnie na każdym kroku. Potrzebujesz mnie bardziej, niż myślisz. Przyjdzie dzień, w którym będziesz mnie na kolanach błagała o pomoc. - Wbił wzrok w wycięcie jej dekoltu i oblizwał usta. - Czekam na ten dzień, jestem cierpliwy.

Emma aż skuliła się ze strachu. Już wcześniej miała do czynienia z rozwścieczo- nym Gridleyem. Tego wieczoru, kiedy w kłótni rzuciła w niego wazonem. Dzisiaj jego złość przejawiała się inaczej. Błyski w oczach, siła, z jaką ścisnął jej ramię, były przerażające. Poprzednio nie śmiał jej dotknąć. Był silnym, wysokim mężczy- zną. Dawniej Emma myślała, że będzie mogła trzymać go na dystans słowem. „Nie” znaczy „nie”. Teraz nie była już tego pewna.

Co będzie, jeśli Gridley postanowi nie czekać na jej kapitulację? Jeśli zechce prze- mocą nagiąć ją do swojej woli? Nikt go nie powstrzyma. Wszyscy popierają jego pretensje do jej ziemi. Są za tym, żeby przyłączył ją do swojej plantacji. Nikt nie do- strzega, jak złym człowiekiem jest Gridley, a jeśli ktoś to widzi, nie dba o to. Kto

stanie w jej obronie, jeśli ten drań wyciągnie po nią łapy? Zdesperowana, jakby na zawołanie, poczuła czyjąś obecność za plecami. To nadszedł Ren.

- Wydaje mi się, że Emma potrafi stanąć o własnych siłach. - Usłyszała jego głos i z ulgi niemal ugięły się pod nią kolana. - Zakręciło się pani w głowie? Chyba nie zamierza pani zemdleć, prawda? Nie potrzebuje pani pomocy dżentelmena? - Ostatnie słowa były zaadresowane do Gridleya i kryły lekko zawołowaną groźbę.

- Już mi dobrze. - Emma przesunęła się bliżej Rena i wzięła go pod ramię. Wróciła jej odwaga. - To malowidło przemawia do wyobraźni - dodała.

Gridley przeniósł badawcze spojrzenie z Emmy na Rena, usiłując odgadnąć stopień łączącej ich zażyłości. Serce Emmy biło jak szalone. Wdała się w niebezpieczną grę, nastawiając jednego przeciwko drugiemu. Ren nie daruje jej, jak zorientuje się, że chce go wykorzystać.

- Chciałabym, żeby odwiózł mnie pan do domu - poprosiła Rena. Miała dość pobytu w tym gnieździe żmij.

W ciągu dziesięciu minut znaleźli się w powozie, którego latarnie rozświetlały spowitą w ciemnościach drogę. Emma była wdzięczna Renowi, że tak szybko sprowadził powóz, jednak wołała nie podejmować rozmowy. To on odezwał się pierwszy, gdy tylko zjechali z podjazdu.

- O czym tak gorąco dyskutowaliście z Gridleyem?

- O niczym. On jest zazdrosny. To wszystko.

Emma chętnie wylałaby wszystkie żale, ale się powstrzymała. Ren uzyskałby nad nią przewagę, na którą, być może, nie zasługiwał. Jeszcze nie czas. Najpierw musi się przekonać, czy rzeczywiście może na nim polegać.

- Dlaczego miałby być zazdrosny? - zapytał z lekka prowokacyjnie.

Emmę ucieszył ten flirtujący ton. Przesiadła się, żeby znaleźć się bliżej Rena.

- Uważa, że wolę pana bardziej od niego.

- A jak jest naprawdę?

Emma przesunęła dłoń w górę uda Rena.

- Jest tak, jak on myśli. Wolę pana.

Uciekła się do niebezpiecznego zagrania, ale musiała być pewna Rena. Miała wiele do stracenia, należało więc zrobić wszystko co możliwe, żeby zabezpieczyć własną przyszłość. Swoją drogą, takie uzasadnienie postępowania było znacznie łatwiejsze do zaakceptowania niż przyznanie się, że pragnie Rena, lecz o wiele mniej prawdziwe. Podobał się jej niezależnie od wszystkich okoliczności dotyczących plantacji. Już wcześniej zaplanowała, że dzisiejszego wieczoru odkryje przed nim swoje intencje, i to bez związku z przebiegiem przyjęcia u Gridleya.

Ren przykrył jej dłoń swoją ręką.

- Emmo, naprawdę sądzi pani, że to dobry pomysł?

Nieważne, dobry czy zły, ale jedyny, jaki jej przyszedł do głowy. O ile w ogóle seks mógł zagwarantować przywiązanie do niej Rena w sposób nieodwracalny. Zresztą czy na tym etapie ich znajomości bliskość nie wydawała się czymś naturalnym? Wszystko prowadziło w tym kierunku, począwszy od pocałunku, który wymienili już drugiego wieczoru po przybyciu Rena na wyspę. On rozpoczął tę grę, a teraz ona ją dokończy. Stawką jest bezpieczeństwo zarówno jej, jak i Sugarlandu.

- To najlepszy pomysł, jaki mi przyszedł do głowy od bardzo dawna.

Przechyliła się i pocałowała go w usta tak mocno, jak gdyby wszystko od tego zależało. Zresztą tak właśnie było.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ren miał zupełnie inne zdanie. Według niego, pomysł Emmy był zły, i to z wielu powodów, z których najbardziej oczywisty był ten, że w czasie kolacji nie skąpiono wina i oboje wypili go bardzo dużo. Były także inne, bardziej skomplikowane. Emma nie była skłonna do zwierzeń, lecz on odgadł, że rozmowa z Gridleyem miała dla niej bardzo nieprzyjemny przebieg i potrzebowała wybawcy, który by ją ocalił od niechcianego towarzystwa. Podjął się tej roli, ruszył na ratunek. Przyszło mu do głowy, że może Emma chce mu się odwdzięczyć. Może czuje, że ma obowiązek zaproponować mu rekompensatę.

Mógłby zatrzymać jej dłoń posuwającą się w górę jego uda, zanim dotrze do krytycznego miejsca. Nie chciał seksu z wdzięczności, lecz jego ciała najwyraźniej nie sprawiło to różnicy. Odpowiedziało na jej wezwanie ze szczerym entuzjazmem. Dlatego nie zaprotestował, kiedy Emma usiadła mu okrakiem na kolanach, wysoko unosząc czerwoną spódnicę, zamknęła dłonie na twardej wypukłości w jego spodniach i przywarła wargami do jego ust. Pomimo wszelkich skrupułów, które wciąż kołatały mu się po głowie, nie stawiał oporu przeciwko tej napaści.

Dawno nie czuł się tak dobrze. Wiedziała, co robi, i robiła to tak, że jęknął z rozkoszy. Jego dłonie powędrowały ku jej udom, lecz nagle zatrzymały się. Wymacał skórzaną pochewkę.

- Boże drogi, Emmo, co to jest?

- Stary nawyk - wymamrotała między jednym pocałunkiem a drugim.

Dlaczego pojechała na proszoną kolację z ukrytym nożem? Powinien natychmiast to wyjaśnić, ale rozpraszało go dotykane jej gładkiej skóry. Dotarł dłońmi do jędrnych pośladków.

- Ty wariatko! - Lekko nagryzł dolną wargę jej ust. - Jesteś naga pod suknią.

Roześmiała się gardłowo.

- Mam na ciebie apetyt, Renie Dryden. A ty nie masz ochoty na mnie?

- Wielką.

Jest odważna, piękna i pewna siebie. Lubił te cechy u kobiet. Zaplanowała to i robiła w sposób podniecający i schlebiający mu. Takich kochanek ze świecą szukać. Niestety, nie byli sami. Oboje zorientowali się, że osiągnęli granicę tego, na co pozwalała przyzwoitość. Nie mogli posunąć się dalej w otwartym powozie, za plecami siedzącego na koźle stangreta. Od domu dzieliła ich jeszcze co najmniej mila.

Ren znalazł na to sposób.

- Potrafisz być cicho? - szepnął jej do ucha i wsunął dłoń pod spódnicę.

Była gorąca i wilgotna. Jeśli plątały mu się po głowie jakiegokolwiek skrupuły, nie było żadnych wątpliwości, że go naprawdę chciała. Odnalazł sekretne miejsce, które skrywała między nogami, pocierał je kciukiem i obserwował, jak rozszerzają się jej oczy, a ona cała drży. Bał się, że zacznie krzyczeć, więc zamknął jej usta pocałunkiem, długim i głębokim, nie przestając pocierać owego miejsca.

- Nie krzycz - upomniał ją.

Wydała jęk, który stłumił ustami. Szczytowała, wijąc się na jego kolanach, po czym opadła na niego całym ciężarem, uwolniona od nagromadzonego napięcia. Ren poczuł coś na kształt zazdrości. Ona nasyciła pożądanie, a on ciągle był aż do bólu niezaspokojony. Wiedział, że musi być cierpliwy. To był dopiero początek.

Podjechali pod dom. Gdy powóz się zatrzymał, pomógł Emmie wysiąść. Wymyślna fryzura się rozpadła, włosy spływały ciemnymi falami na ramiona, usta miała obrzmiałe od pocałunków, suknię w nieładzie. Ten widok wzmógł pożądanie Rena. Emma wciąż go pragnęła. Odczytał to w jej pałającym wzroku. W powozie dał jej chwilowe zaspokojenie, ale było to jedynie preludium.

W holu przyciągnęła go do siebie za klapy wieczorowego surduta i obdarzyła gorącym pocałunkiem. Zarzuciła mu ramiona na szyję, przywarła do niego całym ciałem.

- Weź mnie, Ren. Tutaj.

Nie potrzebował kolejnej zachęty. Uniósł Emmę i przycisnął do ściany. Nogami oplótła mu biodra i przyciągnęła go do siebie. Ledwie zdążył rozpiąć spodnie. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek pragnął jakiejś kobiety bardziej desperacko i w sposób mniej kontrolowany. Zagłębił się w niej z dzikością niegodną dżentelmena. Wydała tak długo powstrzymywany okrzyk radości. Czuł się jak król. Brał ją z niepohamowaną pasją, a ona reagowała z gwałtownością świadcząca o tym, że dzikość wyzwoliła się nie tylko po jego stronie. Uderzył po raz ostatni. Ostatni raz wykrzyknęła jego imię. Trwali jeszcze jakiś czas w uścisku.

Pierwszy oprzytomniał Ren.

- Zaniosę cię na górę.

Dotknęła stopami podłogi. Była wiotka, z trudem utrzymywała się o własnych siłach na nogach. Ren wziął Emmę na ręce i ruszył w stronę schodów. Zasnęła mu w ramionach. Położył ją w sukni na łóżku, po czym okrył prześcieradłem.

Idąc do swojej części domu, zaczął się zastanawiać nad tym, co zrobił. Raczej, co razem zrobili. Podziałało bardziej otrzeźwiająco niż filiżanka najmocniejszej kawy. Wszystko razem nie powinno się było wydarzyć. Począwszy od bezwstydney gry w powozie, po wybuch nieokiełznanej żądz w holu.

Można by uznać, że to naturalne, jeśli blisko siebie mieszkają zdrowy mężczyzna i zdrowa kobieta. Nie od rzeczy byłoby także wytłumaczenie, że wszystkiemu winna ciekawość. Podobali się sobie od początku, a potem flirtowali. W tych warunkach to, co się stało, było nieuniknione. Ale co teraz, kiedy ciekawość została zaspokojona? Jak mają się zachować? Czy jest to jednorazowy eksperyment, początek przelotnego romansu, czy może nawet czegoś trwalszego, stałego związku?

W sypialni Ren zdjął ubranie i odwiesił je, żeby z rana zajął się nim Michael. Szkoda, że kłębiących mu się w głowie myśli nie da się tak samo łatwo odwiesić na wieszak, pomyślał.

Nie ulegało wątpliwości, że Emma zainicjowała zbliżenie. Usiadła mu na kolanach, dotykała intymnych części jego ciała. Żaden normalny mężczyzna nie zdobyłby się na zignorowanie takiej zachęty. Nawet teraz, chociaż był bardzo zmęczony, reagował na wspomnienie jej zachowania. O co jej chodziło? O satysfakcję? Zaspokojenie? Gwarancję bezpieczeństwa?

To fakt, że ona dała impuls do zbliżenia, ale on odpowiedział na jej inicjatywę. W powozie i potem w holu. Podobało mu się to, co robili. Czerpał z tego taką samą przyjemność jak Emma. A na koniec doznał rozkoszy, która porwała go jak rzeka przełamująca brzegi i niszcząca wszystko na swojej drodze, przede wszystkim zdrowy rozsądek i poczucie rzeczywistości.

Na dobrą sprawę niewiele o Emmie wiedział poza tym, co zaobserwował od czasu przybycia na wyspę. Bezsprzecznie miał do czynienia z kobietą silną, zdeterminowaną i niezależną. Nie znał jej przeszłości. Jak takie cechy przekładały się na codzienne życie? Pomagały jej czy przeszkadzały? Sir Arthur Gridley insynuował, że była nieobliczalna nie tylko w interesach, ale i w stosunkach z mężczyznami. Sugerował, że potrzebowała ochrony przed konsekwencjami swoich szaleństw. Można mu wierzyć?

Gridley byłby wściekły, gdyby się dowiedział, do czego doszło dzisiaj wieczoru. Ren miał jedno na swoje usprawiedliwienie. Nie kłusował na terenie innego mężczyzny. Emma powiedziała wyraźnie, że nie są jej miłe zaloty Gridleya, ale on mógł to widzieć inaczej. Czy to, co się wydarzyło, było kolejnym szaleństwem Emmy? Podyktowanym nagłym impulsem odegrania się na namolnym Gridleyu?

Ren nie widział się w roli pionka w jej wojnie z sąsiadem. Stawka, którą w niej ryzykowała Emma, musiała być wysoka. Ren był świadkiem, jak dzielnie walczyła z pożarem, jak pewnie dowodziła swoimi pracownikami. Nie była kobietą, którą dałoby się łatwo przestraszyć. Fakt, że Gridleyowi to się udało, mówił wiele, a wnioski z tego wypływające były trudne do zaakceptowania dla Rena. Czy w jego ramiona Emmę rzucił lęk przed Gridleyem? Rzecz oczywista, że zaplanowała ich zbliżenie, ale on nie powinien sobie z tego powodu pochlebiać. Zapewne żyła w strachu na długo przed dzisiejszą wizytą, a jego postanowiła uwieść, żeby zyskać obrońcę.

- Och, Merrimore, w co ty mnie wplątałeś! - rzekł z westchnieniem, chociaż czuł, że sam nie jest bez winy.

Wykazał się brakiem rozwagi. Zachował się niczym Kitt Sherard. Przespał się, choć nie powinien używać tego określenia w odniesieniu do tego, co robił z Emmą, z kobietą, o której niewiele wiedział. Miał jeszcze mniejsze pojęcie o tym, co teraz pocznie.

Najgorsze jednak w tym - Ren musiał uczciwie przyznać się sam przed sobą - że będzie chciał zrobić to znowu. Skoro to wie, najlepiej by było, gdyby o tym nawet nie myślał. Skoro seks z Emmą tak go otumania, że zapomina o wszelkiej przyzwoitości, to należy zachować wstrzeźliwość. Odziedziczył plantację, którą powinien się zająć. W Anglii jest rodzina, której przyszłość zależy od pomyślności jego poczynań na Barbados. Jego przyszłość też od tego zależy. Uciekł z Anglii, by nie wpaść w sidła dziedziczki z Yorku, więc teraz powinien myśleć głową, a nie... inną częścią ciała.

Przypomniał sobie, co mu powiedział Gridley: „Niech pan nie pozwoli jej wodzić się za nos”. Początkowo myślał, że odnosi się to do podziału majątku i zarządzania plantacją. Obecnie zaczęło w nim kiełkować nieprzyjemne podejrzenie. Gridley dawał do zrozumienia, że Emmę stać na to, żeby go usidlić, i podobno już tę metodę wypróbowała na co najmniej jednym mężczyźnie. Wskazana byłaby więc ostrożność. Tyle że jak tu mówić o ostrożności, skoro wiedząc, że popełnił błąd, jest prze-

konany, że chętnie popełni go po raz wtóry, o ile nadarzy się taka sposobność.

Emma zrobiła pierwszy krok. Mało tego, zaplanowała go. Pojechała z wizytą bez bielizny pod suknią. To pewne, że była w tym premedytacja. Kobiety nie zapominają włożyć bielizny, ot tak sobie. Czyżby przewidywała, że kiedy dojdzie do zbliżenia, odbędzie się to w takich okolicznościach, w których nie będzie czasu na rozbieranie jej z nadmiaru bielizny? Jeśli tak, co to znaczy?

Nagle zwała mu się na głowę cała prawda. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej stawała się oczywista. Wszystko prowadziło do niepodważalnej konkluzji. Trafiła kosa na kamień. Ren Dryden, ulubieniec londyńskich dam, mistrz uwodzenia, padł ofiarą większego w tej dziedzinie mistrza, a raczej mistrzyni.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Emma przeciągnęła się leniwie w porannym słońcu. Tej nocy po raz pierwszy od śmierci Merry'ego porządnie się wyspała. Czuła się świetnie zarówno na ciele, jak i na umyśle. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pierwszą czynnością po przebudzeniu nie było zastanowienie się nad długą listą rzeczy do zrobienia.

Dopiero po chwili zorientowała się, że nie ma na sobie koszuli nocnej, tylko suknię, w której jechała na kolację do Gridleya. Przed oczami stanęły jej wydarzenia, do jakich doszło w drodze powrotnej do domu i potem w holu. Napięcie, jakie narastało między nią a Renem od jego przybycia na plantację, znalazło wczoraj ujście, ku zadowoleniu zarówno jej, jak i jego. Nie zamierzała wypierać z pamięci faktu, że do zbliżenia doszło z jej inicjatywy. To ona usiadła mu okrakiem na kolanach, to jej dłoń błąkała się po jego udzie, to ona rozpiniała mu spodnie. Ale on się nie bronił. Pożądał jej.

Zadzwoiła po Hattie. Nie zdołała sama uwolnić się z sukni. Będzie musiała wytłumaczyć dziewczynie, dlaczego spała ubrana. Będzie też musiała powiedzieć coś Renowi. Nie może pominąć milczeniem wczorajszych wydarzeń.

Pokojówka przyszła na wezwanie i załamała ręce na widok wymiętej sukni. Emma wytłumaczyła, że wróciła późno, była bardzo zmęczona i nie chciała budzić pokojowej. Dlatego poszła spać nierozzebrana.

- Położyłam się tylko na chwileczkę... i obudziłam się rano.

- Chyba uda mi się rozprasować te zagniecenia.

Hattie bez zwłoki zabrała się do rozpinania guzików umieszczonych z tyłu sukni, ale wyraz jej twarzy świadczył o tym, że podejrzewa, iż jej pani nie powiedziała jej całej prawdy.

Emma poprzestała na tych wyjaśnieniach. Podczas porannej toalety cały czas zastanawiała się, jak wytłumaczy się Renowi. Rozważała, czy nie zwalić winy na Gridleya, ale uznała, że to niedobry pomysł. W ten sposób ujawni, że jest słaba i desperacko szuka mężczyzny, który rozwiązałby jej problemy. Ren mógłby poczuć się w obowiązku zdjęcia z jej barków ciężaru kierowania plantacją, a tego sobie nie życzyła. Usprawiedliwić się nadmiarem wypitego wina? Tłumaczenie brzmiałoby wiarygodnie, ale przedstawiłaby się mu jako osoba nieodpowiedzialna. Po namyśle doszła do wniosku, że lepiej przyznać się do braku odpowiedzialności, niż wyjawić, że Ren bardzo się jej podoba, a uległa jego urokowi, bo zbyt długo była sama. No tak, ale z tego będzie wynikało, że zależy jej na tym, by został, a nawet, że potrzebuje go nie tylko do pomocy w prowadzeniu plantacji. Że chodzi jej o nawiązanie trwałszego romansu, gdyż zasmakowała w tym, co robili wczoraj.

Zadrzała. Kolejna noc z Renem? Czy tego naprawdę chce? Okazał się wspaniałym kochankiem, dał jej pełnię fizycznego zaspokojenia. Zatraciła się w nim kompletnie. Ona zainicjowała zbliżenie, ale on prawie natychmiast przejął inicjatywę. Jak wyglądałoby kolejne intymne spotkania, już nie tak pospieszne?

- Dobrze się pani czuje?

Emma uchwyciła w lustrze zatroskane spojrzenie Hattie, która upinała jej włosy. Zaczerwieniła się.

- Tak. Jestem tylko głodna - odparła i wstała sprzed toaletki.

- Śniadanie czeka na dole. Pan Dryden już zjadł. Też miał dzisiaj wielki apetyt.

Aha, więc nie spotkam go z samego rana, ucieszyła się Emma.

- Gdzie on teraz jest?

- Powiedział, że chce przejrzeć osobiste rzeczy kuzyna Merrimore'a. Michael zaprowadził go do dawnego pokoju starszego pana. Mam nadzieję, że nie gniewa się pani?

Pokój Merry'ego był zamknięty od dnia jego śmierci. Początkowo Emma nie mogła się zdobyć na przekroczenie jego progu. Potem nie miała czasu, żeby tam chodzić, tak przynajmniej sobie wmawiała. Bała się bolesnych wspomnień. Teraz będzie musiała pójść, skoro Ren już tam był.

- W porządku. Zobaczę, co robi pan Dryden.

Myślała o tym przez całe rano, a teraz na podjęcie decyzji, czym wytłumaczyć wczorajsze zachowanie, pozostał tylko czas niezbędny do pokonania długości korytarza. Więc co to w końcu było? Jednorazowy kaprys czy, tak jak pierwotnie zakładała, działanie obliczone na uwiedzenie Rena, by trwalej związać go ze sobą? Ale kto kogo uwiódł? Może nie ona jego, tylko on ją? Nie powinna zapominać, że on też miał własne kalkulacje.

Drzwi do pokoju Merrimore'a były uchylone. Znak, że Ren znajdował się w środku. Idąc tu, Emma żywiła skrytą nadzieję, że go mimo wszystko nie zastanie. Wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi.

W pokoju nic się nie zmieniło z jednym wyjątkiem. Łóżko było zasłane i zniknęły lekarstwa. Słońce wdzierało się do środka przez wielkie okno. W jego promieniach widać było pokrywający meble i podłogę kurz. Wszystkie przedmioty należące do Merry'ego leżały na swoim miejscu. Pokój wyglądał tak, jak gdyby jego mieszkaniec miał tu za chwilę wejść. Emma aż za dobrze wiedziała, że jednak nie wejdzie. Umarł w tym pokoju, a ściślej, został zamordowany.

Ren siedział przy sekretarzyku pod oknem i coś czytał. Zamiast do niego podejść, zawołała od progu:

- Dzień dobry! Powiedziano mi, że wcześniej wstałeś! - Postarała się nadać głosowi wesołe brzmienie.

Uniósł wzrok i się uśmiechnął. Na policzkach pokazały się dołeczki, które tak lubiła. Nie sprawiał wrażenia zakłopotanego. Widocznie miał więcej od niej doświadczenia w spotkaniach „dzień po”. I, rzecz naturalna, nie łączyły go żadne wspomnienia z tym pokojem.

Uniósł to, co czytał. Nie książkę, lecz oprawny w brązową skórę brulion. Osobisty dziennik Merry'ego.

- Szukałem odpowiedzi na pewne pytania i sądzę, że na niektóre znalazłem.

Emmę ogarnął niepokój, ale z innego powodu niż ten, który ją wcześniej nurtował. Nigdy nie kusilo jej, by zaglądać do osobistego dziennika Merry'ego. Za jego życia byłoby to zbyt brutalne naruszenie prywatności, a po śmierci nie miała do tego serca. Czy pisał o niej? Jeśli tak, to co? Wolałaby, żeby jej sekrety pozostały sekretami.

- Jakie odpowiedzi? - zapytała z wymuszonym uśmiechem. - Nie poszedłbyś ze mną na śniadanie? Umieram z głodu.

Nie powiedziała prawdy. Po wejściu do tego pokoju straciła apetyt. Zapraszając Rena na śniadanie, chciała go wywabić z pokoju Merry'ego. Sama też chciała stąd wyjść jak najszybciej. Zakręciło się jej w głowie. Oparła się dłonią o futrynę, bojąc się, że upadnie.

Ren wstał, ruszając jej na pomoc.

- Śniadanie? Świetna myśl. Marnie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

Wziął ją pod łokieć i sprowadził na dół do pokoju śniadaniowego. Poprosił, by usiadła. Podał jej talerz z jedzeniem. Piętrzyły się na nim jajka, dwie grzanki, dwie kiełbaski i dwa plastry melona. Nie pierwszy raz jedli razem śniadanie. Ren, jak widać, zapamiętał, co ona lubi. Zapach jedzenia przywrócił Emmie dobre samopoczucie.

- Na kolację podajemy wiele lokalnych potraw, jak zapewne zauważyłeś, ale Merry nigdy nie chciał zrezygnować z angielskich śniadań.

Ren usiadł obok. Z apetytem zabrał się do drugiego już tego ranka śniadania.

- Przepraszam, jeśli popełniłem niestosowność, udając się do pokoju kuzyna. Zauważyłem, że to ci się nie spodobało.

- Ależ skąd, miałeś do tego pełne prawo... To przecież także i twój dom.

Prawdę powiedziawszy, nie mogła sobie tego wciąż wyobrazić, ale zgodnie z jej planem Ren tak powinien zacząć się czuć w Sugarlandzie - u siebie. Kiedy się do tego miejsca przywiąże, nie będzie skłonny myśleć o wyjeździe. Powinna pracować nad tym, żeby tak się stało.

- Czego tam szukałeś? - zdobyła się na odwagę, żeby zapytać.

- Wczoraj u Gridleya zasugerowano mi, że kuzyn sprzyjał utworzeniu kartelu cukrowego. Ty jesteś temu przeciwna. Skłaniam się ku przypuszczeniu, że Merrimore, wbrew twojemu zdaniu, poparłby Gridleya, ale nie mam na to dowodu. Liczyłem na to, że oświeci mnie lektura jego dziennika. - Ren objął uważnym spojrzeniem twarz Emmy. - Jako nowy w waszym środowisku, jestem w trudnej sytuacji. Każdy sufluje mi swoją prawdę. Nie mam danych, które umożliwiłyby mi wyrobienie sobie własnego zdania, poza intuicją.

Emma była poruszona przyznaniem się do tego rodzaju słabości. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że Ren może się czuć bezradny. Zachowywał się z pewnością siebie, nie ujawniał wątplenia, nie okazywał, jak trudno przychodzi mu przystosować się do warunków nowego życia. Nie zastanawiała się, z czego musiał zrezygnować, żeby się tu znaleźć - rodziny, którą pozostawił w Anglii, przyjaciół i wygod, do których nawykł. Była do tego stopnia skoncentrowana na sobie i na tym, co oznaczało dla niej jego przybycie, że nie myślała o tym, czym było dla Rena.

Ostrożnie, Emmo, podpowiadał zdrowy rozsądek. Na tym może polegać jego gra. Pokazuje ci słabą stronę po to, żebyś ty odsłoniła swoją. Mało brakowało, a dałabyś się na to nabrać.

- I znalazłeś odpowiedź w dzienniku?

- Tak. - Posłał jej uprzejmy, powściągliwy uśmiech, wyraźnie rozczarowany jej reakcją. - Kuzyn Merrimore miał zastrzeżenia do kartelu. Przepowiadał mu chwilowe powodzenie, bez perspektyw na dłuższe przetrwanie. - Otworzył zeszyt mniej więcej w jednej trzeciej jego objętości, po czym podał go Emmie.

- Do tego miejsca doczytałeś? - Emma zauważyła datę zapisu. - Luty poprzedniego roku.

- Tak. - Spojrzał z wahaniem na lokaja, który wszedł do pokoju, żeby posprzątać ze stołu. - Było coś więcej, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie wiem, o czym Merry pisał w dzienniku - odparła wymijająco. - Nie mam zwyczaju zaglądać do cudzych osobistych zapisków.

- Nie to miałem na myśli. Jest coś, o czym ty wiesz, a ja nie? O co tak naprawdę chodzi z Gridleyem?

Emma spojrzała ostrzegawczo na Rena. Była pewna lojalności służących, wolała jednak nie dawać im powodów do snucia domysłów na temat fragmentów zasłyszanych rozmów. W ostatnim roku przed śmiercią Merry nigdy nie omawiał w czterech ścianach domu spraw związanych z interesami. Ona też nabrała tego nawyku.

- Nie ma to jak porządne śniadanie, człowiek nabiera właściwej perspektywy - zmieniała temat.

- Też tak myślę. - W lot odczytał jej intencje. - Po ukończeniu studiów w Oksfordzie wybrałem się w podróż po Europie. Uważam, że w żadnym kraju nie wymyślono lepszego śniadania niż angielskie.

- Wojażowałaś? - Ciekawe, że nie wspomniał o tym, kiedy ona opowiadała mu o podróżach, jakie odbywała z ojcem.

- Byłem w kilku miejscach. W Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Grecji, Efezie. Pomyśleć, że od przybycia na wyspę niemal nie ruszam się z domu. Może obwiozłabyś mnie po okolicy? Weźmy koszyk z lunchem i ruszajmy.

Zaskoczył ją. Dzisiaj od rana wypadki toczyły się nie tak, jak sobie zaplanowała.

- Nie wiem... mamy tyle roboty...

- Roboty nigdy nie zabraknie. Rozmawiałem z Peterem. Nie ma nic takiego do zrobienia, co nie mogłoby poczekać albo wymagałoby twojej obecności. Peter poradzi sobie bez nas. Kiedy ostatnio wzięłaś wolne? No właśnie. - Roześmiał się, gdyż milczała. - Nawet nie potrafisz sobie przypomnieć. Masz dwadzieścia minut na przebranie się. Czekam w holu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wyruszyli. Kosz z jedzeniem i ręczniki umieścili na podłodze gigu. Emma więcej nie protestowała przeciwko wycieczce. Była pewna, że Ren przyszedłby po nią do pokoju, gdyby po umówionych dwudziestu minutach nie zjawiła się w holu. Zresztą nabrała ochoty na przejażdżkę.

- Pokaż mi wyspę - poprosił Ren.

Postanowiła zacząć od wapiennej groty przy drodze z Sugarlandu na plażę. Jadąc tam, opowiadała o roślinach rosnących na poboczach.

- Te drzewa z imponującymi różowymi kwiatami to plumeria. Ich kwiaty nie mają nektaru, pachną tylko nocą, wabiąc zapylające je ćmy. Miejscowi często robią z nich girlandy. A to - wskazała gromadę żółtych i purpurowych kwiatów - to allamanda. One są pozbawione zapachu.

- Zdziwiałeś, skąd to wszystko wiesz. To imponujące.

Zatrzymali się pod drzewem. Ren uwiązał konia. Pochylił się, chcąc zerwać kwiat z najbliższego krzaka.

- Uwważaj! - Emma wyskoczyła z gigu. - Ten kwiat wydziela mleczko, które parzy.

- Jestem na twojej łasce. - Uniósł ręce. - Gdzie ta grotka?

- Niedaleko, ale musimy dojść tam piechotą.

Ruszyli ścieżką ukrytą wśród wysokich traw i kamieni. Odległość nie przekraczała ćwierci mili. Emma odnalazła wejście. We wnętrzu większym, niż można było oczekiwać, panował przyjemny chłód. Emma zdjęła z haka i zapaliła lampę pozostawioną blisko wejścia podczas ostatniej bytności. Była tu wielokrotnie i za każdym razem zachwycał ją urok tego miejsca.

- Ojej! - wyrwało się Renowi. - Jak tu pięknie!

Ze sklepienia groty opadały długie stalaktyty. Z kolei z zagłębienia wypełnionego turkusową wodą sterczał las stalagmitów.

- Wejźmy głębiej. - Emma powiodła Rena wzdłuż strumienia odprowadzającego wodę z zagłębienia. Doszli do progu skalnego, z którego woda spadała kaskadą do podziemnego jeziora, jakieś sześć jardów poniżej.

Ren umoczył dłonie w wodzie.

- Ciepła - stwierdził ze zdziwieniem. - Możemy zejść na dół?

- Nie wiem. Nigdy nie schodziłam. - Kiedy przychodziła tu z Merrym albo z ojcem, zawsze zatrzymywali się na tym progu.

Ren wyjął jej z dłoni lampę, zakreślił nią szeroki łuk.

- Spójrz tam. Wygląda jak schody.

- Nigdy ich do tej pory nie zauważyłam.

- Pójdę pierwszy. Daj rękę.

Warto było zejść. Wodospad mienił się w świetle lampy.

- Istne królestwo z bajki! - wykrzyknęła zachwycona Emma.

- Podziemne gorące źródło. - Rzucił jej prowokacyjne spojrzenie. - Byłoby grze-

chem nie spróbować. – Mówiąc to, zaczął ściągać buty. – Co ty na to, Emmo? Popływamy?

Nie potrzebowała zachęty. Uwielbiała pływać.

– Pomożesz mi rozpiąć suknię?

Z zazdrością patrzyła, że Ren tak prędko pozbywał się ubrania. Oprócz butów, zdążył już zdjąć koszulę. Z widoczną wprawą zajął się zapięciem na jej plecach. Ile kobiet rozbierał w swoim życiu? Sprawność, jaką popisał się poprzedniego wieczoru, świadczyła o tym, że miał wielkie miłosne doświadczenie.

Złożyła suknię wraz z butami pod ścianą grotu. Ren ściągał spodnie. Miał dobrze umięśnione pośladki i długie nogi. Nie wypadało patrzeć, ale nie mogła nie ulec pokusie, by mu się nie przyjrzeć. Poprzedniego wieczoru kochali się w ciemnościach, nic nie widziała, tylko czuła. Niechby się odwrócił przodem... Nie odwrócił się. Zrobił to dopiero wtedy, gdy woda sięgała mu do pasa.

– Ciepła! – krzyknął ku niej. – Sprawdzę, jak tu głęboko.

Kilkoma silnymi uderzeniami rąk podpłynął pod wodospad. Zachęcił ją ruchem ramienia, by do niego dołączyła.

– Stoję na dnies. Jest tu najwyżej półtora jarda.

Woda sięgała mu do połowy piersi. Emma dłużej nie czekała. Zrzuciła koszulę i resztę bielizny. Trochę krępowała się swoją nagością. Pomyślała, że lepiej poczuje się w wodzie. Podpłynęła do Rena, płytko nurkując pod powierzchnią.

– Istny raj. Mamy gigantyczną wannę tylko dla siebie.

Pływali, ścigali się, nurkowali, a kiedy się zmęczyli, odpoczywali, leżąc na wodzie na plecach. Świat przestał istnieć. Emma zapomniała o plantacji, Gridleyu, problemach i kłopotach. W obecności żadnego mężczyzny nie czuła się tak bez troski jak z Renem. Należało być czujną. Niekiedy dawało się mężczyznami manipulować, ale nie wolno było zapominać o ostrożności. Za przyjemności, jakie dawali, niezmiennie trzeba było tak czy inaczej zapłacić. Odebrała tę lekcję od Thompsona Hunta, a potem przy Gridleyu utwierdziła się w tym przekonaniu. Nie spodziewała się, by Ren Dryden okazał się inny, ale dzisiaj panował między nimi rozejm.

Dał nurka, schwycił ją za nogę. Krzyknęła. Wynurzył się, strząsając wodę z włosów.

– Mam cię!

– Przestraszyłeś mnie!

Przyciągnął ją ku sobie i otoczył ramionami.

– Nie sądzę, żeby piękna Emma Ward przeleżała się czegokolwiek.

Pocałował ją wolniej, czulej niż ostatniego wieczoru i tamtego wieczoru, kiedy odbierał od niej fant. Och, to też było niebiańskie uczucie. Wyniósł ją z wody, ułożył na miękkim piasku. Z jego zwisających nad nią włosów ściekały strużki wody.

– Wyglądają jak stalaktyty. – Emma wyciągnęła dłoń, żeby ich dotknąć. Zwarli się gorącymi spojrzeniami. Jego skóra była wilgotna i śliska. – Ale mnie to nie przeszkadza – dodała.

Ren zamknął jej usta pocałunkiem. Jednocześnie uchwycił nadgarstki Emmy i uniósł jej ramiona nad głowę. Ich ciała ściśle przylgnęły jedno do drugiego. Poczul, jak ona drży w oczekiwaniu. Chciała go, pożądała. Rozsunęła nogi, czekała z niecierpliwością. Ostatniej nocy dwukrotnie doprowadził ją do rozkoszy. Czy tak bę-

dzie zawsze?

Podniecała go niecierpliwość Emmy, ale się nie spieszył. Wodził wargami wzdłuż jej szyi, w końcu jednak gorączka i jego dopadła. Emma leżała z szeroko rozwartymi udami i takiego zaproszenia nie mógł zignorować. Wślizgnął się w nią przy wtórze jej westchnienia. Poczł, jak się do niego dopasowuje. Oplotła go nogami na wysokości bioder. Pchnął raz, potem drugi. Podchwyciła rytm, kołysząc ciałem. Ten akt, odbywający się w scenerii prastarej jaskini, miał w sobie coś mało cywilizowanego i bardzo pierwotnego. Oboje czuli, że może mieć wpływ na ich życie, podobnie jak grzech pierworodny zaważył na losie pierwszych ludzi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wyjście na światło słoneczne było porównywalne z przyjściem na świat i prawie tak samo trudne. Ren wolałby pozostać pod wodospadem we wnętrzu czarodziej-skiej jaskini, ale rzeczywistość wzywała. W milczeniu doszli do drzewa, pod którym zostawili konia i gig, a potem, nadal milcząc, kontynuowali jazdę w stronę plaży. Ren nie chciał zakłócać magii chwili, może Emma również.

Obserwował z ukosa jej profil obramowany rondem słomkowego kapelusza, szla-chetny w linii nos, wysoko osadzone kości policzkowe, gładkie policzki. Była piękna i najwyraźniej pogrążona w zadumie. Zastanawiał się, czy myślała o nich. Co zna-czyły dla niej wydarzenia ostatnich dwóch dni? A może rozważała zupełnie inne sprawy? Ubiegłego wieczoru przestraszyła się Gridleya. Dzisiaj rano też się czegoś obawiała. Zauważył też, jak udatnie nadrabiała miną. Była w tym istną mistrzynią.

Wykonali ostatni zakręt. Przed nimi otworzył się widok na mieniący się wszelkimi odcieniami błękitu i zieleni ocean, od którego dzielił ich pas niemal białej plaży.

- Myślałem, że nie zobaczę już dzisiaj nic piękniejszego od tamtej groty, ale ten widok jest równie wspaniały - zachwycił się Ren. - Nie wiem, czy ludzie w Anglii po-trafią sobie wyobrazić coś tak cudownego. Nawet kolory są tu inne. Nasz ocean jest ciemny i zimny.

Zeskoczył z powoziku i szybko wyprzągnął konia. Na tej zamkniętej plaży zwierzę nie mogło nigdzie się oddalić. Następnie pomógł zsiść Emmie. Objął dłońmi jej ta-lię, popatrzył w oczy. Intrygowało go, o czym ona rozmyśla. Była dla niego wciąż nierozwiązaną zagadką.

- Wejdziemy do wody? - zapytał.

Zdjęli buty. Ren podwinął nogawki spodni, Emma podwiązała spódnicę. Gorący piasek parzył stopy. Wszystko tu było inne niż w Anglii, nie tylko kolory oceanu. Emma nie namyślała się długo przed zdjęciem butów i podkasaniem spódnicy. Żadna angielska dziewczyna nie zdobyłaby się na takie nieskromne zachowanie, a już z pewnością dziedziczka z Yorku. Na Barbados skromność wydawała się bardzo niepraktyczna. Czyż warto rezygnować z przyjemności zamoczenia nóg w tej cu-downie cieplej wodzie dla dochowania wierności sztywnym rygorom?

- Daję pensa za twoje myśli - powiedział.

- A ja funta za twoje. Uśmiechasz się do siebie. Dlaczego?

- Pomyślałem o swoim młodszym bracie, Teddym. Czułby się tu jak w raju. W kra-ju nie możemy go ściągnąć z plaży.

- Tęsknisz za nim i pozostałą rodziną? - zapytała, rzucając do wody muszlę.

- Jeszcze nie, ale spodziewam się, że wkrótce zatęsknię. Nie masz pojęcia, jak to jest przebywać w jednym domu z tyloma kobietami, zwłaszcza jeśli wcześniej mieszkało się samemu.

Widząc zdziwioną minę Emmy, wyjaśnił:

- Za życia ojca miałem w Londynie własne mieszkanie. Oddzielenie od rodziny jest

potrzebne młodemu mężczyźnie. Kocham rodzinę, ale cenię swobodę. Dla młodego mężczyzny byłaby niekiedy krępująca bliskość wścibskich sióstr. Po śmierci ojca wróciłem pod dach rodowej rezydencji.

Ren umilkł na chwilę, myśląc, że w jego życiu wszystko się zmieniło, kiedy odziedziczył tytuł hrabiowski.

- Z dnia na dzień z rozbrykanego młodzieńca musiałem się stać statecznym mężczyzną - podjął. - Wziąć odpowiedzialność za rodzinę.

Za bliskich, za majątek, rodzinne inwestycje, długi, wprowadzenie w świat starszej siostry... Upłynęły cztery lata wysiłków, żeby związać koniec z końcem. Zrozumiał, że tradycyjny sposób zdobywania pieniędzy na utrzymanie stylu życia, do jakiego nawykła arystokracja, jest anachroniczny.

- Nie wspominałeś, że straciłeś ojca. Byliście ze sobą zżyci? - zapytała ze szczerym współczuciem Emma.

- Owszem. - Ren ujrzał oczami wyobraźni wysoką postać ojca. - Kochał nas. Dopilnował, żebym był przygotowany do zajęcia w przyszłości jego miejsca. Zadbął o moją edukację, nie tylko formalną, ale także w sensie życiowym i towarzyskim. Równie troskliwie zajmował się siostrami. Jego odejście nas zaskoczyło.

Poczuł, jak Emma ściska mu dłoń.

- Nigdy nie jesteśmy gotowi na ostateczne rozstania, nieważne, czy są nagłe, czy spodziewane... Pięknie tu - zatopiła wzrok w oceanie - ale i niebezpiecznie. Nieraz myślę, czy warto było przyjeżdżać. Pozostajemy bezradni, kiedy w wyspę uderza huragan, nawiedza ją plaga śmiertelnie groźnych insektów czy epidemia nieuleczalnej gorączki. Mój ojciec był silnym człowiekiem, przez lata znosił trudy wojskowego życia, a gorączka pokonała go w ciągu tygodnia. Ludzie mówili mi, że miałam szczęście, bo mogłam się z nim pożegnać, a on zdążył zabezpieczyć mój los. Merry siedział przy nim i wówczas, gdy ojciec miał przebłycki przytomności, spisywał jego ostatnią wolę. Ponadto go pielęgnował. Ciągłe brak mi ojca i nie przestałam go opłakiwać. Wydaje mi się, że ty i ja mamy coś wspólnego.

Szli wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce. W takiej chwili Ren rzeczywiście czuł łączącą go z Emmą więź, nieporównywalną z niczym, czego do tej pory doświadczył. To objawienie być może zawdzięczał intymności, do jakiej doszło w jaskini. A może czemuś innemu. Wiedział jedno - nie planował, że będzie jej opowiadał o sobie. Prawdę powiedziawszy, zamierzał ją wyciągnąć na zwierzenia.

Wrócili do powoziku. Ren umierał z głodu. O śniadaniu dawno zapomniał. Rozesłał koc, pomógł Emmie rozładować kosz z jedzeniem. Kiedy jedli, poprosiła go, żeby opowiedział jej o Anglii.

- Nie byłam w Anglii od dzieciństwa - wyznała. - Niewiele pamiętam. Jedynie to, że było tam ponuro i ciągle padało.

- W takim razie sporo pamiętasz - zauważył ze śmiechem. - Nic się pod tym względem nie zmieniło, chociaż lato na wsi angielskiej potrafi być całkiem przyjemne.

Opowiedział Emmie, jak spędzali czas w wiejskim domu jego rodziny. Zbierali truskawki, jeździli konno, pływali w rzece. Emma zdążyła zjeść. Słuchała, leżąc, podparta na łokciu. Włosy opadały jej na jedno ramię. Wyglądała prowokująco. Właściwie jego ciało nieustannie się ożywiało, gdy widział, jak ona na niego patrzy. Wycią-

gnął się obok niej. Uśmiechnęła się zachęcająco. Stłumił pragnienie odpowiedzi na tę zachętę. To, czego ona chce, będzie musiało poczekać.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać, zanim sprawy posuną się dalej.

Nie zaprotestowała, chociaż on częściowo na to liczył.

- Cały czas rozmawiamy. - Opuściła wzrok na koc.

- Cieszę się z tego, bo od mojego przybycia nie rozmawialiśmy tak jak dzisiaj.

Czasami jestem zaskoczony, jak mało wiem o tobie, a ty o mnie, zważywszy na to, ile czasu spędzamy ze sobą i na inne okoliczności.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Te „inne okoliczności” to fakt, że się kochaliśmy?

- Między innymi. - Wytrzymał jej wzrok, nie odwrócił spojrzenia. - Jesteśmy współwłaścicielami plantacji, partnerami, czy ci się to podoba, czy nie... a teraz jeszcze to. Nie umiem tego nazwać, dlatego mówię „to”. W co my się angażujemy, Emmo? Przelotny romans, coś, co ma dostarczyć nam rozrywki? Czy wynika to z prawdziwego zauroczenia, a może jest częścią twojej rozgrywki z Gridleyem? Czym to jest, Emmo?

- Za dużo myślisz - odparła z uśmiechem, jakby chcąc w ten sposób stępić ostrze swojej odpowiedzi, a może odwieść go od drażenia tematu. - Czy nie może być to tylko seks? Bardzo, bardzo dobry seks?

- Chciałbym, żeby tak było, ale nie bardzo w to wierzę. Mam sporo wątpliwości.

Emma przysunęła się bliżej i objęła Rena za szyję. Poczł zapach wody i soli, którym emanowała.

- W jaskini też trapiły cię wątpliwości? - zapytała i dotknęła ustami jego policzka.

Ren uznał w duchu, że rozmowa zmierza w określonym kierunku, dość przyjemnym, ale on jednak wolałby inny. Tyle że opór wydawał się bezcelowy.

- Emmo, wiesz, o co mi chodzi - podjął bez przekonania próbę przemówienia jej do rozsądku.

Roześmiała się zmysłowo.

- Wczoraj wieczorem dwa razy zatraciłam się w rozkoszy, dzisiaj znowu doprowadziłeś mnie do tego stanu. Czy uważasz, że do tego stopnia można udawać?

Te słowa podziały na Rena jak afrodyzjak, a co dopiero dotyk dłoni, którą Emma położyła mu w newralgicznym miejscu na spodniach.

- Nigdy z nikim nie przeżyłam czegoś podobnego. Czy to nic nie znaczy? - Delikatnie ugryzła go w ucho. - Tylko ty się liczysz, Renie Dryden. Zatraciłam się z twojego powodu w rozkoszy. Wybacz, że nie chcę dociekać dlaczego. - Zaczęła rozpinąć mu spodnie. - Pozwól, że spłacę dług. Teraz ty zdobądź się na chwilę zapomnienia, bez żadnych wahań.

Była to fantazja, o jakiej marzy chyba każdy mężczyzna. Piękna kobieta, sceneria żywcem wyjęta z raju, i jej dłoń zdecydowanym ruchem poruszająca się to w górę, to w dół, tym razem nieodizolowana materiałem. Wiedział, co nastąpi. Naturalnie, to nie znaczy, że wszystko już zostało między nimi rozstrzygnięte. Mógłby prawdopodobnie spróbować ją powstrzymać. Zmusić do dotrzymania umowy, że nic się nie stanie, dopóki nie postanowią, jak powinny ułożyć się ich relacje. Wiedział jednak, że byłby to daremny wysiłek. Rozmowa na ten temat zostanie dokończona kiedy indziej. W tej chwili było to bez znaczenia, bo już utracił zdolność koherentnego my-

ślenia. Z jego gardła wyrwał się jęk towarzyszący spełnieniu fantazji.

Pociemniałe oczy Emmy lśniły podnieceniem. Na jej ustach błąkał się zmysłowy uśmiech. Nie tylko on wspiął się na szczyty rozkoszy. Spojrzenie, jakim go obdarzyła, było prawie tak samo poruszające jak to, co przed chwilą zrobiła. Ren wiedział, że kobiety potrafią udawać miłosne uniesienia, ale udawanie tego, co mówiły oczy Emmy, było niemożliwe.

Może ona wcale nie prowadzi żadnej skrytej gry? Nie chciałby, żeby nim manipulowała, zwłaszcza teraz, po tym, co ich połączyło. Zdecydowanie by wolał, żeby nie okazało się, iż postępowaniem Emmy kierował ukryty cel. Nie po to uciekł od dziewczynki z Yorku, by na tej rajskiej wyspie wpaść w sidła innej kobiety.

Pragnął nieskażonej wyrachowaniem czystej relacji. Od kiedy odziedziczył arystokratyczny tytuł, prześladowała go atencja kobiet, którym zależało nie na nim, lecz na pozycji towarzyskiej, jaką mógł im zapewnić. Zresztą on też, poszukując kandydatki na żonę, nie mógł kierować się uczuciem, lecz musiał rozglądać się za taką, której fortuna wspomogłaby podupadły rodowy stan posiadania.

Na Karaibach mógł znaleźć i jedno, i drugie. Kobietę, z którą łączyłoby go uczucie, i pieniądze, które uratowałyby jego rodzinę od wykluczenia z kręgów socjety. Zależało mu na tym, żeby Emma szczerze go chciała, bez żadnych wątpliwości, również dlatego, że on naprawdę jej pragnął. Z plantacją czy bez plantacji. Sugarland na pewno był obciążeniem w ich wzajemnych relacjach. Wiedział, że Emma, przyzwyczajona gospodarować samodzielnie, niechętnie widziała współnika. Pomyślał, że namiętność, jaka ich połączyła, stanie się dobrą podstawą do zbudowania wzajemnego zaufania i pomoże Emmie wyzbyć się uprzedzeń co do jego osoby. W ten sposób wracał do punktu wyjścia. Czym jest ich relacja? Przelotnym romansem czy czymś więcej?

W jego sferze, w świecie dżentelmenów, „coś więcej” bezwzględnie oznaczało małżeństwo. Mężczyzna nie mógł postępować z kobietą tak, jak on zachowywał się wobec Emmy, nie dając jej ochrony w postaci małżeństwa, chyba że ta kobieta należała do szczególnej kategorii, do której wychowanka Merrimore'a w żadnej mierze się nie zaliczała. Czy kuzyn oczekiwał, że ona przejdzie pod opiekę Rena? A może też myślał o „czymś więcej”?

- Znowu popadłeś w zadumę. - Emma oparła mu głowę na ramieniu.

Pocałował jej pachnące włosy.

- Rozmyślałam o tobie, a to chyba mi wolno.

- O ile to dobre myśli.

Miał na końcu języka pytanie, dlaczego mogłyby nie być dobre, ale poczuł się zmęczony tymi pytaniami, które nieustannie sobie stawiał. A jeśli Merrimore rzeczywiście sprowadził go na Barbados nie tylko po to, żeby obdarzyć go plantacją, ale też z powodu Emmy?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Im dłużej o tym myślał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że jego przypuszczenia są słuszne. Jeśli Merrimore oczekiwał, że zostanie po nim opiekunem prawnym Emmy, to Ren musiał uderzyć się w piersi oraz przyznać, że źle wywiązał się z tego obowiązku. Już po kilku tygodniach od przybycia wdał się z nią w romans, co nie świadczyło dobrze o jego charakterze. A może kuzynowi chodziło raczej o to, by on związał się z Emmą w trwalszy sposób? Na przykład został jej mężem?

Ren nie był pewny, czy dojrzał do takiej ewentualności. Anglię opuścił poniekąd dlatego, że nie chciał zaaranżowanego małżeństwa z uczuciowo obojętną mu kobietą. Cóż to byłaby za ironia losu, gdyby przemierzył pół świata po to, by tu zawrzeć podobny związek. Oczywiście byłby nieporównywalny z tamtym, o wiele przyjemniejszy, ale nadal zawarty z inicjatywy osoby trzeciej, która bez jego udziału zdecydowałaby o kolejach jego życia. Tymczasem Ren zdecydowanie wolał o takich sprawach decydować sam.

Wybierając się w podróż na Barbados, był przeświadczony, że Merrimore'owi chodziło o przekazanie mu zarządu nad plantacją. Czy istotnie taki zamiar przyświecał kuzynowi? Czy może chciał on raczej znaleźć męża dla swojej nieobliczalnej wychowanicy? Ren już poprzedniego wieczoru zorientował się, że nie był jej pierwszym kochankiem. Nie narzekał z tego powodu. Dziewice nigdy go nie pociągały, ale społeczeństwo przywiązywało znaczenie do dziewictwa. Kuzyn mógł martwić się o przyszłość Emmy, zdając sobie sprawę, że w oczach społeczeństwa jest ona obciążona pewnym mankamentem.

Ren czynił sobie wyrzuty, że wcześniej nie brał pod uwagę tej możliwości, a jednocześnie znajdował okoliczności usprawiedliwiające własne postępowanie. Był skoncentrowany na sobie, na odzyskanej wolności, której o mały włos nie utracił w objęciach dziedziczki z Yorku, a na plantację patrzył wyłącznie przez pryzmat sytuacji finansowej rodziny pozostawionej w Anglii. Tuż po przybyciu wpadł w wir wydarzeń, począwszy od pożaru na folwarku, poprzez żniwa trzciny cukrowej, po spotkanie z Gridleyem i innymi sąsiadami, którzy złożyli mu propozycję przystąpienia do kartelu. Był tak oszołomiony wielością i nowością problemów, że nie wyrobił sobie właściwej perspektywy. Widział drzewa, ale nie dostrzegał lasu. Dopiero teraz, gdy oswoił się z warunkami nowego życia i wdrożył w codzienną rutynę, zauważył szersze tło okoliczności, dla których mógł zostać tu wezwany.

Usłyszał szelest sukni Emmy i wkrótce weszła do bawialni, w której na nią czekał przed kolacją. Jak zwykle prezentowała się zachwycająco, zarówno w sukniach, jak w spodniach i wysokich butach. Na dzisiejszy wieczór wybrała jasnoniebieską suknię, której kolor sprawiał, że jej włosy wyglądały na bardzo ciemne, a odsłonięta skóra ramion i głębokiego dekoltu na mocno opaloną. Szyję ozdobił pojedynczy cienki sznur pereł. Odważnie obnażonej skóry nie osłaniały żadne riuszki ani falbanki. Ta suknia nie grzeszyła przesadną skromnością i zdecydowanie nie przypominała

strojów londyńskich debutantek.

Kolacja była już gotowa. Kucharka przygotowała ostro przyprawiony ryż z krewetkami, świeży chleb i smażone owoce piżmiana jadalnego, potrawę, której Ren do tej pory nie jadł. Pili lekkie białe wino.

- Lubię tutejsze jedzenie, zwłaszcza owoce morza - powiedział.

- Nie próbowałeś jeszcze naszego salcesonu. Wiesz, co to jest?

- Skąd mógłbym wiedzieć.

- To potrawa z wieprzowych podrobów, głowizny i nóżek rozgotowanych niemal na miazgę, którą się napełnia pęcherz świni - wyjaśniła Emma i napiła się wina, czekając na jego reakcję.

Renowi zrobiło się niedobrze na myśl o czymś tak nieapetycznym, ale o to jej chodziło.

- Barbadoska odmiana szkockiego haggisu, tak? Dlaczego w tak wielu narodowych kuchniach ludzie napychają różnymi świństwami wnętrzności zwierząt?

Emma roześmiała się i zakrztusiła winem, którego nie zdążyła przełknąć. Rozkaszała się, z trudem chwytając powietrze. Ren wstał i zaczął ją uderzać lekko w kark, jak to się robi dzieciom, gdy wpadnie im coś do gardła.

- Przepraszam, nie powinienem tak mówić przy stole.

- Powiedziałeś to naumyślnie - besztła go, ale żartobliwie.

- Nie wypieram się. Zmienić ci talerz?

- Nie. Nie opryskałam go.

- Wyobrażasz sobie, jakie zamieszanie wywołałabyś wczoraj u Gridleya, gdybyś parsknęła winem na te jego srebra i kryształy?

- Sugerujesz, że mam zwyczaj parskania winem przy stole? Rzeczywiście Gridley lubuje się w celebracji. Nieustannie przypomina bliźnim, że jest Anglikiem, a do tego szlachcicem.

- Zauważyłem, że wszystko jest u niego na pokaz. Duży dom, ostentacyjnie wielkie obrazy, obfite i wystawne jedzenie. Wiesz, że on jest zazdrosny o Sugarland? Po południu, kiedy z nim rozmawiałem, powiedział z przekąsem, że ty zawsze musisz mieć wszystko, co najlepsze. Najlepsze jedzenie, najlepszą kucharkę. Bez względu na swój stan posiadania, będzie uważał, że ma mniej od ciebie. I właściwie ma rację. Sugarland jest wspaniałą posiadłością, a ta jadalnia może śmiało konkurować z każdą londyńską. Podobnie jak służba.

- Merry był dumny z domu i z jadalni. Sprowadził wykonany na zamówienie serwis porcelany Wedgwooda i ręcznie dmuchane kryształy z Irlandii.

- Mój kuzyn miał taki wyrafinowany gust czy tobie zawdzięczał ten wybór? - Ren uśmiechnął się. Dobrze się im rozmawiało. Nie było między nimi żadnego napięcia.

- Raczej kupcowi ze Swan Street, ale ja też mu nieco pomogłam.

Skończyli jeść. Być może nadarzała się okazja do skierowania rozmowy na sprawy, które zaprzętały uwagę Rena przed kolacją. Wstał, podał Emmie ramię. Weszło im w zwyczaj, że po kolacji przechadzali się po ogrodzie, zanim usiedli do wieczornej partyjki szachów lub tryktraka.

- Kuzyn Merrimore musiał darzyć cię wyjątkowym uczuciem. Opowiedz mi o nim. Domyślam się, że stałaś mu się w ostatnich latach bliższa niż ktokolwiek, nawet Gridley. Przyznam się, że trudno mi zrozumieć ich przyjaźń. Jak można przyjaźnić się

z kimś, komu się zazdrości?

Noc była gorąca, ale to ciepło nie było dokuczliwe. Na niebie zaczynały pokazywać się gwiazdy. Ren wciąż nie potrafił oswoić się z tym, że po zachodzie słońca nie odczuwało się wieczornego chłodu. Musiał sobie przypominać, jak blisko równika leży Barbados. Z tego powodu dzień trwał tu tak samo długo jak noc i to przez cały rok.

- Gridley nie zawiera przyjaźni bez powodu - odrzekła Emma, wpatrując się w nocne niebo.

Starła się zachowywać obojętny ton, ale nie zmyliła Rena.

- Ty jesteś tym powodem? - zapytał wprost. - Zauważyłem, jak na ciebie patrzył wczorajszego wieczoru. Zresztą dał mi niedwuznacznie do zrozumienia podczas naszej wcześniejszej rozmowy, że bym trzymał się od ciebie z daleka. Patrząc wstecz, widzę, że było to z jego strony ostrzeżenie.

- Mielśmy mówić o Merrym. - Emma roześmiała się nerwowo.

Napomnienie zastanowiło Rena. Czego niechcący dotknął? Rzeczywiście chciał rozmawiać o kuzynie. Niewykluczone jednak, że nadarzyła się wreszcie okazja, by dowiedzieć się czegoś więcej o roli Gridleya w życiu Emmy. Przez cały dzień bezskutecznie o to zabiegał.

- Jakie plany miał wobec ciebie Merrimore? - Ściszył głos. Zależało mu na wytworzeniu atmosfery intymności. - Wiązał twoją przyszłość z Gridleyem? Wolał, żebyś popłynęła do Londynu? A może widział mnie u twojego boku? - Powiedział to z ustami przy uchu Emmy, której bliskość uderzyła mu do głowy. Miał ochotę wyszeptać: pragnę cię i do diabła z tym, czego chciał dla ciebie mój kuzyn czy ktokolwiek inny.

- Nie wiem, jakie miał plany. Spodziewałam się, że jego spadkobierca będzie człowiekiem w starszym wieku. Zresztą wcale nie było pewne, że przybędzie.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem. - Ren zachichotał.

- Nie rozczarowałeś mnie, ale skoro pytasz, co dla nas planował Merry, to odpowiadam: nie wiem.

Nawet w ciemnościach, nie widząc twarzy Emmy, Ren intuicyjnie czuł, że coś przed nim ukrywa. Mogła nie znać prawdy, a jedynie się jej domyślać. Chcąc rozwiązać jej język, uznał za wskazane do pewnego stopnia się przed nią odsłonić.

- Bardzo wiele osób odradzało mi wyjazd z Anglii, w tym matka i przyjaciele. Przekonywali, że podróż jest zbyt ryzykowna i niekonieczna. Ich zdaniem, powinienem zostać, inkasować swoją część zysków i na tym poprzestać. Ja jednak czułem, że kuzyn Merry nie dlatego zapisał mi połowę plantacji, bym siedział w domu. Nie wiem, czy tak było naprawdę, ale ja tak czułem. - Zamilkł i zerknął na Emmę. Najwyraźniej intensywnie o czymś rozmyślała. - Intuicja musiała ci coś podpowiadać - podjął. - Musiałaś się domyślać, czego chciał dla ciebie Merrimore. Na pewno rozmawialiście o czymś, co pozwoliłoby ci wyciągnąć wnioski.

Emma żywiła nadzieję, że może tym razem natrafiła na mężczyznę, który okaże się inny od wszystkich. Nie dowie się, czy tak jest, jeśli nie sprawdzi swojej hipotezy. Wiązało się to jednak z ryzykiem. Szczerłość mogła ją wiele kosztować. Mimo wszystko czuła, że nadszedł czas wyjawienia prawdy, a przynajmniej części dotyczącej Gridleya. Wzięła głęboki oddech.

- Gridley i prawnik niemal nie odstępowali Merry'ego w okresie poprzedzającym

jego śmierć. Bałam się o wpływ, jaki Gridley mógłby na niego wywrzeć i przekonać go do zrobienia czegoś głupiego.

- Na przykład?

- Na przykład zmuszenia mnie do wyjścia za niego za mąż albo do połączenia Sugarlandu z jego plantacją. Gridley mówił o tym bez ustanku. - Emma powiedziała to lekkim tonem, z kpiącym uśmiechem na ustach, jak gdyby chcąc podkreślić absurdalność obu pomysłów. - Na szczęście Merry podejrzewał - dodała ciszej - że przyjaźń okazywana mu przez Gridleya nie jest bezinteresowna. Któregoś dnia poszliśmy na urwisko, to samo, które pokazałam ci na drugi dzień po twoim przybyciu, i opowiedział mi o swoich zastrzeżeniach co do Gridleya. Nie wiem, czego dla mnie chciał, ale na pewno nie wyjścia za mąż za Gridleya. Zastanawiałam się, czy o swoich podejrzeniach i o tym, co sądzi o utworzeniu kartelu, napisał w dzienniku. Martwiłam się za każdym razem, gdy przychodził adwokat. Zabrzmiał to egoistycznie, ale odetchnęłam z ulgą, kiedy testament został odczytany i nie znalazło się w nim nic, co wcześniej wzbudzało moje obawy.

- Dobrze wiedzieć, że Merry zdawał sobie sprawę z nieszczerości Gridleya - odrzekł Ren. - Byłoby mi przykro, gdyby umarł w nieświadomości.

Emma przystanęła i spojrzała na niego badawczo. Przypuszczała, że chciał ją pocieszyć, ale to mu się nie udało. Nie mogła pozostawić tego stwierdzenia bez komentarza. W tej sprawie nie chodziło o zwykłą walkę o ziemię czy dramat wynikający z aranżowanego małżeństwa. Doszła do wniosku, że najwyższy czas wyprowadzić Rena z błędu. Powinien poznać prawdę o Gridleyu.

- Merry umierał wyzbyty wszelkich złudzeń na temat Gridleya. Leżał bezradnie, nie mając siły się bronić, gdy ten drań dusił go przytkniętą do twarzy poduszką.

- Dobry Boże! Skąd to wiesz?! - Ren był wstrząśnięty.

- Widziałam, jak unosił poduszkę z twarzy Merry'ego - odparła drżącym głosem Emma. Z oczy pociekły jej łzy.

Ren poprowadził ją ku kamiennej ławce i zmusił, żeby usiadła, po czym przygarnął do siebie.

- Nie musisz mówić nic więcej - szepnął.

- Ale ja chcę ci wszystko opowiedzieć. Powinieneś wiedzieć, z kim masz do czynienia. Gridley to potwór! - wybuchła. - Adwokat zszedł na dół i zatrzymał się, żeby ze mną porozmawiać. Trwało to może pięć minut, po czym opuścił dom. Poszłam na górę do Merry'ego. Miał przyjąć lekarstwo. Otworzyłam drzwi bez pukania i wtedy to zobaczyłam. Nie było wątpliwości, co zrobił, a on nawet nie próbował się tłumaczyć. Spojrzał na mnie i powiedział: „I tak by umarł. Jak nie jutro, to następnego dnia. Dlaczego nie dziś? To będzie nasz mały sekret. Nie pozwolimy, by ktoś pomyślał, że mogłaś to zrobić”. W ten sposób zwał na mnie. - Poczuliśmy się wokół niej ramię Rena. Miała rację, że mu o tym opowiedziała.

- Moje biedactwo, jakże musiałaś się bać. Nie dziwota, że dzisiaj rano byłaś taka blada w pokoju Merry'ego.

- Byłam zbyt oszołomiona, żeby się bać. Gridley po prostu wyszedł i pojechał do domu, jak gdyby nigdy nic.

- Mówiłaś o tym komuś?

- Nie. Ten jeden jedyny raz postąpiłam tak, jak sobie życzyłam. Nie mogłam inaczej.

Byłam sama, nie miałam nikogo, kto mógłby mnie bronić, a groźba Gridleya była realna. Kto uwierzyłby mnie, a nie jemu? Dałam więc spokój.

- Dzięki temu ma cię w garści. Nigdy nie przestanie cię szantażować - podsumował Ren. - Małżeństwo i oddanie mu Sugarlandu w zamian za nieoddanie cię pod sąd - to jego kalkulacja.

- Musiał poczekać na otwarcie testamentu. Był przekonany, że Merry dokonał w nim zmiany, do jakiej namawiał go ostatniego dnia. Pozbył się go dlatego, by nie odwołał tej zmiany. Ale się pomylił. Adwokat i Merry przechytrzyli Gridleya. Poza tym głosił wszem wobec, że złożył Merry'emu obietnicę, iż zaopiekuje się mną po jego śmierci. Przyzwoitość wymagała odczekania okresu żałoby. Wydaje mi się, że nie oskarżył mnie, bo trochę się bał upubliczniania tej sprawy. Broniłabym się, twierdząc, że to on zabił Merry'ego. Przegrałabym w sądzie i powiesiliby mnie, ale jego reputacja nie pozostałaby bez szwanku.

Emma zamilkła na dłuższą chwilę, wyraźnie przygnębiona opisywanymi zdarzeniami.

- Żałoba nie zdążyła się skończyć- podjęła - kiedy pojawiłeś się ty i wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej, ponieważ z mocy testamentu masz pięćdziesiąt jeden procent własności.

Ren nagle zeszywniał.

- Dlatego spałaś ze mną? - zapytał.

To był kluczowy moment. Mogła utracić Rena. Nie, tak się stać nie może! Nie teraz, kiedy wiązała z nim nadzieje na przyszłość, gdy zainwestowała w niego swoje uczucia, zaufała mu. Emma wyswobodziła się z objęć Rena i wstała.

- Spałam z tobą, ponieważ tego pragnęłam - oznajmiła.

Zagrała jedynym asem, jakiego miała. Mimo wszelkich podejrzeń nie mógł się jej oprzeć. Wyciągnęła rękę. Musiała natychmiast sprawdzić, czy jej uwierzył.

- I chcę zrobić to znowu, tyle że dzisiejszej nocy trochę inaczej.

Ren podniósł się z ławki. Pożerał ją roznamiętnionym wzrokiem. Poczwała dumę z odniesionego zwycięstwa.

- Jak to inaczej, Emmo? - Chwycił ją za rękę.

Uśmiechnęła się nieznacznie, pociągając w stronę domu.

- W łóżku.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Seks w zaciszu sypialni i towarzyszący mu rytuał wnosił nową jakość we wzajemne stosunki Rena i Emmy. Odmiana była tyleż podniecająca, co niepokojąca. Ren nie miał nic przeciwko przypadkowemu seksowi. Najważniejsza zaleta polegała na tym, że był bezproblemowy. Przypadkowość ułatwiała wycofanie się z niechcianej relacji, którą można było nazwać błędem. W sypialni nie było taryfy ulgowej, tu należało się liczyć z konsekwencjami. Sypialnia narzucała wzajemne zobowiązania.

Pokój Emmy oświetlała tylko jedna lampa, rzucając różowozłoty blask na ściany, które, podobnie jak w innych pokojach, były pokryte białym gipsem. Tapety nie znajdowały zastosowania w tutejszym wilgotnym klimacie. Inne elementy wyposażenia – plecione dywaniki na podłodze z grubych desek, złożona w nogach łóżka narzuta – przyciągały oko żywością kolorów.

Wykonane z drewna tekowego łóżko z baldachimem wspartym na czterech słupkach było zaścielone nieskazitelnie białą pościelą. W głowach piętrzyły się poduszki. Rena najbardziej dziwiła wysokość tutejszych łóżek. W jego sypialni łóżko też było takie wysokie jak w pokoju Emmy. To powszechne na Karaibach, wyjaśnił mu Michael, chodzi o zabezpieczenie przed skorpionami, węzami i pełzającymi niebezpiecznymi owadami. Ren był skłonny przyznać, że może to i praktyczne, ale mało romantyczne. Jak do takiego łóżka zanieść na rękach ukochaną?

– Co cię tak śmieszy? – zapytała Emma.

– Przyszło mi na myśl, do czego jeszcze może służyć ten stopień, oprócz ułatwienia wejścia do łóżka.

– Masz zdrożne myśli, Renie Dryden – odparła i rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

– Przez to jestem bardziej interesujący.

Rozwiązał fular i powiesił go na poręczy łóżka. W związku z fularzem przyszła mu do głowy kolejna zdrożna myśl. Emma usiadła na wyściełanym taborecie pod oknem z zamiarem obserwowania, jak Ren się rozbiera.

Zaczął od kamizelki, ale bez pośpiechu, i uznała, że celowo przeciągał moment, w którym ją zdejmie. Najpierw wyjął z kieszonki zegarek na łańcuszku, z mankietów koszuli wysunął spinki i położył je wraz z zegarkiem na szklanej paterze, stojącej na stoliku obok łóżka. Rozpiął guziki koszuli, wyciągnął jej poły ze spodni. Kiedy ją zdejmował, usłyszał, jak Emma bierze głęboki oddech.

Patrzyła z zapartym tchem i dłońmi zaciśniętymi na fałdach spódnicy. Ren wyłaniał się powoli z opakowania, jakim było ubranie. Już samo widowisko było podniecające, zwłaszcza że oglądała swego kochanka w całej okazałości po raz pierwszy. Pięknie umięśniona klatka piersiowa wygląda jak wyrzeźbiona. Na mocnych ramionach opierała głowę na plaży, one dociskały ją do ściany w holu, one niosły ją po schodach do sypialni.

Ze wzrokiem utkwionym w jej oczach Ren sięgnął do paska od spodni. Uśmiechnął się i powiedział:

- Patrz na mnie, Em.

Jakby mogła robić co innego, pomyślała. Czekwała w napięciu, ze wzrokiem przykutym do jego dłoni. Uporał się z zapięciem i spodnie opadły poniżej wąskich bioder, potężnie umięśnionych ud i kształtnych łydek. Nie zauważyła, kiedy ściągnął buty, musiał to zrobić w którymś momencie. Zresztą to nie miało znaczenia, kiedy było tyle do obejrzenia i podziwiania. Nie mogła oderwać wzroku od jego męskości. Nie potrzebowała udawać onieśmienia, on chciał, żeby mu się przyglądała. Ogarnęła ją duma – jej kochanek jest wspaniałym okazem męzczyzny.

Wspiął się do łóżka i położył na boku. Światło lampy podkreślało każde zagłębienie, każdą wypukłość jego ciała. Nie było w nim ani odrobiny skromności, był dumny ze swojej męskości. Dał jej ledwo dostrzegalny znak głową. Teraz miała nastąpić jej kolej.

Emma wstała z taboretu. Na szczęście zupełnie przypadkowo miała na sobie suknię, którą mogła zdjąć bez pomocy. Nie planowała tego, kiedy przebierała się do kolarci. Pomysł, żeby zaprosić Rena do sypialni, zrodził się w jej głowie zupełnie spontanicznie pod wpływem rozmowy w ogrodzie. Wieczór był taki piękny! Zarówno Ren, jak i ona zdobyli się wobec siebie na szczerłość, jednak kiedy niebezpiecznie blisko dotknęli tematów, o których ona wołała nie rozmawiać, dopóki nie musiała, trzeba było skierować jego uwagę na inne tory. Powiedziała mu bardzo dużo, ale kilka sekretów chciała zachować dla siebie.

Sięgnęła do tyłu, odpięła trzy haftki. Sukna opadła na podłogę. Emma została w cieniutkiej bawełnianej koszuli.

- Przysuń się do światła – poprosił ochryple Ren – i stań tak, żebyś miała je za sobą. Chcę zobaczyć, jak przenika przez bieliznę.

Emma doskonale rozumiała, o co mu chodzi. Przez cienką białą tkaninę sterczały jej różowobrazowe sutki, a w miejscu, gdzie łączyły się nogi, prześwitywał ciemny trójkąt.

Oparła stopę na środkowym stopniu przed łóżkiem, zrolowała jedwabną pończochę. Ren śledził roziskrzonym wzrokiem każdy jej ruch. Zrobiła to samo z drugą. Starła się na niego nie patrzeć. Sprawiać wrażenie, że rozbiera się, jakby była sama, jakby jego nie było w pokoju. Zdjęła przez głowę koszulę, odwracając się przy tym w stronę lampy, żeby mógł zobaczyć z boku jej piersi. Odrzuciła koszulę za siebie, uniosła w dłoniach piersi, przyjrzała im się tak, jak to ćwiczyła tysiąc razy przed lustrem, sprawdzając swoją atrakcyjność. Teraz, kiedy zrobiła to w obecności obserwującego ją męzczyzny, ten gest wydał się jej śmielszy i bardziej prowokujący, niż wcześniej myślała.

- Na Boga, Emmo, potrafisz uwieść świętego – rzekł z uznaniem Ren.

Udała, że nie słyszy. Rozwiązała cieniutki sznureczek majtek. Odwróciła się tyłem, zsunęła majtki z bioder, odsłaniając pośladki. Majtki utworzyły białą kałużę u jej stóp.

- Chodź do łóżka, kusicielko.

- Jeszcze nie.

Wiedziała, że jej widok, zarówno z tyłu, jak i z przodu, sprawia mu przyjemność. Sięgnęła do włosów, wyciągnęła spinki, pozwoliła, żeby gęste loki opadły ciemną kurtyną na plecy. Usłyszała, jak jęknął. Wtedy odwróciła się i po raz pierwszy odkąd

była naga, spojrzała mu w oczy. Ujrzała w nich żar pożądania. Wiedziała, że to ona go rozpałała.

- W swojej niezmierzonej łaskawości wysłucham każdej prośby mego poddanego. Proś, o co zechcesz.

- Chcę być twoim rumakiem, moja pani. Dosiądziesz mnie?

Wspięła się po stopniach do łóżka.

- Z przyjemnością, i nie tylko.

Usiadła nad nim. Umieścił rozpalone dłonie na jej biodrach. Uniosła się i opuściła powoli, pochłaniając go, rozkoszując się jego mocą. Jeden rzut oka na twarz Rena wystarczył, by zauważyła, że odczuwał podobną rozkosz. Było na niej wypisane również zdumienie, że taka rozkosz jest w ogóle możliwa.

Ruszyła. W górę i w dół, asekurowana jego dłońmi. Zacisnęła się na nim, zachwycona przeciągłym jękiem, jaki wyrwał mu się z ust. Zrobiła to po raz drugi. W odpowiedzi przewrócił ją na plecy tak wprawnie, że nie zdążyli się rozłączyć.

- Kłamczuchu! Myślałam, że naprawdę chciałeś być moim rumakiem.

- Zmieniłem zdanie.

- Jesteś kapryśnym poddanym.

- A ty nieznośną królową, której należy się nauczka za prowokowanie poddanego.

- To mi ją daj. - W geście kapitulacji uniosła ramiona nad głowę.

Nie dał się dwa razy prosić. Emma umierała, kiedy się wycofywał, i wracało w nią życie, gdy się w niej z powrotem zagłębiał. W tym porywającym aż do bólu rytmie wiódł ją na krawędź rozkoszy, a kiedy tam się znalazła, usłyszała tuż przy swoim uchu jego zdyszany z wysiłku głos.

- Teraz, Em.

Rozpadła się na tysiąc kawałków, które z wolna opadały w dół, ku morzu zatracenia, a ona wiedziała, że jedyną jej kotwicą jest on, więc musi się go trzymać, żeby to morze jej nie pochłoneło. Nawiedziła ją myśl, szybka i oślepiająca jak błyskawica: jak to się stało, że w grze, którą z nim podjęła, chcąc przeciwdziałać jego próbie wytrącenia jej z ręki broni mającej ją ustrzec przed uwiedzeniem, tak się pomyliła? Jak to możliwe, że wystawiła się na niebezpieczeństwo, którego pragnęła uniknąć? Jak mogło do tego dojść?

Emma знаła odpowiedź, przynajmniej częściową. Tak się zdarza, gdy używa się seksu jako broni. Bywa obosieczna i dosięga nieraz tego, kto po nią nieopatrznie sięga.

- Jak do tego doszło, do cholery! - Arthur Gridley walnął pięścią w stół tak mocno, aż podskoczyła oprawka z kałamarzem na atrament i przesunął się ciężarek do papierów.

Stojący przed nim człowiek nerwowo miał rondo słomianego kapelusza, nie ośmieliwszy się spojrzeć mu w oczy. Wiadomości, które przyniósł, nie były dobre. Ren Dryden okazał się kobieciarzem, jeśli wierzyć temu, co posłaniec opowiedział. Nie tylko Dryden zawinił; Arthur dobrze wiedział, że Emma Ward potrafi usidlić każdego.

- Poszli do ogrodu, a po powrocie do domu prosto na górę.

- Do którego pokoju?

- Do drugiego po prawej, od frontu.

- To jej pokój. - Arthur skinął głową. Szlag go trafił na myśl o tym, że Emma zaprosiła mężczyznę do swojej sypialni.

Gość kaszlnął dyskretnie.

- W pokoju paliła się lampa. Z trawnika widać było cienie. Nie ma wątpliwości, co robili.

- A co takiego robili? - naciskał Gridley.

Rozmówca był zażenowany, ale on domagał się szczegółów, dokładnego opisu tego, co zaszło między Emmą a Drydenem. Chciwie słuchał opowieści o tym, jak rozbierała się w świetle lampy, rozpuściła włosy, jak dotykała dłońmi piersi, kusząc Drydena, który jest dobrze zbudowany. Gridley potrafił zdobyć się na obiektywizm. Wolałby jednak, żeby nie wykorzystywał swoich atutów do sprzątnięcia mu Emmy sprzed nosa.

Zaspokoiwszy niezdrową ciekawość, Gridley wpadł we wściekłość. Był zły na Emmę, że go zdradziła i rzuciła się w ramiona prawie nieznanemu mężczyźnie, a na Rena Drydena za to, że chociaż mienił się dżentelmenem, skorzystał z okazji i odbił mu Emmę. Dżentelmen nie powinien wykorzystywać samotnej kobiety, zwłaszcza że został uprzedzony, iż ta kobieta jest przeznaczona innemu. Cóż, skoro Ren Dryden nie zachował się jak należy, on też jest z takiego zachowania zwolniony, uznał Gridley.

Wiedział, jak uderzyć w Emmę, by to odczuła, ale na razie się powstrzymał. Mógłby na przykład zniszczyć jej zbiory, a wtedy przyszłaby do niego i na kolanach błagałaby o pomoc w przetrwaniu do kolejnych żniw. Przed taką zemstą Gridleya powstrzymywała świadomość, że na nim odbiłoby się działanie na niekorzyść Sugarlandu. W końcu to on musiałby pokryć wszystkie straty. Nie chciał doprowadzać plantacji do ruiny, bo jakkolwiek bardzo zależało mu na zdobyciu Emmy, to jeszcze bardziej na przejęciu plantacji. Będzie musiał wyciągnąć dywanik spod stóp Emmy w inny sposób.

Gridley mocno wątpił w to, że Ren Dryden dałby się usidlić Emmie, gdyby nie była ona współwłaścicielką ziemi. Po zapoznaniu się z relacją szpiega, jak tych dwoje spędziło ostatnie dwa dni, Gridley doszedł do przekonania, że Dryden nie poszedł za jego radą i nie przejrzał ksiąg rachunkowych plantacji. Trzeba zatem dopilnować, aby wreszcie to zrobił. Rzut oka na kolumny cyfr otrzeźwi go i być może skłoni do przystąpienia do kartelu, wbrew argumentom, jakich używa w stosunku do niego Emma w łóżku. Kiedy do głosu dochodzą pieniądze, mężczyźni zazwyczaj nadstawiają ucha. Postanowił, że jutro pojedzie tam skoro świt i zrobi wszystko, by Dryden nie okazał się od tej zasady wyjątkiem.

Arthur rozpiął spodnie i wsunął do środka dłoń. Odchylił się w fotelu, zamknął oczy. Ujrzał w wyobraźni Emmę. Klęczała przed nim z rozpuszczonymi do ramion włosami. Błagała go o przebaczenie, tłumaczyła, że popełniła błąd, oddając się niewłaściwemu mężczyźnie. Mówiła, że miał rację, kiedy jej tłumaczył, że Drydenowi zależało tylko na pieniądzach. Zrobił z niej dziwkę. Zapomniała, że ratunku może szukać u Arthura, bo tylko on zawsze szczerze jej pragnął. Niech teraz jej przebaczy, a ona do końca życia będzie mu okazywała wdzięczność.

Arthur jęknął z podniecenia. W wyobraźni położył jej dłoń na głowie gestem wyba-

czenia, jak kapłan. „Weź mnie do ust, Emmo, a wszystko ci przebaczę”.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ren był skłonny wybaczyć słońcu, że już wstało, kiedy przypomniał sobie, co wydarzyło się ostatniej nocy. Krótco przed świtem odnalazł w sobie dość silnej woli, żeby dla zachowania pozorów przyzwoitości, a także dla odpoczynku przemieścić się do swojej sypialni. Czego nie potrafił wybaczyć, to tego, że Michael zbudził go, ledwie zdążył zamknąć oczy.

- Przyjechał sir Arthur Gridley. Chce rozmawiać z panem.

- Skoro tak, to niech poczeka. Jak śmie mnie budzić?! Nie przyszło mu do głowy, że trochę za wcześnie na towarzyskie pogawędki?! - Ren uprzytomnił sobie, czego dowiedział się w nocy od Emmy, i postanowił, że podły morderca nie będzie dłużej pobrzękiwał kluczami do jego królestwa. - Zejdę do niego, jak będę gotowy, ani minuty wcześniej - oznajmił stanowczo. Gridley nie będzie się rządził w Sugarlandzie, pomyślał, ale lepiej nie pozostawiać mu za dużo czasu na węszenie po domu.

Chociaż wyrwany ze snu, Ren od razu domyślił się, że Gridley kryje w zanadrzu niemiłą niespodziankę. Zdążył go już poznać na tyle, by wiedzieć, że sąsiad zdecydowanie nie należy do rannych ptaszków. Nie pofatygowałyby się tak wcześnie bez powodu.

- Mówił, o co chodzi? Coś się stało? - zapytał Michaela. Miałyby do siebie pretensję, gdyby wydarzyło się coś złego, a on udziela sąsiadowi lekcji manier, chcąc małostkowo udowodnić mu swoją nad nim wyższość.

- Nie. Służba poprosiła go, żeby poczęstował się śniadaniem, i poinformowała, że pan zaraz do niego zejdzie.

- A panna Ward? Gridley chce z nią rozmawiać?

- Wspominał tylko o panu.

Skoro tak, to zapewne będzie się domagał odpowiedzi w sprawie kartelu.

- Przyniosłeś kawę? Nalej, wypiję filiżankę.

Chciał mieć jasny umysł podczas rozmowy z Gridleyem, szczególnie po tym, co wyjawiała mu Emma na temat śmierci kuzyna Alberta. Gridleyowi musiało bardzo zależeć na tym, żeby on opowiedział się po jednej ze stron konfliktu. Najwidoczniej nie mógł zrobić kolejnego kroku, zanim nie dowie się, jakie jest nastawienie jego, Rena.

Usiadł z zamkniętymi oczami, czekając, aż Michael go ogoli. Zazwyczaj wykorzystywał ten czas na przemyślenia i tak też zrobił tym razem. Nie tylko Gridley był zdesperowany. Emmie zależało na znalezieniu obrońcy przed namolnym czy wręcz groźnym sąsiadem i na zachowaniu domu oraz plantacji. Naturalnie, z tej dwójki ona była stroną bardziej niewinną. Nie popełniła morderstwa, nikogo nie szantażowała, ale jak daleko była skłonna posunąć się, by dopiąć celu? Na zadane wprost wczoraj w ogrodzie pytanie uchyliła się od odpowiedzi.

Po nocy miłosnych uniesień przebudzenie ze świadomością, że padło się ofiarą manipulacji, nie było miłe. Ren nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że tak właśnie było,

ale męskie ego nie dawało za wygraną.

Ubrany i ogolony, opuścił pokój i ruszył korytarzem, wciąż bijąc się z myślami. Przecież Emma go pragnęła. Takiego zaangażowania nie sposób udawać. Raz – zgoda, ale nie za drugim i za każdym kolejnym razem. A niby dlaczego nie? Ren miał nadzieję, że nie znajdzie odpowiedzi. Nie chciał się kochać z Emmą tylko dlatego, że skłania ją do tego desperacja zrodzona z postawienia w trudnej sytuacji. Nagle się zatrzymał. Uzmysłowił sobie, że pragnie Emmy, ponieważ ona wiele dla niego znaczy, i chciałby, żeby on tak samo wiele znaczył dla niej.

Zbliżając się do pokoju śniadaniowego, nie mógł wyzbyć się wrażenia, że coś było nie tak. Że on i Emma znaleźli się na granicy czegoś, co wykraczało poza problem Gridleya i cukrowego kartelu.

- O, jest pan, panie Dryden. Zazdrość mnie skręca. Wasza kucharka opanowała do perfekcji sztukę przyrządzania angielskiego śniadania – usłyszał Ren po wejściu do pokoju.

Do tej pory odbierał bezpośredniość Gridleya bez głębszego zastanowienia, dzisiaj jednak, kiedy wiedział, do czego ten człowiek jest zdolny, najchętniej dałby mu w pysk i wyrzucił intruza z domu. Nawet nie podejrzewał siebie, że stać go na tak gwałtowną reakcję. Mimo wszystko pohamował się i postanowił grać uprzejmego pana domu.

- Cieszę się, że skorzystał pan z naszej gościnności.

Jak Emma mogła tak długo tolerować tego człowieka? Nic dziwnego, że nosiła nóż ukryty pod spódnicą. Przebywanie w ścianach tego samego pokoju z mordercą kuzyna napawało Rena wstrętem, ale nie mógł ulec pierwotnym emocjom. Nie wolno w żaden sposób ujawnić, że Emma podzieliła się z nim tym sekretem. Intuicja podpowiadała mu, że gdyby się z tym zdradził, naraziłby ją na niebezpieczeństwo. Nałożył sobie jedzenie na talerz, gdyż dziwnie by wyglądało, gdyby zrezygnował ze śniadania.

- Co pana sprowadza o tak wczesnej godzinie? – Ren nie potrafił odmówić sobie drobnej złośliwości; niech Gridley zrozumie, że popełnił nietakt, przyjeżdżając nie tylko wcześniej, ale i niezapowiedziany.

- Wczesnej? Godzinę jedenastą nazywa pan wczesną? – Gridley zachichotał. – Chyba że jest pan tak zajęty nocami, że godzina jedenasta to dla pana skoro świt. Zgadłem?

- W pańskiej uwadze wyczuwam niestosowną insynuację. Jeśli jest zamierzona, to uprzedzam, że poczuję się obrażony.

Co ten łajdak sobie wyobraża? Nie tylko nabrał zwyczaju przychodzenia bez uprzedzenia, lecz także obrażania Emmy w jej własnym domu. Wszystko to, oczywiście, małe grzechy w porównaniu z tym ukrytym, który ma na sumieniu.

Gridley machnął lekceważąco ręką.

- Daj pan spokój, Dryden. Jesteśmy mężczyznami, możemy mówić bez ogródek. Emma nie jest niewinną panią, a do tego również nie pierwszej młodości. Nie byłby pan pełnokrwistym mężczyzną, gdyby nie zrobiły na panu wrażenia te jej rozkołysane biodra, usta, oczy. Nie musi pan wobec mnie niczego udawać. Skończył pan? – Wskazał na talerz Rena. – Jeśli nie ma pan apetytu, może przejdziemy do biblioteki? Mam do powiedzenia coś, co jest przeznaczone tylko dla pańskich uszu.

Przejsście do biblioteki stwarzało okazję do rozprawienia się oszczerstwami, jakich Gridley nie szczędził pod adresem Emmy. Ren zaczynał myśleć o wyzwaniu go na pojedynkę. W Londynie tego rodzaju uwagi nie uszłyby mu płazem, nie mówiąc o morderstwie. Ren był naprawdę zbulwersowany; perspektywa pojedynku zaczynała przemawiać mu do przekonania coraz bardziej.

- Piękny księgozbiór! - wykrzyknął Gridley po przekroczeniu progu biblioteki. - Albert i ja spędzaliśmy tutaj długie godziny. On regularnie sprowadzał książki. Ale - uśmiechnął się - nie o takich książkach przyszedłem rozmawiać, ale o księgach rachunkowych. Zaglądał pan do nich?

- Jeszcze nie. Myślę, że wygospodarujemy na to czas z Emmą po kampanii cukrowniczej. Nie spodziewam się żadnych sensacji.

- To zależy co pan rozumie przez „sensacje”. Ostatnio wszyscy plantatorzy odnotowywali poważne straty finansowe. Huragan, który nas nawiedził przed czterema laty, był katastrofalny w skutkach. Przetrwalibyśmy go jednak, gdyby rząd w Londynie nie zniósł niewolnictwa i nie wprowadził systemu pracy najemnej, który wysysa z nas krew. Wszystko to razem wzięte wywołało gospodarczą depresję. Sugarland nie jest wyjątkiem, bez względu na to, co panu opowiada Emma.

Gridley obserwował Rena, ciekawy jego reakcji. Spodziewał się szoku i oburzenia, jednak Ren dobrze panował nad sobą. Słowa w rodzaju „straty finansowe”, „katastrofalny”, „gospodarcza depresja” wywoływały w nim niepokój, ale tłumaczył sobie, że na pewno nie ma powodów do paniki.

- Nie może być tak źle - zaoponował. - Pan wygląda na całkiem nieźle prosperującego. Zauważyłem, jak pan się ubiera, widziałem przepych w pańskim domu. To nie są oznaki świadczące o trudnościach.

Gridley przyjął uwagę z pobłażliwym uśmiechem.

- Przypuszczam, że kwartalny czek, który wpłynął na pańskie konto w banku, też nie wyglądał mizernie.

Ren stężał. Otrzymał jeden kwartalny czek, datowany po śmierci kuzyna Merri-more'a. Opiewał na całkiem pokaźną kwotę i miał decydujący wpływ na decyzję o przyjeździe na plantację. Przyszło mu do głowy, że dochody z plantacji pomogą ustabilizować upadające finanse rodziny. Czek miał pokrycie i Ren otrzymane pieniądze zainkasował. Teraz zaczynał się obawiać, czy ów czek nie był przynętą. Czy nie został tu zwabiony perspektywą pokaźnych zysków. Powróciło podejrzenie, jakie zrodziło się tuż po przyjeździe, że został oszukany. Jeśli tak, jak zdoła spełnić oczekiwania siostr, brata, matki? Oni na niego liczą. Spokojnie, pamiętaj, kto to mówi, powiedział sobie w duchu. Podziałało. Przecież wszystko, co wyływało z ust Gridleya, było podejrzone.

- Albert nie chciał panu nic mówić, chociaż ja przekonywałem go, że powinien - ciągnął Gridley. - On stawał na głowie, żeby pan otrzymał pełną należność. Tłumaczyłem mu, że odniesie pan przez to mylne wrażenie na temat dochodowości plantacji.

Dla Rena niepokojącą była nie tylko sama informacja, lecz również świadomość, że Gridley znał stan finansów kuzyna.

- Doceniam pana troskę - odparł ze wzrokiem utkwionym w książki na jednej z półek.

- Powołanie kartelu może odmienić sytuację. - Gridley przybrał pocieszycielski ton. - Razem ponosimy straty, razem możemy odnieść sukces. Jeżeli zewrzemy siły, za rok o tej porze wszystko może wyglądać zupełnie inaczej. To prawda, że ceny plantacji spadają na łeb na szyję. Jeden z właścicieli w sąsiednim okręgu sprzedał swoją w zeszłym roku bardzo marnie. Sytuacji nie poprawia rozpowszechnienie się uprawy trzciny cukrowej. Teraz nie tylko my, ale i Amerykanie się tym zajmują, nie mówiąc o innych wyspach w Indiach Zachodnich. Kartel umożliwiającą kontrolę cen i podaży przyniósłby nam wymierne korzyści.

Ren machinalnie kiwał głową. Ekonomicznie miało to sens, lecz martwiły go względy etyczne. Musiałby związać się z ludźmi, którzy traktowali swoich robotników jak niewolników, wciąż zachowywali się tak, jak gdyby niewolnictwo nie zostało zniesione. Zarobione we współpracy z nimi pieniądze będą splamione krwią. Ale jeśli nie skorzysta z okazji, kto uratuje jego rodzinę? Wyda odpowiednio za mąż siostry? Kto zapewni matce godną starość, opłaci edukację brata?

- Jak już powiedziałem, nie zaglądałem jeszcze do ksiąg.

- W obecnym stanie rzeczy wątpię, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie - powiedział Gridley, rozsiadając się wygodnie w fotelu. - Pan potrzebuje pieniędzy, a nawet jeśli nie, my ich potrzebujemy. Pan powinien przyłączyć się do kartelu chociażby ze względu na solidarność z sąsiadami. Wyłamanie się z niej byłoby niewybaczalną samolubnością.

Ren zrozumiał groźbę. Jeśli nie będzie z nimi, to automatycznie będzie przeciwko nim.

Gridley zamilkł i jak gdyby nigdy nic zaczął się przyglądać swoim paznokciom. Milczenie nie trwało jednak długo.

- Miles myśli o sprzedaży swojej plantacji. Nie chciałbym go stracić. Dużo przeszliśmy razem, jesteście jak jedna wielka rodzina.

Dość dziwna rodzina, pomyślał Ren, spojona chciwością i żądzą władzy. Miał inne wyobrażenie o rodzinnych cnotach.

- Wiem, że Emma nie chce się do nas przyłączyć, i wiem, że z tego powodu pan się waha. - Gridley przybrał ton życzliwego starszego brata, zniżającego się do poziomu niezbyt roztropnego dziecka. - Dostała pana w swoje prześliczne pazurki, niech się pan przyzna bez wstydu. Nie pan pierwszy skusił się na jej wdzięki. Proszę ją przy sposobności zapytać o Thompsona Hunta.

Ren zrobił niechętną minę. Nie chciał słuchać o Thompsonie Huncie. Słowa Gridleya nazbyt dokładnie pasowały do jego porannych myśli.

- Niech się pan nie krzywi, Dryden. Fakt, że broni pan jej honoru, dobrze o panu świadczy, ale ona już dawno temu utraciła cnotę. Wie, jak manipulować mężczyznami. Wygląda mi pan na ambitnego, inteligentnego człowieka. Niech pan się zastanowi nad tym, co mówię. Przejrzenie ksiąg rachunkowych powinno być jedną z pierwszych czynności w pańskiej sytuacji. Niech pan tego dłużej nie odkłada. Owszem, trwały żniwa, ale już się skończyły. Ona wie, że to tylko kwestia czasu, a zażąda pan wglądu w rachunki. Będzie starała się odwracać pana uwagę, robić wszystko, by pan o tym zapomniał. Niech pan spojrzysz prawdzie w oczy, Dryden - rozkręcał się Gridley. - Ona pana tu nie chce, bez względu na to, co panu mówi. Po co jej pan? Zagraża pan jej niezależności. W jakim innym miejscu mogłaby być panią swego losu,

decydować o swojej własności, żyć jak mężczyzna? Ma dwie możliwości. Albo sprawić, że pan wyjedzie, albo pana usidlić, by nie korzystał pan z przewagi wynikającej z pańskich pięćdziesięciu jeden procent udziałów we współwłasności.

Ren słuchał w milczeniu.

- Naprawdę jest tak dobra? Czy warto narażać się dla niej na towarzyski ostracyzm? Bo, zapewniam, że to panu grozi, jeśli zwiąże pan z nią swój los.

- A jednak pan, jak się wydaje, dość chętnie by się z nią ożenił! - nie wytrzymał wreszcie Ren. Walczył z sobą, żeby nie zdzielić Gridleya w twarz.

- Ożeniłbym się z nią, aby ją utemperować, wziąć pod kontrolę - odparł Gridley. - Ona jest nieopanowana, dzika. Zrujnuje nas, jeśli tego nie zrobię. - Kiedy to mówił, jego oczy zaświeciły złowrogo.

- Myślę, że pan powinien wyjść. - Ren wstał.

- Proszę zapamiętać, Dryden. - Gridley też się podniósł. - Seks jest jej bronią. Niech pan zajrzy do ksiąg. Kiedy pan pozna fakty, podejmie pan właściwą decyzję. Radzę użyć głowy do myślenia.

Bezczelność Gridleya nie znała granic. Może rzeczywiście warto było dać mu w pysk za to, że przyszedł i ośmielił się dyktować swoje warunki, oczerniać Emmę i kwestionować męskość gospodarza. Powodów było dość. Tyle że rękoczynami niczego się nie osiągnie. Tym bardziej że Ren wcześniej żywił pewne wątpliwości.

To, że nie lubił Gridleya, nie oznaczało, że ten łajdak nie może mieć racji. Może Emma rzeczywiście uwodziła go, bo chciała go wykorzystać dla osiągnięcia swoich celów? Też mu to przychodziło do głowy. Może naprawdę potrafiła tak zręcznie udawać, że jest jej z nim dobrze w łóżku? Może faktycznie odciągała jego uwagę od ksiąg rachunkowych, w obawie że prawda o stanie finansów Sugarlandu nie wypadnie dobrze? Gdyby tak było, zostałby zdradzony na wszystkich frontach.

Nie ma co siedzieć, trzeba zajrzeć do ksiąg, postanowił Ren i skierował się do gabinetu. Był zadowolony, że Emma nie była obecna podczas rozmowy z Gridleyem. Zasnęła, bo nie dał jej zmrużyć oka niemal całą noc. Czy to nie dowód, że czuła coś do niego, a Gridley mylił się, kiedy mówił o ich relacji?

Księgi rachunkowe znalazł w oszklonej szafie w gabinecie, podpisane i ustawione chronologicznie latami. Porządek sprawiał dobre wrażenie. Plantacja z tak pieczołowicie przechowywanymi dokumentami finansowymi od początku swego istnienia nie może być w kłopotach. Ren zastanawiał się, od którego roku zacząć. Wyjął księgę prowadzoną od roku 1831 do chwili obecnej. Postanowił, że weźmie pod uwagę sugestie Gridleya, iż kłopoty finansowe Sugarlandu datują się od huraganu.

Zaczął przeglądać zapiski w księdze i zrozumiał, że popełnia błąd. Należało cofnąć się o kilka lat, by ustalić, co było normą przed huraganem. Sięgnął po księgę o trzy lata wcześniejszą. To był dobry okres dla plantacji. Bilanse zamykały się sporymi zyskami. Ren dostrzegł jednak pewne niekorzystne zjawisko. Gospodarka była niezróżnicowana. Dochody pochodziły prawie wyłącznie z eksportu cukru. Ren wiedział, że źle jest, jeśli w biznesie kładzie się wszystkie jajka do jednego koszyka. Zmartwiło go to w świetle tego, co Gridley mówił o późniejszych trudnościach. Tyle że kartel chciał postępować tak samo. Monopol mógł przynieść krótkoterminowe korzyści, ale nie rozwiązywał problemów w dłuższej perspektywie. Uprawy mógł

zniszczyć kolejny huragan, gdzieś pod bokiem mogła wyrosnąć silna konkurencja.

Ren z niechęcią sięgnął po księgę obejmującą okres po roku 1831. Podejrzewał, że dobre wiadomości się już skończyły, teraz kolej na złe, o ile można wierzyć Gridleyowi.

Godzinę później odłożył księgi. Był w szoku. Pieniądze, które miał nadzieję zarobić w Sugarlandzie, okazały się mitem. Jaki los czeka teraz jego rodzinę, która liczy na niego i na coś, co nigdy się nie zmaterializuje? Wielka życiowa przygoda skończyła się, zanim na dobre zaczęła. Wymowa liczb była bezlitosna. Od 1834 roku plantacja podupadała. Gridley miał rację.

Ren szarpnął taśmę dzwonka. Musi skonfrontować ze swoim odkryciem Emmę. Jeśli Gridley nie mylił się co do finansów, co jeszcze okaże się prawdą?

Lokaj przyszedł bez zwłoki.

- Proszę powiedzieć panie Ward, że pilnie chciałbym z nią porozmawiać - powiedział bezbarwnym głosem.

Został oszukany. Ciekawe, jak głęboko sięga matactwo? Czy wszystko jest kłamstwem?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jak on śmie przesyłać jej podobne wezwania! To, że wpuściła go na całą noc do łóżka, nie upoważnia do traktowania jej tak, jakby musiała od tej pory być na każde skinienie! – oburzyła się Emma. Po chwili ochłonęła i ogarnął ją niepokój. Czego on od niej może chcieć?

Wiedziała od Hattie o przyjeździe Gridleya. Nie zamierzała opuszczać swojego pokoju, niech Ren sam sobie z nim radzi. Potem przyszło skojarzenie: wzywa ją w rezultacie wizyty Gridleya. Co ten łotr znowu namącił? A może chodzi o coś zupełnie innego? Może ma to coś wspólnego z ostatnią nocą? Ta noc wiele dla niej znaczyła. Czy dla niego również?

Nie tak miało być. Emma wiedziała, że padła ofiarą własnej taktyki. Miała się nie angażować, tylko w sposób wyrachowany uwieść Rena, wykorzystując jego brak odporności na jej seksualną atrakcyjność.

Otworzyła drzwi do gabinetu i na widok rozłożonych ksiąg rachunkowych natychmiast zrozumiała, o czym będzie mowa. Bynajmniej nie o Gridleyu i nie o minionej wspólnej nocy.

– Sugarland przynosi straty – rzucił bez wstępu Ren.

Już wie! Poczwała skurcz żołądka. Będzie ją oskarżał? Wykorzysta to jako dowód jej nieudolności i odsunie ją od decydowania o interesach? Czy też zmusi do przystąpienia do kartelu? Emmie z wielkim trudem udało się zachować spokój.

– Ceny cukru spadły znacznie – zaczęła bez emocji.

Postanowiła tak poprowadzić rozmowę, żeby Ren ujawnił, skąd się u niego wzięła ta nagła chęć zajrzenia do rachunków. Usiadła w fotelu, obciągnęła spódnicę. Najważniejsze to nie okazać strachu, przestrzegła się w duchu. Zasada numer jeden w stosunkach z każdym mężczyzną, który usiłuje wykorzystać swoją przewagę wobec kobiety.

– Widzę. W tej sytuacji kartel Gridleya wydaje się dobrym pomysłem – odparł zimnym tonem Ren.

Niebieskie oczy świdrowały Emmę. Trudno jej było uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który był niezwykle czuły w nocy. Ów siedzący za biurkiem był wręcz odpychający.

– Naturalnie, są względy etyczne i osobiste, stojące na przeszkodzie wiązaniu się z Gridleyem, bez względu na to, ile korzyści dałby nam ten sojusz – dodał. – Nie połączymy się w interesach z mordercą.

Emma wewnątrz była kłębką emocji. Starła się nad sobą panować. Jeszcze całkiem nie utraciła Rena. Nadal mówi „my” i lojalnie stoi po jej stronie. Cokolwiek usłyszał rano od Gridleya, nie skłoniło go to do zwrócenia się przeciwko niej. Wytrzymała jego spojrzenie i przeszła do ofensywy.

– Co cię tak nagle skłoniło do lektury ksiąg rachunkowych? Nie powiedziałabym, że to normalne po nocy wypełnionej gorącymi miłosnymi uniesieniami.

Utkwiła wzrok w jego ustach, niech on myśli, że ona go prowokuje. Nie zaszkodzi zmieszać trochę interesów z przyjemnością, skierować jego uwagę na to, co go tak w niej kusi.

- Dzisiaj rano nie zdążyłem jeszcze otworzyć oczu, a już przyjechał do Sugarlandu Arthur Gridley.

To za namową Gridleya zainteresował się rachunkami? Gorzej być nie mogło. Emma wolałaby, żeby Ren zrobił to z własnej inicjatywy. Jeśli Gridley go do tego skłonił, to musiały temu towarzyszyć uwagi na jej temat. Potrafiła sobie wyobrazić ich treść. Na szczęście nie odniosły celu - Ren już dał temu wyraz. Skąd więc ta szarość jego twarzy tak dobrze widoczna pod opalenizną?

- Trzeba było dać mi o tym znać. Chętnie przyłączyłabym się do rozmowy. Jeśli mamy być partnerami, to powinniśmy występować jednolitym frontem. Jeśli Gridley przyjechał tylko do ciebie, to znaczy, że myśli, iż nie stanowimy jedności.

Oskarżenie i odwrócenie uwagi to klasyczne metody ofensywy. Ren zareagował szybko, wcale niezbity z tropu.

- Partnerami? Ukrywałaś przede mną prawdę. Staralaś się sprawiać wrażenie, że Sugarland jest w dobrej kondycji.

Serce Emmy przyspieszyło rytm. Chodzi o pieniądze. Dobrze, że przynajmniej wie.

- Chyba niedomówienia są twoją specjalnością. Nie tylko o stanie finansów mi nie powiedziałaś. Nie wspominałaś o kartelu ani o tym, jak się przed przystąpieniem do niego broniłaś. Musiałem dowiedzieć się o tym od Gridleya. Nie poinformowałaś mnie, że właściwie nie ma innego wyboru niż przystąpienie do kartelu. Mimo naszych zastrzeżeń co do współpracy z mordercą, nieobecność w kartelu sprawi, że nasze życie stanie się nie do zniesienia albo wręcz znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Jesteś zdenerwowany...

Ren tak mocno uderzył dłonią w otwartą księgę, aż Emma podskoczyła.

- Jestem, do cholery. Przemierzyłem pół świata, by odkryć, że nie odziedziczyłem plantacji, lecz kłębowski zmij! Gdzie tylko spojrzę, same kłopoty, których ty, Emmo, jesteś powodem. Ty i Arthur Gridley. Wasze wzajemne rozgrywki i tajemnicze historie.

Jednak mogła go utracić. Jeśli on stawia ją na jednej płaszczyźnie z kimś takim jak Gridley, równie dobrze mógłby ją zadźgać nożem. Emma poczuła, jak ze strachu krew odpływa jej z twarzy.

- Przyznaj się, celowo mnie uwodziłaś? Pytałem wczoraj wieczorem, ale wykręciłaś się od odpowiedzi. Miałaś nadzieję, że jak zakosztuję twoich wdzięków, będę obojętny na to, co znajdę w księgach rachunkowych?

- Dość! To przekracza wszelkie granice! - Emma gwałtownie wstała, podeszła do Rena i wymierzyła mu policzek. - Nie pozwolę, żebyś nazywał mnie dziwką, wiedząc, przez co przeszłam.

Stali oko w oko, oboje dyszeli z emocji. Na poruszanym nerwowym tikiem policzku Rena wykwił czerwony ślad dłoni Emmy.

- Odpowiedz! Po to mnie uwodziłaś?

Skrzywdziła go, ale czyniąc to, skrzywdziła i siebie. Nie potrafiła sobie wyobra-

zić, jak do tego doszło. Po przyjeździe był obcym człowiekiem. Bez oporów potraktowała go przedmiotowo. Teraz, kiedy zaczął dla niej coś znaczyć, poczuła się niekomfortowo. Była szczera z natury, nie intrygowała, nie knuła. Intrygi to domena Gridleya. Emma nie chciała Rena skrzywdzić nawet w obronie Sugarlandu.

- Nie. W każdym razie nie podczas ostatniej nocy...

Usiadła. Zdenerwowanie ją opuściło. Co robić? Ośmieli się powiedzieć mu całą prawdę? Odsłoni się, stanie się zupełnie bezbronna. Wzięła głęboki oddech. Podjęła decyzję. Zaryzykuje. Powie prawdę, jeśli to pozwoli jej zatrzymać Rena.

- Zgoda. Może na początku pomyślałam, że mogłabym wykorzystać na swoją korzyść to, że ci się podobam.

- A jednak!

- Daj sobie wytłumaczyć. Jeśli chcesz odpowiedzi, posłuchaj do końca.

Wycofał się pod okno. Zaczął się tam przechadzać.

- Tego wieczoru, kiedy zażądałeś fantu, widziałam w twoich oczach, że mnie pragniesz. Pomyślałam wtedy: dlaczego nie? Dlaczego nie miałabym w ten sposób utrzymać kontroli nad Sugarlandem. Jak przyszło co do czego, nie mogłam tego uczynić.

- Mimo to przez ostatnie trzy dni tylko temu się poświęcaliśmy. Trudno uwierzyć, że robiąc „to”, miałaś jakieś opory. Całkiem dobrze ci szło.

Podeszła do niego od tyłu, pochwyliła go za ramiona, przycisnęła usta do jego pleców.

- Uwierz mi. Nie mogłabym tego robić z tych względów, o których pierwotnie myślałam. Tak, chciałam cię użyć, przywiązać do siebie. Ale kiedy nadeszła ta chwila, mogłam postąpić krok do przodu, ponieważ bardzo cię pragnęłam. Nie potrafiłam być neutralna, niezaangażowana. Wszystko, do czego między nami doszło, wydarzyło się, ponieważ tego szczerze pragnęłam, a nie dlatego, że realizowałam ukryty plan.

On musi jej uwierzyć! Powiedziała najszczerzą prawdę. Co jeszcze mogłaby dodać? Jeśli on tego nie przyjmie, coś bardzo cennego zmarnuje się, ulegnie nieodwracalnemu zniszczeniu, nawet jeśli Sugarland ocaleje.

Odwrócił się, zdjął jej ręce ze swoich ramion i odstąpił w tył. Był taki sztywny jak ton, którym przemówił.

- W porządku. Wezmę to pod uwagę.

Nie takiej reakcji oczekiwała. Desperacja dodała Emmie siły.

- Ren, to robota Gridleya. On wbił między nas klin, ja to czuję.

- To też wezmę pod uwagę. A teraz, jeśli pozwolisz, pojedę do Bridgetown.

- Po co?

Wpadła w panikę. Nie powinien jechać, nie wyjaśnili sobie do końca wszystkiego. Była przerażona tym, jak bardzo jej na nim zależy, jak szybko jego zdanie zaczęło być dla niej ważne.

Przygwoździł ją stalowym spojrzeniem.

- Tak jak ja to widzę, są dwa problemy do rozwiązania. Plantacja i nasza wzajemna relacja, obie zagrożone. Myślę, że mogę uratować pierwszą, co do drugiej nie jestem pewny. Plantacja jest warta wysiłku, nie wiem, czy nasza relacja także.

Emma poczuła się mała i bezwartościowa. Zagrała z nim nieuczciwie na początku

i teraz musi za to zapłacić.

- Pojadę z tobą. Możemy po drodze porozmawiać o plantacji. Mogę ci pomóc.

- Nie. Chcę jechać sam. Dość już mi pomogłeś - odparł Ren i wyszedł.

Emma zaniemówiła. Nigdy nie spotkała się z taką odprawą. Bolało, a bólu wcale nie zmniejszała świadomość, że mogła na takie potraktowanie zasłużyć. Miał rację, mówiąc, że wdepnął w kłębowisko żmij. Celowo nie informowała go o wielu sprawach, a kiedy stopniowo wychodziły na światło dzienne, on przyjmował je z wyjątkowym spokojem. Aż do dzisiaj, kiedy dowiedział się o stratach. Była to kropla, która przepełniła czarę goryczy. Dlaczego kwestia pieniędzy okazała się tak ważna? Ważniejsza od ich osobistych relacji?

Wyznając mu, jak bardzo jej na nim zależy, mówiła szczerą prawdę. Nie zrobiła tego, żeby zagrać na jego męskim ego. Pragnęła go duszą i ciałem. Przy nim czuła, że żyje, że jest wolna.

Po policzku Emmy spłynęła łza.

- Czy tego chciałeś, Merry? Po to go tutaj ściągnąłeś? Żeby mnie chronić? - powiedziała na głos.

Na początku obecność Rena Drydena potraktowała jako zbędną uciążliwość, teraz dopiero zrozumiała, że Merry dobrze wiedział, co robi, nie tylko z myślą o Sugarlandzie, ale i o niej. Uprzytomniła sobie, że zniechęciła jedyną osobę, która mogła uratować od zguby zarówno ją, jak i plantację.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Muszę mieć drugi produkt eksportowy, żeby uratować Sugarland - powiedział Ren.

Wraz z Kitem Sherardem siedzieli nad kuflem piwa w jednym z ostatnich pubów w Bridgetown. Przyjaciel był jedyną osobą na wyspie, której mógł się zwierzyć ze swoich kłopotów i poradzić. Przez całą drogę do miasta modlił się w duchu, żeby zastał Kitta w porcie.

- Naprawdę jest aż tak źle?

- Jeszcze nie, ale będzie. Ceny cukru nieustannie spadają, natomiast koszty robocizny rosną. Dywersyfikacja jest koniecznością. Drugi produkt pomoże nam przetrwać ciężkie czasy.

- A co byś powiedział na rum? O ile pamiętam, Sugarland ma destylarnię. Większość plantatorów wytwarza rum na własne potrzeby i na lokalny rynek. Mówię o masowej produkcji. Sugarland powinien mieć dostateczną ilość melasy^[2].

- Komu sprzedam taką ilość rumu? Na wyspie nie znajdę nabywców.

- Brytyjskiej marynarce wojennej, ty głupku. Oni są największym na świecie konsumentem rumu i nie mają wielkich wymagań. Dla nich będziesz wytwarzał zwykły produkt, a inny, bardziej wyrefinowany, na potrzeby wymagających podniebień swoich snobistycznych przyjaciół w Londynie. Cena tego drugiego nie musi być niska. Snoby nie żałują na swoje przyjemności.

Ren słuchał, kiwając głową. Pomysł mu się spodobał. Mogliby zacząć już w obecnym sezonie. Żniwa dopiero co się skończyły. Trzcina jest właśnie poddawana obróbce. Nie zabraknie świeżej melasy.

- Domyślam się, że masz kontakt z kwatermistrzem marynarki? - zapytał. Wątpił, by przyjaciel wysunął tę propozycję powodowany jedynie bezinteresowną chęcią pomocy.

Kitt roześmiał się szeroko.

- Zostań ze mną w mieście do jutra. Tak się składa, że jestem z nim umówiony.

Ren spojrzał uważnie na przyjaciela.

- Tym się zajmujesz? Handlujesz rumem?

Kitt pokiwał głową, nie objawiając najmniejszego wstydu.

- Mniej więcej. To już nie jest nielegalne. Zapotrzebowanie na wyspach całego archipelagu jest bardzo duże. Nie wszyscy potrafią produkować dobry rum. Najlepszy pochodzi z Barbados. Odkryłem, że kluczowe znaczenie ma transport, dotarcie z jednego miejsca w drugie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po przybyciu na Karaiby, był zakup łodzi.

Ren nie dopytywał się, jakiego rodzaju towary przerzuca przyjaciel z jednego miejsca w drugie. Kodeks etyczny Kitta różnił się nieco od wyznawanych przez niego zasad. Najważniejsze, że przyjaciel w ogóle miał kodeks. Ren zaczął utwierdzać się w przekonaniu, że to rzadkość na tej wyspie.

- Dzięki, nie zapomnę ci tego.

Jeden problem znalazł potencjalne rozwiązanie, naturalnie, jeśli ruszy produkcja rumu.

- Trapi się coś jeszcze? - zapytał Kitt. - Masz jakieś inne kłopoty oprócz pieniężnych?

Ren wpatrywał się w pusty kufel. Właściwie dlaczego nie opowiedzieć Kittowi wszystkiego? Było mu niezwykle trudno omawiać jego relację z Emmą nawet z przyjacielem, chociaż w Londynie wiele razy rozmawiali o kobietach. Tyle że chodziło o zwykłe towarzyskie podboje, flirty czy przelotne romanse. To, co połączyło go z Emmą, było bardzo osobiste, w każdym razie tak myślał, zanim opadły go wątpliwości. Postarał się ubrać wyznanie w starannie dobrane słowa.

- Skomplikowały się moje kontakty z Emmą Ward.

Kitt wybuchnął głośnym śmiechem i ku ich stolikowi skierowały się zaciekawione spojrzenia innych gości.

- Poszedłeś z nią do łóżka! Mimo zapewnień, że nie w głowie ci takie rzeczy. Nie należy się zarzekać, bo nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się na właściwą kobietę. Emma jest piękna i bardzo ponętna.

- Podejrzewam, że uwiodła mnie celowo. Miała chyba nadzieję, że jak pójdziemy do łóżka, nie będę kwestionował jej rządów na plantacji.

W gruncie rzeczy Ren nie chciał, żeby była to prawda. Słyszając swoje słowa wypowiedziane na głos, przeraził się, jak bardzo są krzywdzące, jak nie pasują do tych wspaniałych chwil, które wspólnie przeżyli.

- I straciłeś dla niej głowę? - zapytał Kitt. - Oj, niedobrze, przyjacielu. Ale skąd te podejrzenia? - dorzucił po chwili. - Sam na nie wpadłeś czy ktoś ci je podsunął?

- Po części jedno i drugie. Znasz mnie. Wiesz, że potrafię dzielić włos na czworo. Analizować wszystko pod różnym kątem widzenia. Początkowo nie była zadowolona z mojego przybycia na wyspę, a dwa tygodnie później wylądowaliśmy w łóżku. Ta nagła zmiana, sam przyznasz, wygląda podejrzanie.

Tyle że wcale tak na to nie patrzył wówczas, gdy Emma go uwodziła. Był tak pewny siebie, że nie widział w tym żadnego zagrożenia.

- Wiem, z jaką łatwością potrafisz zawrócić kobiecie w głowie, Ren. Dziesiątki razy widziałem cię w akcji w Londynie. Nie lekceważyłbym twojego uroku osobistego. Widocznie ona dostrzegła twój, nazwijmy to, potencjał i zmieniła zdanie. Powiedziałeś „po części”. Co miałeś na myśli? Chyba nie uległeś podszeptom Arthura Gridleya?

- Odbyłem z nim bardzo niemiłą rozmowę dzisiaj rano - przyznał się Ren. - Temat ten podczas niej wypłynął, zresztą nie po raz pierwszy.

- Gridley jest na nią napalony od zawsze. Nie spodoba mu się, że wybrała ciebie, a nie jego. Nie sugerowałbym się zanadto jego opinią, bo on nie jest bezstronny. Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że kto jak kto, ale Emma jest raczej przyzwoitą osobą. Popiera program zatrudniania dawnych niewolników i uczciwego wynagradzania ich pracy. W odróżnieniu od Arthura Gridleya nie wykorzystuje ludzi.

Ren przypomniał sobie swój pierwszy dzień na wyspie i pożar kurnika na folwarku, po którym Emma uszanowała prośbę robotników o wolne. Nie zapomniiał tego, co opowiadała mu o Gridleyu. Ona nie tylko go nie cierpi, ona się go boi. Gdyby Gri-

dleyowi się udało, nie dość że pozostałaby bez domu i plantacji, ale także utraciłaby wolność, a może i życie. W tych okolicznościach nie powinien mieć jej za złe, nawet gdyby go wykorzystała. A dzisiaj zapewniała go, że nie kierowała się tymi względami.

Chyba wprowadził Kitta w błąd, mówiąc mu, że Emma chciała zapobiec odsunięciu jej od zarządzania plantacją. Teraz dostrzegł, że nie taki był jej cel. Chciała, żeby on był jej buforem. Nie zależało jej na jego powrocie do Anglii, lecz na pozostaniu na Barbados. A on postąpił na opak. Zostawił ją, żeby musiała sama bronić się przed Gridleyem. Ale możliwe, że temu też da się zaradzić.

- Kitt, co ty wiesz o Arthurze Gridleyu?

- Nic dobrego. Ma mroczną przeszłość, ale podobnie jest z wieloma osobami, które przybyły na Karaiby z nadzieją na nowy początek. Dlaczego pytasz?

- Mam powód podejrzewać, że zabił mojego kuzyna. Chciałbym to zbadać, ale... - Ren pozostawił resztę w domyśle.

Kitt zrozumiał.

- Zajmę się tym. Sprawdzę, czy Gridley ma w kieszeni sędziego i policję.

Należało się w tym względzie upewnić. Gdyby sędzia i policja okazali się przekupieni, wniesienie oskarżenia byłoby nie tylko niebezpieczne, ale i bezskuteczne.

Tych kilka niezbędnych posunięć będzie dobrym wsparciem propozycji pokoju, jaką zamierzał złożyć Emmie po ostatniej kłótni. Ren miał wyrzuty sumienia. Za ostro ją potraktował. Niepotrzebnie odreagował na niej rozczarowanie, jakie go ogarnęło po zapoznaniu się z kondycją finansową plantacji. Było mu głupio w związku z oskarżeniami, które rzucił pod jej adresem. Dżentelmen nigdy nie powinien tak potraktować kobiety.

- Będę musiał się pokajać przed pewną osobą - zauważył, dopijając resztkę piwa.

- Jest jeszcze ktoś inny oprócz ciebie, kogo czeka to samo... - zaczął Kitt ostrożnie. - Wiem, że masz już jeden problem z kobietą, i z przykrością dołożę ci kolejny. Tylko nie zabij posłańca - zażartował, rozkładając na stole kartkę papieru. - Ten list dostałem ostatnią pocztą. Udało mi się napotkać statek pocztowy w drodze do naszego portu.

List został nadany w Londynie. Było tylko kilka powodów, dla których Kitt miałby mu pokazywać prywatną korespondencję.

- Od Benedicta - dopowiedział Kitt, kiedy Ren brał list do ręki.

- Ciekawe, w co wpakował się tym razem - rzekł ze śmiechem Ren.

- W małżeństwo z twoją siostrą. Wszystko tłumaczy. Załącza nawet wycinek z kroniki towarzyskiej „Timesa”.

Ren czytał z niedowierzaniem.

Pan Benedict DeBreed ogłasza zaręczyny z panną Sarah Dryden, siostrą hrabiego Dartmoor.

- Najwidoczniej Benedict zdobył jakieś pieniądze, kopalnię miedzi albo coś w tym rodzaju - skomentował Kitt.

Sarah wychodzi za mąż za jednego z najgłośniejszych londyńskich hulaków? Jak do tego doszło? Ren domyślił się, że musiały wypłynąć na wierzch pogłoski o finan-

sowej kondycji ich rodziny.

- Upoważniłem Benedicta do opiekowania się moją rodziną, a nie do ożenku z siostrą.

Benedict był dobrym przyjacielem, co nie znaczy, że Ren życzył go sobie w rodzinie. Sarah musiała poczuć się zmuszona do tego związku. Spojrzał na znaczek pocztowy. Możliwe, że już są po ślubie, jeśli Benedictowi zależało na pośpiechu. A nawet jeśli nie, to Ren na odległość nie może nic zrobić, żeby temu małżeństwu zapobiec.

- Moja wina - przyznał. - Wszystko przez mój wyjazd. - Poczł się straszliwym samolubem. Przyczyn wyjazdu było kilka, ale najważniejszą spośród nich była ucieczka przed niechcianym małżeństwem. - Powinienem był temu zapobiec.

- Żeniąc się z tą bogaczką z Yorku o końskiej twarzy - przypomniał mu Kitt.

- Możliwe. Wtedy Sarah nie musiałyby wychodzić za DeBreeda.

- A może ona chciała za niego wyjść? DeBreed jest przystojny, a obecnie także bogaty.

- Zamknij się - rzucił Ren. Kittowi łatwo było mówić, bo nie miał sióstr.

- Nie rozumiem. Nie chcesz, żeby twoja siostra zaznała rozkoszy pożycia małżeńskiego? Gdybym ja miał siostrę, chciałbym, by się dowiedziała, co to za szczęście.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. - Ren przegrał bitwę. Brakowało mu już argumentów. - Zapomniałem, jaki jesteś żaloszny, Kitt. Dzięki, że mi przypomniałeś.

- Nie martw się. - Kitt klepnął Rena po ramieniu. - DeBreed to w gruncie rzeczy porządny chłop, a Sarah jest już dorosła. Potrafi o siebie zadbać. Lepiej myśl o swoim nowym przedsięwzięciu, o produkcji rumu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Sarah poślubiła pieniądze, a ty zaczniesz robić pieniądze. Przed waszą starożytną rodziną świetlana przyszłość. Należałoby to uczcić. - Uniósł dłoń, żeby zamówić nową kolejkę piwa. - I zawsze możesz liczyć na mnie.

Ren nie wrócił na noc z Bridgetown. Jak go przeprosić, jak go odzyskać, skoro go nie ma? Emma po raz milionowy spojrzała z okna na aleję dojazdową do domu. Nie było na niej żadnego ruchu. Słońce zachodziło. Postanowiła usiąść na ganku i czekać. Siedziała do późnego wieczora. Na drodze nadal panował spokój. Wtedy przyszło jej do głowy, że poczeka na Rena w jego łóżku. Nawet jeśli zaśnie, nie przegapi jego powrotu.

Po raz pierwszy od przybycia Rena na plantację pożałowała, że przeznaczyła mu mieszkanie w tak odległej części domu. O ile wygodniej byłoby mieć go w pokojach w głównym korpusie. Rozwiązanie miało jednak pewną dobrą stronę. Przynajmniej będą mieli u niego prywatność, która bardzo się przyda, jeśli wszystko pójdzie tak dobrze, jak ona na to liczy.

Przebrała się w nocną koszulę z cieniutkiego jak mgiełka szyfonu, rozpuściła i wyszczotkowała włosy. Położyła się w łóżku. Wiedziała, że on się jej nie oprze, kiedy ujrzy to, co ona widziała w lustrze zawieszonym w rogu pokoju.

Pościel pachniała Renem - aromatem drzewa sandałowego z nutą wanilii. Rozejrzała się po pokoju. Odnotowała zrobione przez niego zmiany w ustawieniu mebli. Kusilo ją, żeby przejrzeć jego osobiste rzeczy, ale się powstrzymała. Jeśli zależy jej na odzyskaniu zaufania Rena, ostatecznie, czego by sobie życzyła, byłoby przyłapanie jej na takiej niedyskrecji.

Czas się dłużył i Emmę coraz mocniej kusiło, żeby jednak przejrzeć jego rzeczy. Powinna się czymś zająć. Sięgnęła po książkę na nocnym stoliku. Miała nadzieję, że to tomik poezji lub powieść. Niestety, był to traktat na temat gospodarki rolnej na Karaibach, nawet dosyć interesujący. W innych okolicznościach z zaciekawieniem by go przejrzała, ale po przeczytaniu dwóch stron zaczęła ziewać...

Obudził ją odgłos kroków na korytarzu. Zdezorientowana, wpadła w panikę. Po chwili przypomniała sobie, gdzie jest i kto za chwilę otworzy drzwi. Ren!

- Jesteś wreszcie!

Rozjaśnił się na jej widok.

- Widzę, że warto było wracać. Taki widok chciałbym mieć na co dzień. Myślałem, że nie dojadę, tak mi się dłużyła droga.

Przysiadł na łóżku. Wyglądał na zmęczonego. Był w opłakanym stanie. Ubranie miał pogniecione, wystające z rękawów surduta mankiety koszuli były przyszarzałe. Zaczął zzuwać buty.

- Wyjechałem z miasta za późno, żeby dotrzeć do domu przed zachodem słońca. Nie doceniłem tutejszych ciemności. Było czarno jak w kominie.

- Dobrze, że jesteś. Ciemności bywają niebezpieczne. Ludzie gubią drogę, błądzą w interiorze, narażają się na ugryzienia jadowitych węży. Czasami są odnajdywani za późno. - Zbliżyła się, chcąc go objąć za szyję. - Oj, cuchniesz! Renie Dryden, jesteś pijany!

Ubranie było przesiąknięte zapachem taniego piwa. Nic dziwnego, że nie potrafił należycie ocenić czasu potrzebnego na przebycie pięciu mil dzielących plantację od miasta.

- Jestem zdegustowana! Pojechałeś na popijawę do Bridgetown, nie mówiąc mi, jak długo cię nie będzie. Martwiłam się o ciebie, podczas gdy ty robiłeś Bóg wie co i Bóg wie z kim.

Oczywiście Emma wiedziała z kim. Z tym niecnotą, Kitem Sherardem. I domyślała się co. Tak szybko się pocieszył z inną? Posmutniała. Niepotrzebnie na niego czekała. Ale czy może go winić? Wyjechał z Sugarlandu po kłótni, rozgoryczony, że go wykorzystano, przekonany, że nie łączy ich nic, co miałoby go skłaniać do wierności.

Wstała, ruszyła do drzwi.

- Czekaj! - Jak na pijanego, był szybki. Objął ją. - Nie jest tak, jak myślisz. Owszem, byłem z Kitem. Rozlał niechcący piwo na moje ubranie. Tak, trochę przeholowaliśmy, ale się nie urzneliśmy. Miałem spotkanie umówione przez Kitta.

Zmusił ją, żeby na niego spojrzała. Z niebieskich oczu wyzierała szczerłość. Byłoby jej łatwiej nadal boczyć się na niego, gdyby rzeczywiście był pijany.

- Ehe, posłuchaj. Znalazłem sposób na powiększenie dochodów z plantacji. Podpisałem umowę z marynarką wojenną na dostawę rumu. Setki baryłek.

Od razu zrozumiała, jakie to ma znaczenie.

- Nie będziemy uzależnieni tylko od cukru? Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Moglibyśmy wyprodukować własną markę, zacząć wytwarzać rum wysokiej jakości.

- Nie lubisz Sherarda, ale mówisz słowo w słowo jak on - zauważył ze śmiechem. - Sugerował dokładnie to samo.

Nie wszystko stracone, pomyślała Emma. Ren wrócił i przywiózł rozwiązanie ich kłopotów. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno pocałowała go w usta. Odsunął ją od siebie.

- Emmo, to rozwiązuje jeden z naszych problemów, nie wszystkie. Nawet jeśli nam się uda z rumem, kartel nie da nam spokoju. Gridley sugerował zupełnie otwarcie, że oni się zemszczą, jeśli się do nich nie przyłączymy.

- Gwiżdżę na to. Dzisiaj po prostu się cieszę, że wróciłeś do domu. I przepraszam cię. - Wyciągnęła ku niemu ramiona, lecz on ponownie ją pohamował.

- Dlaczego to robisz? Z powodu rumu czy dla mnie? Chcę, żebyś była pewna. Żaden mężczyzna nie zgodzi się być doceniany ze względu na swoich pięćdziesiąt jeden procent we współwłasności.

Emma wytrzymała jego spojrzenie.

- Przyszłam do ciebie. Czekałam. Wiesz, że to prawda. Przecież nie miałam pojęcia o umowie z Kitem. Nie wiedziałam, czy w ogóle się zjawisz. Nieważne, kim możemy dla siebie być, kim chcielibyśmy dla siebie być. Ale masz rację. To należy ustalić. Ja wiem jedno: to, czego od ciebie chcę, nie ma nic wspólnego z twoimi pięćdziesięcioma jeden procentami we własności plantacji, natomiast ma sto procent wspólnego z tym, jakim jesteś mężczyzną. Rozbierz się i chodź do łóżka. A żebyś nie popadł w przesadny zachwyty nad sobą, dodam: rozbierz się, bo inaczej zasmrodzisz swoim cuchnącym ubraniem pościel.

- Wedle życzenia. Wiesz dobrze, że śpię nago.

- Wiem. To jedna z pierwszych rzeczy, której się o tobie dowiedziałam. Nie omieszkałeś mnie o tym poinformować zaraz po przybyciu na wyspę.

- Mogę się wykąpać, jeśli sobie życzysz.

- Ty też powinienesz dowiedzieć się czegoś o mnie. Jestem niecierpliwa i dość już się na ciebie naczekałam.

Emma ściągnęła koszulę i rzuciła ją na leżący w kącie surdut Rena.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dryden wrócił – ta informacja przyniesiona z samego rana przez szpiega nie przypadła Gridleyowi do gustu. W skrytości ducha liczył na to, że nieporozumienie z Emmą potrwa dłużej. Wkrótce do portu w Bridgetown miał zawitać statek pocztowy. Czyż to nie wspaniała okazja dla Drydena do opuszczenia wyspy?

W zamyśleniu bębnił palcami w blat biurka. Niestety, nie powiodła się próba wbięcia klina między Drydena a Emmę. Udowodnił mu, że Emma jest kobietą o wątpliwej moralności, specjalistką w manipulowaniu mężczyznami. Niemal położył mu przed nosem otwarte księgi rachunkowe, by zrozumiał, że został oszukany co do stanu finansów plantacji. Wszystko na nic. Zjawił się w Sugarlandzie.

Czy to oznacza, że przystąpi do kartelu? A jeśli znalazł sposób na podreperowanie kulejącej sytuacji Sugarlandu poza kartelem? A może, i to byłoby najgorsze, wznowił bliskie stosunki z Emmą? Jeśli tak, to jest jedynie kwestią czasu, że Ren pozna jego brzydki sekret. Przecież Emma nie będzie milczała bez końca.

Służący zaanonsował przybycie Hugh Devore'a. Zazwyczaj Arthur sam obmyślał plany, a komunikował je innym dopiero wtedy, kiedy były gotowe. Dzisiaj jednak ucieszył się, że może z kimś uzgodnić dalsze poczynania.

Devore rozsiadł się w fotelu, zakładając nogę na nogę, i z miejsca przystąpił do rzeczy.

– Dryden rozwalił nasze plany. Błędnie zakładaliśmy, że mu się tu szybko znudzi i wyjedzie, tym bardziej że Emma nie przywitała go z otwartymi ramionami. Wygląda na to, że wszystko się zmieniło. On chce zostać, a Emma rozumiała, że mogłaby mieć w nim sojusznika.

– Właśnie. – Arthur zgodził się z oceną Devore'a. – Mamy problem. Co teraz? Cokolwiek zrobimy, z wyjątkiem zostawienia ich w spokoju, nieuchronnie dojdzie do podziału. Konflikt przybierze otwartą postać.

Gridley wolał machinacje polegające na udawaniu przyjaźni, budowaniu zaufania, potem zdradzie, po której on ruszy z pomocą ofierze nieświadomej jego roli w intrydze.

– Powinniśmy zmienić punkt wyjścia – oznajmił Devore. – Nasze dotychczasowe działania budowaliśmy wokół założenia, że uda nam się pozyskać Sugarland do realizacji naszych celów. Próbowaliśmy różnych sposobów. Najpierw chcieliśmy ich wykupić, potem miałeś się w tę plantację wżenić, wreszcie namówić Drydena i Emmę do współuczestnictwa w kartelu. Żaden z tych pomysłów nie doszedł do skutku. Czy nie czas ich zniszczyć, żeby przestali stać nam na drodze?

Gridley nadstawił ucha.

– Jak mielibyśmy tego dokonać? – zapytał. – Wyeliminować graczy czy plantację, o którą gra się toczy? – Do tej pory tak manewrował, żeby móc wykorzystywać Sugarland jako dźwignię nacisku na Emmę. – Gdy Sugarlandu zabraknie, utracę potężne narzędzie perswazji.

- Tak sądzisz? Ona bez plantacji stanie się kompletnie bezbronna. Bez dochodów, punktu oparcia, dachu nad głową będzie jak królik wypłoszony z krzaków i rozglądający się za norą. Być może innym okiem spojrzysz na to, co jej oferujesz. Obecnie nie potrzebuje twojego domu, bo ma swój. To samo dotyczy pieniędzy i kochanka.

- Dryden jest niczym piąte koło u wozu - rzucił Gridley. Złościło go, że przybysz góruje nad nim pod każdym względem.

- To kwestia podaży i popytu - orzekł Devore. - Wszystko się do tego sprowadza. Gridley zrozumiał, co Hugh chciał powiedzieć.

- Pozbędziemy się Drydena, spalimy plantację - powiedział - ale Emmie nic nie może się stać. To mój warunek. Obiecałem Albertowi Merrimore'owi...

Devore ryknął śmiechem i dokończył:

- ...tuż przed przyciśnięciem mu poduszki do twarzy. Nie zgrywaj przede mną świętoszka, Arthurze. Byłbyś gotów zawrzeć sojusz z diabłem, gdyby to posłużyło twoim interesom. Nie mówię, że mam w związku z tym jakieś obiekcje. Jesteśmy ludźmi interesu, ulepiono nas z tej samej gliny. Obaj postępujemy bezwzględnie, kiedy chcemy coś osiągnąć. Mnie zależy na kartelu, tobie na dziewczynie. Myślę, że to da się pogodzić.

- Kiedy to zrobimy?

Arthur Gridley zaczynał się przekonywać do planu Devore'a. Obawiał się tylko, że był nawet za dobry, by dało się go zrealizować. Założą kartel i ceny cukru pójdą w górę, Dryden zniknie, a on zagarnie Emmę, bez względu na to, czy będzie tego chciała, czy nie.

- Już niedługo. W końcu tygodnia jest święto zbiorów. Wszyscy robotnicy z Sugarlandu udadzą się do Bridgetown.

- Jest precedens, palił się kurnik - przypomniał Gridley.

- Ani przez moment nie pomyślałem, że sam z siebie się zapalił.

- Fakt, nie obeszło się bez pomocy - przyznał Gridley.

Nie szkodzi, że tamten pożar nie był tak groźny w skutkach, jak on by sobie tego życzył. Chodziło o to, aby tuż przed żniwami nastraszyć robotników po to, by uciekli z plantacji. Niestety, niespodziewanie zjawił się Dryden i pokierował akcją ratowniczą. Co prawda, on dopilnował, żeby wszyscy zobaczyli tę magiczną lalkę, którą podrzucił na pogorzelsko, ale strata Emmy ograniczyła się tylko do połowy jednej dniówki. Teraz będzie inaczej. Ten ogień będzie nieporównywalnie bardziej szkodliwy.

- A jak załatwimy Drydena? - zapytał Devore.

Spalimy razem z domem, wywieziemy w interior i porzucimy, wsadzimy na statek w nieznane... Gridley potrafił wyobrazić sobie różne nieszczęśliwe wypadki, ale tę sprawę pozostawi Devore'owi. Wystarczy, że zakończył życie Alberta Merrimore'a. Kolej na innego członka ich grupy. Devore bez trudu poradzi sobie z Drydenem. A jeśli w przyszłości trzeba będzie zdemaskować Devore'a przed Emmą, żeby zdobyć jej przychyłność, bez wahania zwróci się przeciwko Devore'owi. Uznał w duchu, że nareszcie wszystko zaczyna się układać w zgrabną całość.

Emma, śpiąca z głową na ramieniu Rena, poruszyła się i jej włosy połaskotały go w pierś. Spojrzał na nią - była bardzo piękna. Od pierwszej chwili, w której ją uj-

rzał, budziła w nim pożądanie. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Mimo to pod wieloma względami Emma wciąż była dlań osobą obcą. Potwierdzeniem mógł być fakt, że wciąż jeszcze mieli sobie sporo do wyznania. Właśnie dlatego insynuacje Gridleya trafiły na podatny grunt i wywołały w nim tyle wątpliwości. Nie pomagała też niechęć Emmy do otwarcia się przed nim, do bezwarunkowej szczerości. A jednak Ren czuł, że więź łącząca go z Emmą jest bardzo silna. Mimo wszystkich zastrzeżeń nie chciałby się z nią rozstać. Jak to się wszystko skończy?

Właściwie pozostawała tylko jedna możliwość. Jeśli chce Emmę zatrzymać, to należałoby się z nią ożenić. A jeżeli nie zdecyduje się na zawarcie małżeństwa, to powinien odejść. Szkopuł w tym, że wyspa nie była wystarczająco duża dla obojga. Odejście oznaczałoby powrót do Anglii, byłoby to jedyne logiczne rozwiązanie. Mógłby otworzyć w Anglii biuro zajmujące się importem rumu. W ten sposób zachowałby kontrolę nad interesami i jednocześnie mógł osobiście, nie za pośrednictwem upęnomocnionych prawników, wywiązywać się z obowiązków, jakie nakładał na niego tytuł hrabiowski. Rodzinie na pewno wyszłoby to na dobre. Obyłoby się w przyszłości bez takich katastrof jak ślub Sarah z Benedictem.

Być może od początku wiedział, że jednak powróci. Wyruszył na Barbados powodowany ciekawością i nadzieją na nowe życie. Jednak bardzo możliwe, że w głębi duszy nie traktował tej wyprawy jako czegoś nieodwracalnego. W końcu miał w kraju obowiązki. Gdyby musiał wybierać między Emmą a rodziną, nie wahałby się ani chwili i wrócił do rodziny.

Bez znaczenia jest fakt, że podoba mu się na wyspie. Kitt miał rację, do upału można się przyzwyczaić. Ren pokochał tutejsze plaże, ocean, barwy nieba i roślinności, niesformalizowany styl życia, możliwości zarobienia pracą na pomyślność rodziny. Czy zamieszkanie tu na zawsze wyklucza powrót? Opuszczając kraj, unikał stawiania sobie tego pytania. Teraz jednak musiał je zadać. Czy kiedykolwiek znowu zobaczy Anglię, a przede wszystkim rodzinę? Miałby nigdy już nie ujrzeć bliskich i utrzymywać z nimi kontakt wyłącznie drogą listowną?

A gdyby tak wziąć Emmę ze sobą do Anglii? Peter dałby sobie radę w roli rządcy na plantacji, jest na pewno godny zaufania. Jeśli się z nią ożeni, to zostanie hrabiną. Musiałaby przyjąć styl życia londyńskiej socjety. Druga sprawa to jak przyjąłaby ją jego rodzina. Ren spróbował wyobrazić sobie Emmę w takim wcieleniu, ale na próżno. I to nie dlatego, że Emma mogłaby nie odnieść w Londynie sukcesu, lecz z tego powodu, że na pewno nie byłaby szczęśliwa. Nie dla niej tryb życia londyńskich dam z wyższych sfer, ograniczony do zakupów, wizyt towarzyskich i działalności charytatywnej. Emma, jaką znał, zanudziłaby się już po miesiącu. Londyn stałby się dla niej złotą klatką.

Zatem związek z Emmą oznacza pozostanie na wyspie, założenie domu w Sugarlandzie i ochrona Emmy przed Gridleyem. Najlepszym zabezpieczeniem będzie małżeństwo, ponieważ znajdzie się poza zasięgiem tego drania. Ren potrafił sobie wyobrazić, że takie życie uczyni go szczęśliwym. Oczywiście w każdej sytuacji są złe strony. Anglię będzie odwiedzał bardzo rzadko, podobnie jak Merrimore. Co do obowiązków hrabiowskich, będzie musiał zdać się na prawników. Miał dobrych adwokatów, poczta kursuje regularnie, DeBreed będzie na miejscu, dostanie jako szwagier odpowiednie pełnomocnictwa do czasu uzyskania pełnoletności przez Ted-

dy'ego.

Gdyby nie ożenił się z Emmą, musiałby wyjechać. Kontynuowanie romansu, jeśli nic nie miałyby z niego wynikać, byłoby nie w porządku zarówno wobec niej, jak i siebie samego. Ren wyznaczył sobie termin: koniec sierpnia. Do tego czasu rozwiąże problem Gridleya, który pozostając na wolności, stanowi zagrożenie dla Emmy. Do tego czasu ruszy także produkcja rumu. Wszystko znajdzie się pod kontrolą. Emma poradzi sobie, a on będzie po drugiej stronie, gdzie zacznie odbierać transporty. Może nawet zdąży do domu na ślub Sarah, jeśli teraz napisze i poprosi, by wstrzymali się z uroczystością do jego przyjazdu.

- Nie śpisz? - Emma uniosła głowę. - Trzeba było mnie obudzić. Moglibyśmy razem zacząć dzień.

- Nie ma pośpiechu. - Logika wcześniejszych przemyśleń zaczynała blednąć. Jaki mężczyzna opuściłby taką kobietę jak Emma? Niemal słyszał, jak Kitt śmieje mu się w oczy i mówi „Tylko idiota!”. - Jak sobie wyobrażasz początek dnia?

- W łóżku. W tym samym miejscu, w którym skończyliśmy wczorajszy dzień. A potem pojechalibyśmy obejrzeć destylarnię.

Emma była kobietą, która wie, czego chce. Ren nie wziął tego pod uwagę, rozważając rozmaite rozwiązania i warianty przyszłego życia. Cały czas myślał tylko o tym, czego on chce. A czy ona zechciałaby za niego wyjść za mąż? Może wolałaby, żeby wyjechał. Tej decyzji nie może podjąć bez Emmy. Musi z nią porozmawiać, ale najpierw powinien powiedzieć jej, kim jest w tym drugim życiu, które zostawił w Anglii, i dlaczego znalazł się na Barbados. Trochę ponieważ zauważył, że but znalazł się nie na tej nodze, na której on go widział. Jest na jego nodze i uwiera. Kiedy Emma dowie się wszystkiego, będzie miała rację, zarzucając mu ten sam brak otwartości, o który on ją oskarżył.

Ren wrócił do punktu wyjścia. Bez względu na to, ile by o tych wszystkich sprawach myślał, wciąż byli obcymi ludźmi, których połączył seks i którzy winę za to ponosili pospół. Na szczęście Emma wiedziała, jak sprawić, by przestał zanadto nadweręzać głowę myśleniem. W tej chwili Ren też wolał wybrać inny rodzaj logiki.

Perspektywa rozkręcenia produkcji rumu była ekscytująca. Emma dała się ponieść wyobraźni. Towarzyszący jej podczas oglądania destylarni Ren wydawał się nieobecny duchem, chociaż starał się to maskować. Rano, kiedy się kochali, odnosiła podobne wrażenie.

W drodze do destylarni opowiadał o szczegółach spotkania z kwatermistrzem marynarki wojennej i o tym, że już złożył zamówienie u bednarza na beczki, które będą im potrzebne w dużych ilościach. Emmę zastanowiło, dokąd błędził myślami podczas rozmowy, bo nie ulegało wątpliwości, że chwilami był bardzo daleko. Czyżby dowiedział się w mieście o czymś, o czym nie chciał jej powiedzieć? A może wciąż jeszcze przeżywał ich ostatnią kłótnię?

- Produkcja rumu nie przyniesie ci natychmiastowego dochodu, zobaczysz go dopiero przed końcem roku - zauważył Ren.

Aha, zorientowała się Emma. Od razu zauważyła różnicę.

- Nie mówisz „my”.

- Oczywiście miałem na myśli, że osiągniemy ten dochód razem. To miejsce połączy nas na zawsze. Nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Emma w lot pojęła, dokąd prowadzi takie stwierdzenie. Ren postanowił odpłynąć. Może nie jutro i nie najbliższym statkiem pocztowym, ale nieodwołalnie. Ile zostało im czasu? Dwa miesiące? Trzy?

- Uznałeś, że Karaiby ci nie służą - zauważyła, siląc się na obojętność. Może Karaiby, a może ona. - Kiedy mam się spodziewać twojego wyjazdu?

- Nie wspominałem o wyjeździe.

- Nie baw się ze mną w słówka. Coś się wydarzyło. Znowu nasłuchałeś się Gridleya i jego oszczerstw?

- To sprawa osobista i bardziej skomplikowana. Nie powinienem dłużej cię kompromitować. Arthur Gridley rzeczywiście plotkuje na nasz temat. Nie mogę udawać, że jestem tylko twoim partnerem w interesach. Jeśli zerwiemy, nie zostanę na plantacji. Za bardzo cię pragnę. Byłoby dla mnie torturą przebywanie z tobą pod jednym dachem, widywanie cię na co dzień, wspólne prowadzenie interesów. Zresztą poświęcenie i tak byłoby daremne. Nawet gdybyśmy wiedli życie jak w klasztorze, nikt by nam nie uwierzył.

Słowa Rena zrobiły wielkie wrażenie na Emmie. W pewnym sensie pochlebiały jej nawet. Wcześniej żaden mężczyzna nie okazał jej podobnych względów. Z drugiej strony, czuła, że pobrzmiwa w nich pewien fałsz.

- Jestem zbudowana twoją troską o moją reputację, o ile jakieś resztki reputacji mi jeszcze pozostały. Nie jestem jednak tak głupia, żeby przyjąć za dobrą monetę, że z tego powodu chcesz wrócić do Anglii. Musi być jeszcze inny.

- Moja siostra wychodzi za mąż - powiedział po chwili wahania Ren. - Kitt pokazał mi list. Przejął go w innym porcie ze statku pocztowego, który niebawem zawinie do Bridgetown. - Zamilkł, jakby rozumiejąc, jak mało przekonujące jest to tłumaczenie; przecież ślub siostry nie wymaga jego stałej obecności w Anglii. - Czy kuzyn Merrimore opowiadał ci o mnie i o naszej rodzinie? - zapytał w końcu.

- Nie - odparła zgodnie z prawdą Emma.

Prawie nic nie wiedziała o bliskich Merry'ego. Żyli tysiące mil od wyspy. Merry sam nie znał ich zbyt dobrze, a dla niej nie byli ważni. Aż do dzisiaj.

- Przypominam sobie, jak raz wspominał, że jest spokrewniony z twoją matką.

- Był bratem ciotecznym ojca mojej matki, która pochodzi z ziemiańskiej rodziny osiadłej w południowo-wschodniej Anglii, w Susseksie. Mieli tam majątek zapewniający im dostatnie życie na poziomie ludzi z ich sfery. Matce to nie wystarczało. Udała się do Londynu na sezon i wróciła do domu zaręczona ze spadkobiercą hrabiego Dartmoor, najlepszą ówczesną partią w mieście.

Emma zaczęła składać usłyszane do tej pory informacje w całość. Ojciec Rena był hrabią. Już nie żył, o czym Ren wspominał na plaży. Brat imieniem Teddy jest od niego młodszy. Emma od razu zorientowała się, że Ren jest dżentelmenem. To rzucało się w oczy i nie dziwiło. Kuzyn Merry'ego musiał przynależeć do tej samej sfery, ale nigdy by nie pomyślała, że aż tak wysoko usytuowanej w społecznej hierarchii.

- Jesteś hrabią!

- Jestem Renem Drydenem i tylko mężczyzną. Mój tytuł niczego nie zmienia.

Emma nie potrafiła ukryć wzburzenia. Nie wiedziała, której z szalejących w niej

emocji dać pierwszeństwo: złości czy rozżaleniu, że cały czas nie był z nią szczery. Domagał się od niej szczerości, miał do niej żal, że z jej powodu wdepnął w kłębowski-
sko żmij, a ukrywał prawdę o sobie.

- Owszem, zmienia. Sam to przyznałeś. Z tego powodu zamierzasz wyjechać. To, kim jesteś, zmienia między nami wszystko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Nie zmienia najważniejszej rzeczy.

Emma doceniała jego starania, ale nie chciała słuchać żadnych tłumaczeń.

- Przestań. Wiem, jakie to ma znaczenie.

W tej sytuacji uczucia nie były istotne. Hrabiowie nie żenią się z córkami pułkowników. Nie biorą za żony kobiet bez ugruntowanej pozycji towarzyskiej, zwłaszcza takich, za którymi ciągnie się plotka o skandalu. Gdyby pokazała się w Anglii u boku Rena, od razu padłyby pytania o jej przeszłość. Hrabiowie potrzebują na żony dobrze urodzonych niewinnych panienek. Uczucia Rena, choćby były głębokie, nic nie znaczą. Byłoby najlepiej, gdyby wcześniej wziął to pod uwagę. Z jego punktu widzenia w grę wchodzi jedynie rozstanie. Zresztą z jej również.

- Porozmawiajmy o tym w domu - zaproponował.

- Nie. Porozmawiamy tu i teraz. O czym jeszcze nie wiem? Co ty tu właściwie robisz?

Nie po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, dlaczego fatygował się w tak daleką podróż, zwłaszcza że w Anglii trzymały go obowiązki rodzinne. Na takie wyprawy decydują się albo awanturnicy, albo ludzie interesów. Ren nie należał ani do jednych, ani do drugich. Hrabiów nie stać na taką swobodę.

Ruszyli w milczeniu przed siebie.

- Nasza rodzina była bliska bankructwa. Spadek po kuzynie był niczym manna z nieba. Przyplłynąłem na Barbados, żeby sprawdzić, czy to prawda.

Emma poczuła się winna. Mogło nie dojść do tej podróży, gdyby do niego napisała, zamiast wyczekiwać, co on postanowi. Mogła też napisać mu, skąd pochodziły pieniądze na ostatnią wpłatę, którą przekazała na jego konto w banku. Transfer był możliwy tylko dlatego, że zrezygnowała z własnej części dochodu. Wszystko mogło wyglądać inaczej, gdyby od początku wiedział, że plantacja nie przynosi spodziewanych zysków.

Dla niej niekoniecznie byłaby to zmiana na lepsze. Co by się stało, gdyby Ren odsprzedał swój udział i nie przyplłynął? Musiałaby sama skonfrontować się z Gridleyem, a także zapewne z jakimś innym łotrem, który stałby się właścicielem odsprzedanego udziału. Prawdopodobnie nie trafiłaby się jej okazja podpisania kontraktu na dostawę rumu. Jakie miałyby szanse przetrwania? Musiała myśleć o sobie. Nie mogła zachować się inaczej. Była egoistką z konieczności.

- Oczywiście dałoby się zarządzać spadkiem na odległość, ale ja chciałem przyjechać. Miałem w tym własny egoistyczny cel.

Emma zdziwiła się, że kierowały nimi podobne motywacje.

- Co powiedziałaś?

- Miałem własny egoistyczny cel - powtórzył. - Uciekłem od niechcianego małżeństwa.

W grę wchodziła inna kobieta! Emmie zakręciło się w głowie od licznych, mało

przyjemnych nowin. Bardzo chciała wierzyć, że Ren różni się od znanych jej mężczyzn. Czy znowu się pomyliła? Czy wszyscy mężczyźni komplikują sobie życie relacjami z wieloma kobietami naraz?

- Niechcianego w takim sensie, że nie chciałeś, by doszło do skutku, czy w takim, że zostało zawarte pod przymusem? Co do mnie, to nie zamierzam być tą, dla której popełnia się zdradę małżeńską lub bigamię.

Na samą myśl, że mogłaby po raz drugi znaleźć się w sytuacji, w którą wplątał ją Thompson Hunt, robiło się jej niedobrze. Powinna być mądrzejsza po tamtym doświadczeniu.

- Nie jestem żonaty. Swatano mnie z pewną bogatą panną z Yorku, która chciała kupić sobie mój arystokratyczny tytuł, ale nie zdecydowałem się na małżeństwo.

Emma odetchnęła. To nie do końca przypadek Thompsona Hunta. Mimo wszystko ciągle nie potrafiła uwierzyć, że Ren jest prostolinijny i szlachetny.

- Człowiek, który nie chce być nieszczęśliwy, nie zasługuje na miano egoisty - powiedziała, wiedząc dobrze, o czym mówi.

Spojrzał uważnie.

- Nawet jeśli zamiast niego poświęca się jego siostra?

- Nie rozumiem. Twoja siostra poślubiła tę pannę z Yorku? - Emma nie nadażała za Renem.

- Moja siostra wychodzi za mąż, a może już wyszła, dla pieniędzy, by uchronić rodzinę. Ona robi to, co należy do mnie.

Emma słuchała wstrząśnięta. Wyrzuty sumienia były szczere. Ren Dryden jest odpowiedzialnym człowiekiem.

- Pieniądze są takie ważne?

W tej sprawie była bezsilna. Przychyliłaby mu nieba, gdyby mogła, ale nie miała takich pieniędzy, jakich on potrzebował. Nic dziwnego, że był zdenerwowany po przestudiowaniu ksiąg rachunkowych plantacji. Spodziewał się kury znoszącej złote jajka.

- Pieniądze są istotne, a na pewno były. Teraz wszystko znalazło się na jak najlepszej drodze.

Ale nie na takiej, jak się spodziewał, pomyślała. Było widać, że jest przygnębiony rozwojem wypadków. Po śmierci ojca on został podporą rodziny i z czasem może znowu będzie. Emma życzyła mu, żeby odzyskał wiarę w siebie. Od kiedy zaczęło jej tak bardzo zależeć na tym, żeby Ren był szczęśliwy? Byłoby jej łatwiej go oceniać, gdyby był awanturnikiem, szukającym okazji do szybkiego wzbogacenia się. Takiego kogoś mogłaby się obawiać, ale przynajmniej by go rozumiała. Na wyspach było pełno ludzi tego pokroju, chociażby Kitt Sherard. Ren Dryden plasował się całkowicie poza jej zasięgiem. Emma nie wiedziała, jak postępować z takimi mężczyznami.

- Czy ten twój szwagier jest dobrym człowiekiem? - zapytała, chcąc uśmierzyć jego poczucie winy i przekonanie, że zawiódł.

- Jest moim dobrym przyjacielem.

- To znaczy, że jest porządnym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie, żebyś miał innych przyjaciół.

- A jakiego jesteś zdania o Kitcie Sherardzie? Chodziliśmy do jednej szkoły. - Ren

na tej informacji poprzestał. Kitt miał sekrety, których on, nawet gdyby je znał, nie chciał ujawniać.

- Nie czas na sprzeczkę o Kitta Sherarda. Rozmawiamy o tobie - przypomniała Emma. Znalazłoby się między nimi wiele innych kontrowersyjnych tematów. - Naprawdę sądzisz, że twój wyjazd jest dla nas rozwiązaniem sytuacji? - powróciła do zasadniczego tematu rozmowy.

Zatrzymał się i utkwiał w niej poważne spojrzenie.

- Jeżeli miałbym zostać, powinniśmy porozmawiać o małżeństwie. Nie możemy nadal mieszkać bez ślubu pod jednym dachem. Nie mógłbym ci tego zrobić.

- Mało romantyczne te twoje oświadczenia.

Jedyne, o czym potrafił mówić, to honor i obowiązek, nigdy uczucia, miłość. Tyle że Emma już raz dała się nabrać na bajkę o miłości i wiedziała, że życie to nie bajka. Książęta z bajki nie przemierzali świata w poszukiwaniu takich kobiet jak ona.

- Proponujesz mi małżeństwo niewiele różniące się od tego, przed którym uciekłeś z Anglii, podyktowane względami praktycznymi - dodała.

- Może nie da się uciec od przeznaczenia. - Ren wzruszył ramionami.

Emma się odsunęła. Gdyby jej w tym momencie dotknął, rozplakałaby się, a nie chciałyby, by widział, że nie potrafi nad sobą panować. Wiedziała, że jeśli pozostaną razem, to go pokocha. Już była na najlepszej drodze ku temu. Najgorsze, co mogłoby się jej przytrafić, to zakochać się w nim, ze świadomością, że głównym spoiwem ich związku są względy praktyczne i seks.

- Przykro mi, Ren. Nie mogę się na to zgodzić. Ja też jestem egoistką. Moją ambicją nie jest dogadzanie mężczyźnie. Nie mogę również ze względu na ciebie.

- Jeszcze nie poprosiłem cię o zgodę.

Emma zauważyła, że jej odmowa zdziwiła Rena. On tylko głośno myślał. Oswajał się z możliwością zaproponowania jej małżeństwa i dopiero kielkowało w nim przekonanie, że to nawet niegłupi pomysł. A ona powinna poczuć się zaszczyciona. Nie co dzień oświadcza się jej hrabia.

- Rozumiem twoją wstrzeźliwość. Mogę cię tylko zapewnić, że nie musi być tak, jak myślisz.

Ruszyli przed siebie, jak gdyby doszli do wniosku, że trzeba opuścić miejsce, które było świadkiem okropnych słów, jakie między nimi padły.

- Czy nie przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że kuzyn Merry chciał, żebyśmy się pobrali? - zapytał Ren po chwili. - Może dlatego tak podzielił spadek, żeby nas ze sobą skojarzyć?

- Nie. Ponosi cię fantazja. Merrimore nie wierzył w bajki. - Zamilkła, jakby wahać się, czy zdradzić mu swój ostatni sekret. - Był świadkiem rozpadu mojego pierwszego małżeństwa.

Teraz dopiero go zadziwiła. Jeśli jakieś wyznanie mogło przebić jego wcześniejsze przyznanie się do tego, że jest hrabią, to właśnie to. Jednak skwitował je tylko krótką uwagą:

- Może powinnaś mi o tym opowiedzieć.

Było łatwiej mówić, kiedy szli. Emma nie musiała patrzeć na Rena ani się przejmować jego reakcją na wieść, że ona jest kobietą zrujnowaną. To stało się prawie dziewięć lat temu i w ciągu tych dziewięciu lat żyła w przekonaniu, że jej przeszłość

jest zamkniętą księgą. Co więcej, myślała, że doszła z nią do ładu. Pojawienie się Rena dowiodło, że tak nie jest. Kusila ją powtórka dawnych błędów. Co więcej, chociaż nie miał takiego zamiaru, uzmysłowił jej, jak nieuporządkowane jest jej życie.

- Miałam osiemnaście lat, kiedy wyszłam za mąż. Chyba za młodo, chociaż wiele dziewcząt bierze ślub przed dwudziestym rokiem życia. Byłam w swoim narzeczo-
nym zakochana po uszy, nie zważałam na nic. Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że stało się tak, ponieważ czułam się samotna po śmierci ojca. Nie miałam rodziny i żadnego stałego miejsca, oprócz tego, które dał mi Merry. Przeczuwałam, że on nie będzie wieczny, pragnęłam czegoś stałego, czegoś własnego. Chciałam założyć rodzinę, która zastąpiłaby mi wszystko, za czym tęskniłam w swoim wędrownym życiu.

Uderzające, jak podobna jest jej obecna sytuacja. Śmierć opiekuna znowu skłoniła ją do poszukiwania zastępstwa. Po odejściu ojca szybko wyszła za mąż, teraz była skłonna szukać oparcia w Renie. Emma zawsze uważała siebie za osobę silną i niezależną, ale powtarzalność tego wzorca świadczyła o czymś przeciwnym. Rzucała ukradkowe spojrzenie na Rena.

- Czułaś, że ten mężczyzna zagwarantuje ci to wszystko?

Przyjmował jej opowieść wyjątkowo spokojnie. Nie zauważył do tej pory żadnych paraleli. Nie rozumiał, że ta historia tłumaczy, dlaczego ona nie może za niego wyjść chociażby z tego powodu, by udowodnić sobie, iż nauczyła się czegoś z przeszłości i nie zamierza powtarzać dawnych błędów.

- Byłam o tym święcie przekonana. Był dobrze sytuowany. Znacznie ode mnie starszy, miał pod czterdziestkę. Wydawało mi się, że wie, jak jest urządzony ten świat. Potrafił mnie rozśmieszać. Zasypywał prezentami. Zawsze miał coś dla mnie w kieszeni, a to wstążkę, a to cukierek. Ubóstwiałam go. Widziałam w nim prawdziwego księcia z bajki, przystojnego i pełnego galanterii. Merry zalecał, żebym poczekała, ale ja nie chciałam zwlekać. Bałam się, że on wyjedzie i nigdy go nie zobaczę. Wyszłam za niego po dwóch miesiącach narzeczeństwa. Merry urządził nam piękną uroczystość w ogrodzie. Po ślubie wszystko się odmieniło.

Nie od razu. Thompson był za sprytny, żeby natychmiast odsłonić prawdziwą twarz. Pomagał Merry'emu w prowadzeniu plantacji, stopniowo wypierając ją z tej roli. Zaprzyjaźnił się z Arthurem Gridleyem i innymi plantatorami z sąsiedztwa. Chciał uchodzić za prawą rękę właściciela Sugarlandu. Dziewięć lat temu Merry już był człowiekiem niemłodym.

- Mąż wywierał na mnie presję, żebym namówiła Merry'ego do objęcia go zapisem testamentowym. Kiedy to się nie udało, zrzucił maskę. Skończyły się żarty i prezenty. Stało się oczywiste, że ożenił się ze mną, by zdobyć plantację. Obrął drogę na skróty, nie chciał zaczynać od zera.

- Gridley mi wspominał, że nie ma wolnej ziemi na sprzedaż - wtrącił Ren.

- To prawda. Jedyne wejście w posiadanie plantacji to odkupienie jej od kogoś. Mój mąż nie był jednak zainteresowany zakupem, lecz przejęciem plantacji Merry'ego. Sądził, że uda mu się wyłudzić Sugarland ode mnie. Na szczęście Merry go przejrzał. I jednocześnie na nieszczęście. Kiedy mąż zorientował się, że Merry nie włączy go do testamentu, za niepowodzenie zaczął odgrywać się na mnie.

Emma starała się ukrywać sińce przed Merryem, lecz Thompson był nieostrożny.

A może zależało mu właśnie na tym, żeby ślady bicia były widoczne, gdyż sądził, że w ten sposób zmusi Merry'ego do zmiany decyzji?

- Jak to się skończyło? - zapytał ze ściśniętym gardłem Ren.

Emma czuła, w jakim napięciu Ren słucha jej opowieści. W jego kodeksie nie mieściło się takie traktowanie kobiety.

- Któregoś dnia Merry pod groźbą użycia broni kazał mu wynosić się z domu. On był tchórzem i się wyprowadził. Dowiedzieliśmy się, że wyjechał na Jamajkę i tam żył otwarcie z pewną bogatą wdową. Niektórzy opowiadali, że się z nią ożenił, ale my nie mieliśmy żadnego dowodu na potwierdzenie tego faktu. Mnie było wtedy wszystko jedno. Byłam zadowolona, że wyjechał. Nasz związek trwał trzy lata, a szczęście jeszcze krócej.

- Gdzie on teraz jest?

- Gnije w grobie zastrzelony przez zazdrosnego męża. Ta bogata wdowa na Jamajce najwyraźniej mu nie wystarczała. Prowadził bujne życie na Karaibach. - Emma była zmuszona przejść do bardziej zawstydzających szczegółów. - Jest prawdopodobne, że był już żonaty, kiedy ze mną wziął ślub. W ten sposób stałam się bigamistką w wieku lat osiemnastu, a wdową przed ukończeniem dwudziestego czwartego roku życia.

- Przecież o niczym nie wiedziałaś. Trudno cię obwiniać...

- Próbujesz rozgrzeszyć mnie czy siebie? - przerwała mu. - Nie potrzebuję rozgrzeszenia, Ren. Popełniłam błąd, wychodząc za niewłaściwego mężczyznę wbrew radom tych, którzy mnie kochali. Nie mogę udawać, że nic się nie wydarzyło albo szukać usprawiedliwienia. W oczach socjety go nie znajdę. Socjeta żyje takimi zdzeniami.

- On ma szczęście, że nie żyje! - wybuchnął Ren. - Gdyby żył, zastrzeliłbym go osobiście. Jeszcze przez dwa lata po wyjeździe trzymał cię w pułapce tego małżeństwa.

- Mimo wszystko byłam szczęśliwa, że go nie ma. Teraz wiesz już o mnie wszystko i rozumiesz, dlaczego lepiej będzie, żebym pozostała sama. Mam zrujnowaną reputację i będę obciążeniem dla każdego mężczyzny.

Ren zignorował tę uwagę.

- Jak nazywał się ten łajdak?

- Thompson Hunt.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ren wiedział, o kim mowa, zanim padło to nazwisko. Pamiętał insynuacje Gridleya na temat przeszłości Emmy. Spacer doprowadził ich okreśną drogą do domu. Odniósł wrażenie, że rozmowa także zatoczyła krąg. Wiedział znacznie więcej, ale znowu znalazł się w punkcie wyjścia.

- Jesteś pełen sprzeczności, Renie Dryden - orzekła ze śmiechem Emma. - Rano mówiłeś o wyjeździe, teraz zapowiadasz, że zostaniesz, i proponujesz mi małżeństwo. Chcesz mnie dlatego, że nie możesz mnie mieć.

Wyciągnęła dłoń, zatknęła mu kosmyk za ucho. Ten czuły intymny gest zelektryzował Rena. Jego reakcja świadczyła wiele o naturze, jakiej nabrał ich związek. Oprócz czysto fizycznej fascynacji łączyło ich coś, czego nie chciałby utracić. Mało tego, coś, o co byłby gotowy stanąć do walki.

Dzięki temu jednemu gestowi uzyskał jasność, której szukał. Ona go pragnie, chciałaby zaakceptować to, co on jej oferuje, ale nie może podjąć ryzyka nie tylko dlatego, że boi się popełnić po raz wtóry ten sam błąd, lecz także ze względu na niego. Nie chce wciągnąć go w skandal związany z jej przeszłością. Która kobieta odrzuciłaby diadem hrabiny? Która kobieta poświęciłaby szczęście dla dobra mężczyzny? Pojął, że odpycha go, ponieważ go kocha.

Emma go kocha! Chwycił dłoń, która pieściła jego ucho, i przycisnął do niej usta. Był w uniesieniu. Ona kocha Rena Drydena, mężczyznę, a nie jego hrabiowski tytuł! Jakąkolwiek decyzję podejmę, postanowił, wyjadę lub zostanę, nie zrezygnuję z Emmy. Kiedy mężczyzna spotyka taką kobietę jak Emma Ward, dostaje skarb, którego nie wolno wypuścić z rąk.

W holu panowała nienaturalna cisza. Pokojówka nie polerowała balustrady, służący nie wchodzili ani nie wychodzili z pokojów.

- Gdzie służba? - zapytał.

- Dostali wolne. Dzisiaj jest święto zbiorów. Wszyscy udali się do Bridgetown.

- Może też chciałabyś tam pojechać? - Ren był tak bardzo podekscytowany perspektywą produkcji rumu, że zapomniał o święcie. - Moglibyśmy przenocować w hotelu. Miałabyś okazję przejść się po sklepach.

Bridgetown było oddalone zaledwie o pięć mil, ale życie na plantacji płynęło własnym rytmem, który tak wciągał, że mogłoby się zdawać, iż tych mil jest nawet pięćdziesiąt. Gdyby udało mu się wywieźć Emmę do miasta, pomyślał Ren, może zapomnieliby o przeszłości, może zdołałby ją przekonać. Teraz, kiedy podjął decyzję, zależało mu na tej szansie bardziej niż na czymkolwiek innym, naturalnie z wyjątkiem Emmy.

Uchwycił jej dłonie i zatańczył z nią wokół holu.

- Co powiesz? Zaslugujesz na odrobinę rozrywki.

Śmiała się, co oznaczało, że ustępuje.

- Doskonale! Będę gotowa za pół godziny.

W Bridgetown trwało istne szaleństwo. Wszystkim udzieliła się atmosfera powszechnej radości. Emma spontanicznie przytuliła się do ramienia Rena, podczas gdy on ostrożnie manewrował zatłoczoną główną ulicą do zajazdu, w którym mieli zostawić gig i konia.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na tych uroczystościach! - wykrzyknęła oszołomiona Emma, wykręcając głowę, żeby nacieszyć oczy widokiem kramów wypełnionych wszelakimi towarami.

- Spadniesz z siedzenia, jak będziesz się tak wierciła. Zdążysz się jeszcze wszystkim napatrzeć.

Zostawili konia i gig w zajęzdzie i poszli do hotelu wynająć pokoje. Większość gości zatrzymywała się u znajomych lub zamierzała spać pod gołym niebem. Ren nie spodziewał się, że zbraknie wolnych pokoi. Chciał wziąć dwa, dla przyzwoitości, lecz oboje z Emmą dobrze wiedzieli, że jedno łóżko będzie nieużywane. Emma pragnęła cieszyć się chwilą, bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Nie żywiła wątpliwości, jak powinna postąpić, by uchronić Rena przed skutkami jego rycerskości, i miała nadzieję, że wystarczy jej odwagi, by uczynić to, co należy, gdy przyjdzie odpowiedni moment. Zanim to jednak nastąpi, postanowiła nie poddawać się melancholii. W Bridgetown podczas święta zbiorów panowała atmosfera karnawału, należało więc dołączyć do ogólnej niefrasobliwości.

Kiedy kilka godzin później wracali do hotelu, Emmę bolały nogi od tańca. Była zmęczona i szczęśliwa. Najbardziej cieszyło ją to, że nie spotkali nikogo spośród sąsiadów. W Bridgetown nie zauważyła ani Devore'a, ani Gridleya i pozostałych. Ren też dobrze się bawił, i to wcale nie na pokaz, by zrobić jej przyjemność. Tak musi się czuć kobieta, o której względy zabiega zakochany mężczyzna, pomyślała Emma. A gdyby naprawdę się zakochała? Czy odważyłaby się pójść za uczuciem? Sięgnąć po szczęście, które zaoferował jej Ren? Kiedyś była przekonana, że kocha Thompsona Hunta, a było to ślepe zauroczenie młodej dziewczyny. Nie знаła go, nigdy nie spędziła z nim przed ślubem tyle czasu co obecnie z Renem.

Doszli do hotelu. Był pełen plantatorów z całej wyspy, ale wśród gości nie dostrzegła sąsiadów.

- Czy Gridley nie przyjeżdża do miasta na święto zbiorów? - zapytał Ren, jakby czytając w myślach Emmy.

- Czasami się pokazuje, ale uważa się za kogoś lepszego od tych wszystkich ludzi.

Po wejściu do pokoju Ren zamknął drzwi. Gwar z hotelowego lobby ścichł. Zostali sami. We wnętrzu panował przyjemny chłód i cisza kontrastująca z radosnym podnieceniem, królującym na ulicach.

- To był naprawdę fantastyczny dzień... - zaczęła Emma trochę niepewnie.

- Fantastyczny dzień z fantastyczną kobietą. - Ren podszedł bliżej, położył jej palec na ustach. - Cicho, Emmo. Ciesz się chwilą. Możemy mieć takich dni więcej. Nie myślałaś o tym? Wyobraź sobie przyszłoroczne święto zbiorów. Kiedy ruszy produkcja rumu, będziemy wolni od wszelkich trosk. - Pocałował ją w szyję.

- Ren... - Chciała zaprotestować, ale nie znajdowała argumentów. Gdyby ustąpiła,

ten wspaniały mężczyzna mógłby do niej należeć. Początkowo mu się opierała, potem chciała go chronić przed sobą, przed skandalem i niebezpieczeństwem, jakie by na niego ściągnęła. Dodała jednak: – To nie za dobry pomysł.

Tymczasem Ren zaczął ściągać z niej ubranie. Ustami wodził po szyi.

– Nie jestem nim, Emmo. – Jego głos wibrował perswazją. – Nie jestem Thompsonem Huntem ani Arthurem Gridleyem czy innym mężczyzną, który cię skrzywdził. Przysięgam, będę cię wielbił zawsze, jeśli tylko dasz mi szansę.

Zsunął jej z ramion suknię i koszulkę, pozerął jej nagość pałającym spojrzeniem. Widział ją już wcześniej nagą i w lepszym oświetleniu niż w tych resztkach światła dziennego, które wpadało do pokoju. Tym razem jednak sytuacja była inna. To on ją rozbierał, a ona mu się poddawała, co sprawiło, że akt oddania mu się z jej strony stawał się bardziej jednoznaczny. Czy będzie na nią tak samo patrzył wtedy, gdy wybuchnie skandal? – zadała sobie pytanie Emma. Gdyby mogła należeć do Rena, nie niszczyć go...

– Połóż się na łóżku – poprosił schrypniętym głosem.

Posłuchała. Ściągnął ją za nogi na skraj posłania i ukląkł między jej rozwartymi udami.

– Jeśli ktoś ma tyle szczęścia co ja i spotka kobietę wartą uwielbienia, powinien zacząć wielbić ją natychmiast.

Emma zrozumiała jego intencje. Z wrażenia zaschło jej w ustach. Nigdy nie pieścił jej w taki sposób żaden mężczyzna. Czowała jego gorący oddech, rozwarła szerzej nogi. Nie myślała o oporze. Chciała tego. Pragnęła Rena. Czy starczy jej odwagi, żeby mu pozwolić na to, by został? Czy jeszcze raz uwierzy w cudowną bajkę o miłości? Jęki rozkoszy zmieniły się w szloch. Utraciła wszelką kontrolę nad sobą. Usłyszała jego gorący szept, dochodzący jakby z innego wymiaru.

– Emmo, jesteś moja.

Tak, jest jego i już nigdy nie będzie należała do innego mężczyzny.

Obudziła się późno. Mogłaby spać nawet dłużej, gdyby podświadomie nie wyczuła nieobecności Rena. Uprzytomniła sobie, jak szybko przywykła do jego bliskości. Oparła się na łokciu i rozejrzała po pokoju. Ren stał w otwartych drzwiach balkonowych i wyglądał na pustego o tej porze dziedziniec.

Wydawał się zagubiony w myślach. Z dołu dochodził tylko plusk wody w fontannie. Panujący wokół spokój i widok Rena opartego o balustradę niewielkiego balkonu były czymś ponadczasowym, obrazkiem wyjętym z opowieści o raj. Emma zamknęła oczy, żeby utrwalić w pamięci ów obrazek. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, ona zawsze będzie miała go pod powiekami.

– Dzień dobry – zawołała – co cię tak zainteresowało?!

Odwrócił się. W dłoni trzymał kartkę papieru.

– Przyniosłem śniadanie. Jest kawa i rogaliki. – Wskazał na stolik. – Przyniosłem także pocztę. Statek pocztowy zdążył zawinąć wczoraj do portu przed końcem uroczystości.

– Masz list z domu? – zapytała, starając się nadać głosowi normalne brzmienie.

– Od siostry. Pisze o Benedikcie DeBreedzie i ich pośpiesznych zaręczynach. – Gdy to mówił, w kącikach ust błąkał mu się uśmiezek. – Wszystko dobre, co się do-

brze kończy. Ty i Sherard mieliście rację. - Złożył trzymaną kartkę papieru na czworo i wsunął do kieszeni. - Siostra znalazła szczęście w najbardziej nieoczekiwanym miejscu z najmniej spodziewanym mężczyzną. Nie wyobrażałem sobie jej u boku Benedicta, ale okazuje się, że się myliłem.

- Jestem pewna, że nie zdarza ci się to często - zażartowała.

Spadł jej kamień z serca, że poczta nie zawierała złych wiadomości, które mogłyby oderwać od niej Rena, zanim oboje postanowią, co dalej. Chciała, by razem podjęli decyzję i żeby nie była ona podyktowana zewnętrznymi okolicznościami. Zbyt wiele niezależnych od nich czynników zdążyło zaważyć na ich relacjach.

- Oczywiście, że nie - podchwycił żart. - Chcę się zatrzymać w pewnym miejscu, zanim wyruszymy w drogę do domu.

Tym miejscem okazała się katedra św. Michała z jej wysoką dzwonnica.

- Ta budowla wiele przeszła. Po huraganie w tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku odbudowa trwała dziewięć lat, potem...

- ...w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym huragan uderzył po raz drugi - dokończył Ren.

- Tutaj tak definiujemy czas. Czy w Londynie nie odliczacie przypadkiem czasu od Wielkiego Pożaru?

- Racja - przyznał ze śmiechem Ren.

- Dlaczego się tu zatrzymałeś? Chyba nie po to, by oceniać straty wyrządzone przez huragany.

- Nie chcę wracać.

Zamarła. Podjął decyzję. Nie spodziewała się, że to usłyszy. No tak, statek pocztowy stoi w porcie. Stało się to szybciej, niż przypuszczała.

- Nie wracasz do Sugarlandu? - zapytała dla pewności.

Skąd ta zmiana? Wczoraj mówił o wspólnej przyszłości, a ona zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, by go przekonać, iż taki plan to mrzonka. Wygląda na to, że odwaga nie będzie jej potrzebna. Przejrzał na oczy bez jej pomocy. Zrozumiał, z kim ma do czynienia. Nie powinna być zaskoczona. Hrabiowie nie żenią się z osobami podejrzanymi o bigamię.

- Nie chcę wracać - podjął Ren - do tego stanu naszych relacji, w jakim je zostawiliśmy, kiedy wczoraj wyjeżdżaliśmy do miasta. Zamierzam uczynić krok do przodu. Zanim wrócimy do domu, musimy ostatecznie ustalić, jak mają się sprawy między nami.

W rozświetlonym nielicznymi świecami mrocznym wnętrzu kościoła Emma dostrzegła napięcie, z jakim to mówił. Musiało go to sporo kosztować. Nie był pewny jej odpowiedzi. Kolejne słowa to potwierdziły.

- Chcę pojechać do Sugarlandu pewny, że zostaniesz moją żoną i że zbudujemy wspólne życie tutaj, na Barbados.

Patrzyła i zrozumiała, że się pomyliła. Ren nie wróci do Anglii. Pozostanie z nią na wyspie.

- Dlaczego? - wykrztusiła z trudem, wpatrzona w jego twarz.

- Kocham cię i chcę stanąć z tobą w tym kościele, by w obliczu Boga i ludzi oświadczyć, że cię wybrałem. Wyjdiesz za mnie, Emmo? Nie dlatego, że nasz ślub

leży w interesie Sugarlandu, i również nie dlatego, że uwolnisz się od natarczywości Gridleya. Nie z tego powodu, że jestem bogaty, w każdym razie jeszcze nie teraz. I nie z tej przyczyny, że jestem hrabią. Zostaniesz moją żoną dlatego, że tego chcesz, ponieważ mnie kochasz, a ja kocham ciebie, a to coś znaczy.

Mimo wszystko będzie to jej decyzja. Emma czuła, że uginają się pod nią kolana. Ma porzucić ostrożność? Chwycić szczęście, które oferuje jej ten mężczyzna? Zaryzykował, od niej uzależnił swoją przyszłość. Zostanie albo opuści wyspę w zależności od tego, co ona wybierze. Teraz kolej na nią. Musi wykazać się odwagą, tyle że nie po to, by go odepchnąć. Potrzebuje odwagi, żeby pozwolić mu zostać, a sobie poczuć się szczęśliwą. Emma wzięła swoją przyszłość w obie ręce i powiedziała:

- Tak.

Ren przytulił ją, ucałował jej dłonie, potem usta.

- Obiecuję ci, że przy mnie zawsze będziesz bezpieczna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ten dzień zapamięta jako jeden z najszcześniejszych w całym życiu. Ren był pewien, że będzie go tak wspominał do późnej starości. Przyplłynął na Barbados w poszukiwaniu nowego początku i go znalazł, chociaż nie tak go sobie wyobrażał. W najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczał, że będzie tu na niego czekała piękna i inteligentna kobieta. Nie spodziewał się też finansowych i towarzyskich wyzwań, jakie przed nim stanęły. Mimo to zatriumfował. Oparta o jego ramię drzemiąca Emma była tego dowodem, a zarazem nagrodą.

Był w radosnym nastroju. Wyjaśniła się sytuacja siostry, przyjaźń z Kitem i Benedictem przetrwała próbę. Rodzina była bezpieczna, chociaż doszło do tego w inny sposób, niż się spodziewał. Niedługo ożeni się z miłości. W jego związku będzie miejsce na namiętność i partnerstwo. Nie oczekiwał tego, kiedy opuszczał Anglię. Był człowiekiem spełnionym, a dzień zapowiadał się wyjątkowo pięknie.

W odległości dwóch mil od domu Ren dostrzegł szary lej wzbijającego się w niebo dymu, ale na ten widok nie poczuł niepokoju. Ktoś mógł palić resztki łądyg trzciny pozostałych po zbiorach albo wypalać pole pod nowe nasadzenia.

Zresztą z tej odległości trudno było ocenić, czy dym pochodził z Sugarlandu. Właściwie nie mógł tam się unosić, skoro na plantacji nie było nikogo. Dopiero po południu robotnicy zaczną wracać z miasta. Wszelkie prace rozpoczną się najwcześniej nazajutrz. Ren doszedł do wniosku, że nie warto budzić Emmy.

Po pokonaniu kolejnej mili stwierdził, że dym stał się gęściejszy, bardziej czarny, a jego źródło musi znajdować się bliżej Sugarlandu, niż początkowo to ocenił. Gdzie dokładnie, nie dało się ustalić na nieustannie wijącej się drodze.

Zaczął się niepokoić. Wydawało mu się, że u podstawy czarnego leja dostrzega czerwone jęzory ognia.

Emma poruszyła się, uniosła głowę i pociągnęła nosem.

- Co to za zapach? Śmierdzi jak... dym!

- Coś się pali. Trudno ocenić gdzie. - Ren nie chciał jej alarmować bez powodu.

W przypadku Emmy ostrożność była zbyt duża. Oceniła sytuację bez namysłu.

- To Sugarland. Plantacja się pali! Szybko!

Ren zaciął konia batem. Masywny kasztan pognał do przodu. Emma patrzyła w kierunku, gdzie kłębił się najgęściejszy dym, starała się ustalić, co się pali.

- Źródło ognia jest na polu, ale nie potrafię powiedzieć gdzie. Jak mogło do tego dojść?

Ujrzeni dom. Był nietknięty, ale dym gęstniał z minuty na minutę. Ren zatrzymał konia. Zeskoczyli z gigu, wpadli do domu, wybiegli na werandę na tyłach. Opuściła ich początkowa radość, że dom jest bezpieczny. Ogień szybko rozprzestrzenił się po polach, pochłaniał wszystko, co znajdowało się na jego drodze, nieuchronnie zbliżał do budynku. Płomienie wyglądały jak wielka pomarańczowa ściana.

Ren gorączkowo zastanawiał się, co zrobić. We dwójkę nie mieli szansy podjąć skutecznej walki z ogniem. W takim tempie, w jakim się rozprzestrzeniał, wkrótce ogarnie dom. Być może istniała szansa, gdyby powalczyć z flanki. Ren wiedział, że folwark jest na straty, ale mogliby spróbować uratować destylarnię, źródło ich przyszłych dochodów.

- Wszystko stracone - wyszeptała Emma z twarzą pobladłą z przerażenia.

- Nie wszystko.

Ren popatrzył na wschód. Tam ogień wydawał się najmniej intensywny. Nie było czasu do namysłu. Ruszył biegiem do gabinetu, po drodze wykrzykując instrukcje dla Emmy:

- Masz dwie minuty. Łap wszystko, co ma jakąś wartość: koce, ubranie, lekarstwa. Spotkamy się przy gigu. Będziemy walczyć o destylarnię.

W gabinecie Ren zdjął narzutę z fotela i rozłożył ją na podłodze. Zaczął do niej wrzucać księgi rachunkowe i ważne dokumenty. Opróżniał jedną szufladę biurka po drugiej. Słyszał, jak Emma zbiega po schodach. Związał rogi narzuty, zarzucił sobie tobół na plecy. Objął pokój ostatnim spojrzeniem. Nie było czasu ratować więcej rzeczy.

Emma czekała przed domem. Układała swój tobołek na dnie gigu. Ren dorzucił swój. Wskoczyli na siedzenie. Jechali równolegle do ściany ognia w kierunku wschodnim.

Po tej stronie mieli większą szansę. Ogień nie był tu tak gwałtowny ani dym tak gęsty. Destylarnię otaczał mur. Przez jakiś czas da on ochronę przed ogniem. Nie brakowało też narzędzi. Łopat i wiader. Stała beczka z deszczówką, była bieżąca woda, która poruszała koło napędowe.

- Mamy szansę? - spytała Emma.

- Tak, damy radę - odparł z przekonaniem, żeby dodać jej odwagi.

Jak szyderczo musiały teraz brzmieć w jej uszach jego wcześniejsze słowa, że przy nim zawsze będzie bezpieczna. Najpiękniejszy dzień jego życia zmienił się w koszmar.

- Potrzebujemy pomocy. Ten pożar jest zbyt wielki - powiedziała Emma, ale złapała łopatę i przyłączyła się do kopania rowu mającego powstrzymać postępy ognia.

- Zacznijmy sami, a pomoc nadejdzie. Robotnicy zauważą dym i ruszą nam na ratunek - rzekł Ren.

Miał nadzieję, że tak się stanie. Emma była uczciwym pracodawcą. Ren liczył na lojalność zatrudnionych przez nią ludzi. Upadek Sugarlandu oznaczał dla nich utratę pracy. Nie mieli nic do zyskania, zachowując bierność.

- Oni są daleko.

Jadąc na plantację, mijali wracających pieszo z miasta robotników. Nie spieszyli się, dla nich święto wciąż trwało.

- Sąsiedzi są w domu - zauważył Ren. Zapamiętał, że ani Gridleya, ani Devore'a i pozostałych nie było w mieście. - Dostrzegą dym.

- I będą się cieszyli. Na taką katastrofę czekali. Bez naszej produkcji ich kartel podyktuje ceny na rynku.

Ren oparł się na łopacie. Rów, który kopali przed destylarnią, zaczynał nabierać kształtu.

- Myślisz, że podpalili nasze pole? Byliby zdolni posunąć się aż do tego? - zapytał.

- Gridley na pewno. Ostrzegał cię, a raczej nas, nie pamiętasz? A to jest nic w porównaniu z morderstwem.

Ren wrócił do pracy. Emma miała rację. Pomoc raczej nie nadejdzie. Są zdani tylko na siebie. Rów, który kopią, będzie jedyną zaporą między destylarnią a ich ruiną. Jeżeli ogień pokona tę zaporę... Wolał o tym nie myśleć. Nie zawiedzie Emmy. Nie potrafił jednak zgłębić motywów takiej destrukcji. Jeśli to rzeczywiście Gridley podłożył ogień, trudno dopatrzeć się w tym racjonalności.

- Dlaczego Gridley miałby zniszczyć coś, czego pożąda?

- Żebym padła przed nim na kolana.

Logika tego wytłumaczenia była niepodważalna. Było coś, czego Gridley pożądał silniej niż Sugarlandu - Emmy. Bez dochodów, plantacji, domu, które pozostawił jej Merrimore, żeby ją chronić, stałaby się bezbronna. Dostrzegał przewrotność rozumowania Gridleya, który jednak zapomniał o nim, o Renie. On stanie pomiędzy Emmą a Gridleyem, kiedy utraci ona dom i dochody ze sprzedaży cukru. On i produkcja rumu. On będzie o Emmę walczył z taką samą determinacją, jak teraz walczy z ogniem.

- Może Gridley by się do tego posunął, trudno jednak uwierzyć, że inni by mu na to pozwolili. - Ren mimo wszystko nie posądzał pozostałych sąsiadów o taką deprawację. Graniczyłaby z szaleństwem.

- Karaiby nie przyciągają kryształowych ludzi. Nasi sąsiedzi uważają się za dżentelmenów, ale moralność mają na poziomie szumowin z doków portowych.

Ren wolałby, żeby Emma się myliła. Przerwał kopanie, by ocenić rezultat ich pracy. Uznał rów za wystarczający.

- Teraz zacznij usuwać wszelką roślinność po swojej stronie - poradził Emmie. - Niech ogień nie ma pożywki, jeśli przekroczy rów. Ogień potrzebuje paliwa, bez niego gaśnie.

Podszedł do gigu. Spod siedzenia wyciągnął pistolet.

- Weź to. - Rzucił broń Emmie. - Mam nadzieję, że nie będziesz go potrzebowała. Zaraz wracam.

- Dokąd idziesz? Zostawiasz mnie?

- Pójdę się rozejrzeć. Chcę zobaczyć, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

Zaczął się wzmagać wiatr, który albo im pomoże, albo zaszkodzi. Ren miał nadzieję, że powieje tak, iż odwróci ogień od destylarni. Gdyby tak się stało, mogliby pozostawić destylarnię i spróbować uratować inny obiekt.

- Nie podoba mi się to - zaprotestowała Emma. - Wiatr jest nieprzewidywalny, może zmienić kierunek w każdej chwili. Nie idź. Ogień może odciąć ci drogę powrotu.

Pocałował ją przeciągle. Tylko tyle mu pozostało. Nie mógł jej niczego obiecać.

- Nie zabawie długo. Nie bój się, tutaj będziesz bezpieczna.

- Nie o siebie się boję, ty głupku. Idź, ale się pospiesz i nie odgrywaj bohatera.

Co za wspaniały widok, ten pożar wygląda jak namalowany, pomyślał Arthur Gridley, obserwując wraz z Hugh Devore'em pożar plantacji Alberta Merrimore'a z wysokości końskich grzbietów. Ogień szalał na polach i w budynkach folwarcz-

nych, zbliżał się do domu mieszkalnego. Gridleyowi szkoda było tego domu, ale jeśli ocaleje, Emma nigdy nie zmięknie. Dom nie generował zysku, jednak Emma był sentymentalną gęsią, dla niej ten budynek był pamiątką po opiece.

- Dryden jest w destylarni - oznajmił Devore'owi. - Gig pojechał w tamtą stronę.

- Dryden to cwaniak. Szkoda, że nie dołączył do nas - zauważył Devore. - Będzie go to drogo kosztowało. - Wskazał przytroczony do siodła kij do golfa.

Gridley musiał oddać Drydenowi sprawiedliwość. Rozsądnie postąpił, postanawiając udać się do destylarni. Gridley nie liczył na to. Przypuszczał, że Emma skłoni go do walki o ocalenie domu. To fakt wiele mówiący. Być może Dryden ma na nią większy wpływ, niż należałoby sądzić. Dobrze wiedzieć. Ostatecznie to okoliczność sprzyjająca. Wszystko idzie jak po maśle.

On i Devore kazali swoim ludziom podłożyć podpałkę pod osłonę nocy. Nie wiązało się to z żadnym ryzykiem. Nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć. Ryzykowny stał się dopiero moment podpalenia, tym bardziej że powinno być skoordynowane w wielu miejscach. To musiało się dokonać za dnia. Gridley chciał, żeby Dryden i Emma rzucili się do walki z ogniem. Nie zawiódł się. Wszystko przebiegało zgodnie z jego rachubami. W tej chwili byli w destylarni i kopali zapórę przeciwogniową.

Silny podmuch wiatru sprawił, że Gridley spojrział w niebo. Nad oceanem gromadziły się ciężkie od deszczu ciemne chmury. Co ma być, to będzie, pomyślał.

- Czas działać. - Skinął na Devore'a.

Devore odpowiedział złym uśmiechem.

- Ja biorę się za Drydena, ty zajmij się dziewczyną.

Kopnęli konie do galopu. Niech pada, poczynione szkody już są nieodwracalne. Deszcz może uratować sporą część plantacji, ale nie uratuje Rena Drydena. Zaczyna się druga faza operacji.

Emma obserwowała pociemniałe niebo. Te chmury niosły nadzieję. Ogień podchodził jednak coraz bliżej. Każda minuta zdawała się trwać w nieskończoność. Gdzie Ren? Jakie przyniesie wiadomości? Czy ogień zagraża domowi? Jeśli dom ocaleje, skutki pożaru może nie będą tak bardzo dotkliwe. Emma wiedziała, jak doszło do pożaru.

Doprowadziła do tego swoją arogancją, egoizmem i lekkomyślnością. Ściągnęła na siebie gniew Arthura Gridleya. Zależało mu na przejęciu Sugarlandu. Było tylko kwestią czasu, kiedy wyciągnie rękę po nią, swoją nagrodę. Nie miała jak się przed nim bronić. Pozostał jej tylko Ren.

Czy to wystarczy? Inna kwestia, czy powinna mu na to pozwolić. Przybył tutaj w interesach, by podreperować finansowo rodzinę. Poznając ją, naraził się na niekończący się łańcuch zagrożeń. Dzisiaj rano postąpiła bardzo nierozważnie. Powinna odrzucić jego oświadczenia i nie zważając na jego wolę i na ból, jaki zadałaby swojemu sercu, wypędzić go do Anglii, gdzie byłby bezpieczny.

Hałas za plecami wyrwał Emmę z zamyślenia. Ktoś się zbliżał. Ren! Serce zabiło jej żywiej, odruchowo ścisnęła w dłoni pistolet. W tej samej chwili spadły pierwsze krople deszczu, wielkie i płaskie.

- Emmo, chodź, to szaleństwo! Nie uratujesz destylarni.

To nie był Ren, lecz dosiadający konia Gridley. Zeskoczył na ziemię. Jedną ręką

trzymał wodze, drugą wyciągnął w jej kierunku. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie.

Inna kobieta dałaby się oszukać, ale nie ona. Nie przyjechał, by jej pomóc, tylko żeby ją zabrać. Nie zamierzała opuszczać swojego terenu. Nigdzie z nim nie pojedzie. Serce mówiło jej, że to ostatnia bitwa. Lepiej stoczyć ją w Sugarlandzie, nawet jeśli plantacja płonie. Uniosła pistolet i wymierzyła w pierś Gridleya.

- Przestań udawać. Nigdzie z tobą nie pojedę.

- Nie myślisz racjonalnie.

Gridley nadal odgrywał przyjaciela. Robił to od miesięcy, chociaż oboje wiedzieli, o co w tej grze chodzi. Puścił luzem wodze konia, ruszył ku Emmie.

- Opuść broń. Gdzie Dryden? Musimy go odnaleźć i wszyscy razem uciekać w bezpieczne miejsce. Ogień zaraz tu dotrze. W imię pamięci Alberta Merrimore'a proszę cię, opamiętaj się, uciekaj ze mną. On nie chciałby, żebyś niepotrzebnie się narażała.

- Nigdy nie byłeś jego przyjacielem! Zamordowałeś go w jego własnym łóżku!

Będzie musiała wystrzelić? Czy Gridley przestraszy się jej blefu? Deszcz rozpadał się na dobre, zalewał jej twarz. Nie widziała wyraźnie, trzymała niepewnie pistolet w śliskich od wilgoci palcach. Musi zdecydować się bardzo szybko, inaczej będzie za późno. Zebrała całą swoją odwagę.

- Koniec z tobą, Gridley. Nikt się nie zdziwi, kiedy znajdzie twoje ciało na pogorzeli. Będę opowiadała, że ryzykowałeś życie, przychodząc nam na ratunek. Zostaniesz bohaterem.

- Nie strzelisz. To do ciebie niepodobne, Emmo. Podoba mi się twój opór. Jesteś wspaniała. Nigdy nie pragnąłem cię bardziej niż w tej chwili, kiedy tak na mnie patrzysz ponad lufą pistoletu.

- Ona nie strzeli! - zawołał Hugh Devore, wyłaniając się na koniu zza rogu budynku.

Emma i Gridley odwrócili się w jego stronę.

- Na pewno nie, jeśli zobaczy, co wiozę. - Wskazał na ciało przewieszane przez tył swojego wierzchowca. - Biedny Dryden, dał się zaskoczyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Ren! - Powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk Emmy.

Rzuciła pistolet i puściła się biegiem. Z wielkim wysiłkiem zdjęła bezwładne ciało z końskiego zadu. Omal się przy tym nie przewróciła. Odwlekła go, trzymając pod pachy, od Devore'a i Gridleya.

- Co mu zrobiliście?! - zawołała. Zapomniała o wszystkim. Liczył się tylko Ren.

- Cośmy zrobili? - Gridley roześmiał się złowrogo. - Rozbroiliśmy ciebie, od tego należy zacząć. - Nadepnął na porzucony przez Emmę pistolet. - Odkryliśmy jej sła-bą stronę, Hugh. Zadurzyła się w Angliku. A wyglądało na to, że z nudów tarzają się w łóżku.

Emma zignorowała ordynarne słowa Gridleya. Macała palcami głowę Rena. Na jednej stronie znalazła wybrzuszenie, które lekko ucisnęła. Ren jęknął, a ona ucie-szyła się, oznaczało to bowiem, że żyje. Cierpi, ale żyje. Łotry! Niestety, była wobec nich bezbronna.

Gridley krążył wokół niej jak drapieżnik otaczający ofiarę. Wszelkie pozory przy-jaźni znikły. Devore trzymał się na boku pod okapem destylarni. Patrzył. Jak ona po-radzi sobie z oboma? Gdyby miała do czynienia tylko z Gridleyem, może by coś wy-myśliła. Od lat dawała sobie z nim radę.

Deszcz rozpadał się na dobre. Emma przestała się lękać ognia, zaczęła się oba-wiać nagłego ochłodzenia. Ren był przemoknięty do suchej nitki. Ona też trzęsa się z zimna. Powinna zacząć działać, i to szybko.

- Czego chcesz? Wymień swoją cenę.

- Dobrze wiesz czego. Ciebie.

- Co dostanę w zamian? - Emma wbiła spojrzenie w Gridleya i zaczęła krążyć równoległe do niego wokół leżącego w środku nieruchomo Rena.

- Życie Drydena. Wykurujesz go i odstawisz na statek. Poza tym nie ma się o co targować.

- Jest jeszcze plantacja. - Emma postanowiła zaryzykować. - Odbudujesz ją.

- W prezencie ślubnym. - Gridley ukłonił się szyderczo. - W końcu będzie nasza.

- I Drydena. Nie zapominaj, że on ma pięćdziesiąt jeden procent, a ty już obieca-łeś mi jego życie.

- Za dużo wymagasz. - Gridley przyskoczył do Rena, kopnął go w żołądek i roze-śmiał się, kiedy ten jęknął. - Pozwoliłem ci potargować się o życie kochanka. Nie musiałem tego robić. Mogłem po prostu cię wziąć. Nie przeszkodzisz mi. - Jakby na potwierdzenie tych słów, rzucił się na Emmę.

Zaskoczył ją. Poza tym nie była na tyle silna, by nie upaść pod jego ciężarem. Za-częła się bronić, szarpać, kopać. Gridley był silniejszy. Unieruchomił jej ręce.

- Chodź, Devore, potrzywasz ją! - zawołał.

- Sam nie dasz rady? Co z ciebie za mężczyzna! - Plunęła mu w twarz.

- Cholera!

Devore posłuchał. Przytrzymał ręce Emmy nad jej głową.

- Masz ją żywą, Arthurze. Jesteś pewien, że o to ci chodziło?

Emma chciała by i jemu napluć w twarz, ale nie mogła odwrócić głowy.

- Jak możesz na to patrzeć. On mnie zgwałci - spróbowała apelować do jego sumienia.

- O gwałcie nie ma mowy. Ożeni się z tobą. Potraktuj to jako zaręczyny. Zresztą obiecałeś mu, więc dotrzyмай słowa.

Gridley wyprostował się i zaczął rozpinąć spodnie.

- Właśnie, obiecałeś. Zostawiłem Anglika przy życiu, ale może powinienem się zastanowić. Strzał w kolano go nie zabije, a ciebie przekona, że musisz dotrzymać słowa. Trzymasz ją, Hugh? - Sięgnął po leżący na ziemi pistolet. - Dryden ci nie podziękuje za to, że do końca życia będzie kulawy.

- Nie! - krzyknęła Emma. Wiedziała, że Gridley jest zdolny spełnić groźbę.

Gridley odłożył pistolet.

- Co znaczy „nie”?

- Nie rób tego, proszę. - Nienawidziła prosić. Nienawidziła odczuwać bezsilność, ale tylko ją okazując, mogła uratować Rena.

- I...? - Uniósł palcem jej brodę.

- Będę grzeczna - powiedziała pokornie.

- Jak tak, to co innego, prawda, Hugh? Co teraz? Aha, zaraz się za ciebie wezmę, a ty nie stawisz oporu. Devore, jesteś moim drużbą, będziesz patrzył.

Ren uniósł się na łokciach i kolanach. Widział jak przez mgłę, w głowie mu huczało, ale słyszał na tyle dobrze, by zrozumieć, że Emma jest w niebezpieczeństwie. Była bez szansy, a targowała się o jego życie.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Devore i Gridley byli zajęci Emmą. Poczłgał się w ich stronę w błocie. Jeszcze kilka kroków. Musi znaleźć dość siły, żeby rzucić się na Gridleya. Co potem? Nie miał pojęcia.

Emma szlochała. Spełnił się jej najgorszy koszmar. Ren pokonywał dystans z największym trudem, ból rozsadzał mu czaszkę. Zawiodł na całej linii. Ładnie ją chronił.

Devore przytrzymał Emmę. On i Gridley wymieniali rubaszne uwagi. Mgła opała przed oczu Rena. Zauważył, jak Gridley wsuwa dłoń między nogi Emmy, i skończył z dzikim rykiem. Przewrócił Gridleya na bok. Udało mu się zacisnąć dłoń na jego szyi. Gridley szamotał się, usiłując uwolnić się z uchwytu. Obaj stali się śliscy od oblepiającego ich błota.

Gridley był silny. Udało mu się oderwać dłoń Rena od swojego gardła i odczołgać się na bok. Ren zdążył jednak chwycić go za kostkę nogi i przyciągnąć z powrotem do siebie. Gridley wrzeszczał na Devore'a, żeby mu pomógł, Ren na Emmę, żeby uciekała, ale nie zamierzała go posłuchać. Usłyszał jej głos:

- Nie ruszaj się!

Zrozumiał, co się dzieje dopiero wtedy, kiedy kątem oka dostrzegł, jak ona mierzy z pistoletu do Devore'a. Poczł, że opuszczają go siły. Sama determinacja nie wystarczy. Jeśli nie skończy z Gridleyem, to on skończy z nim, z Renem.

Rozległ się wystrzał. Devore upadł, klnąc i chwytając się za nogę. Gridley wyko-

rzyszał moment zaskoczenia, wyrwał się Renowi, rzucił się ku Devore'owi. Ren stanął chwiejnie na nogach i potykając się, zbliżył do Emmy.

- Ty dziwko, strzeliłaś do niego! - wrzasnął Gridley, ale ledwo przebrzmiał jego okrzyk, dał się słyszeć inny głos.

- To nie ona strzeliła, lecz ja. Był najwyższy czas.

Ku nim szedł Kitt Sherard. Brutalnie odepchnął stojącego mu na drodze Gridleya.

- Mam jeszcze drugi pistolet. Chcesz sobie postrzelać? - Podał broń Renowi. - Słyszałem, że jest sezon na gridleye.

- Mogę, panno Ward? - Wyjął pistolet z drżącej dłoni Emmy. - Wycelował go w Devore'a, chociaż nie stanowił żadnego zagrożenia. Strzał Kitta go unieszkodliwił. - Zastrzelimy ich, Ren? Położymy kres ich niedoli czy niech poczekają na wymiar sprawiedliwości?

- Niczego nie udowodnicie - rzucił Gridley. - Twoje słowo nic nie znaczy przeciwko memu. Jesteś zwykłym piratem, Sherard.

- W takim razie zastrzelmy go. - Ren wykonał wymowny ruch dłonią. Był gotowy to zrobić, jeśli miałoby to położyć kres tej scenie. Chciał jak najprędzej zająć się Emmą, sprawdzić, czy nie doznała krzywdy.

- Nie wiesz, jakie dowody mogą wypłynąć. Na mieście różnie o tobie opowiadają - zauważył Kitt, zwracając się do Gridleya. - Na twoim miejscu wsiadłbym na konia, pogalopował do domu i zastanowił się, co będzie dla mnie korzystniejsze: zostać i stanąć przed sądem czy znaleźć sobie łódkę i uciec, gdzie pieprz rośnie.

Poskutkowało. Gridley wsadził Devore'a na konia i obaj odjechali, miotając przekleństwa na Sherarda, który śmiał się i strzelał w powietrze, żeby wprawić konie odjeżdżających w cwał.

- Ale tu bajzel - zauważył, kiedy jeźdźcy zniknęli. - Ogień, ulewa, błoto; prawdziwa tropikalna klęska żywiołowa.

- Kitt, nie zawracaj głowy, jedziemy do domu.

Ren martwił się o Emmę - słała się na nogach. Podtrzymywał ją, chociaż sam był bardzo słaby. Upadłby, gdyby Kitt nie chwycił go w porę pod ramię.

- Kto powiedział, że jest jeszcze jakiś dom - zauważył ponuro Kitt.

- Przekonajmy się - mruknął Ren. Usadził Emmę w gigu.

- Jadąc tutaj, zorganizowałem pomoc ze strony napotykanych na drodze robotników. Jeśli dom się ostał, będą tam - powiedział Kitt.

- Jak to się stało, że przyjechałeś? - zapytał Ren, w nadziei że rozmowa pozwoli zapomnieć o bólu głowy.

- Poszedłem rano do hotelu. Chciałem się spotkać z wami przed waszym powrotem na plantację. Powiedziano mi, że już wyjechaliście. Wtedy usłyszałem czyjąś uwagę, że czeka was niemiła niespodzianka. Nie zwlekając, ruszyłem w drogę. Dym zauważyłem dość szybko.

- Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. Dałem się zaskoczyć Devore'owi.

Jechali chwilę w milczeniu. Emma opuściła głowę na ramię Rena. Poczul, że jest rozpalona. Upewnił się, przytykając dłoń do jej czoła.

- Kitt, ona ma gorączkę.

Była przemoczona i umazana błotem. Ren otulił ją szczelnie kocem. Mógł zrobić dla niej tylko tyle, a także zabrać ją do domu, o ile dom jeszcze stał.

Z destylarni do domu nie było daleko, lecz teraz droga wydawała się nie mieć końca. W końcu mieli przed sobą ostatni zakręt. Ren wstrzymał oddech. Kitt pogalopował do przodu.

- Co widzisz?! - zawołał Ren.

Kitt odwrócił się w siodle. Uśmiechał się szeroko.

- Wciąż stoi. Wiatr w porę zmienił kierunek.

Ren uparł się, że sam zanieśie Emmę na górę, więc Kitt zajął się wydawaniem rozkazów służbie. Zarządził przygotowanie dwóch kąpeli. Hattie była już na miejscu i wraz z innymi służącymi natychmiast tym się zajęła. Wszyscy byli przerażeni tym, jak blisko było do katastrofy. Ogień zatrzymał się zaledwie niecałe pięćset jardów od budynku.

Ren położył Emmę na łóżku, nie zważając, że jest cała zabłocona.

- Ren? Co z domem? - spytała.

- Wszystko w porządku. Jesteśmy w domu. Leż spokojnie. Hattie jest na miejscu. Zaraz będziesz miała kąpiel.

- Ren, gorąco mi.

- Ochłodziś się w kąpeli.

Do pokoju wpadła Hattie z ręcznikami.

- Niech pan natychmiast wyjdzie. Ja się nią zajmę. Nie wypada, żeby widział ją pan bez ubrania. Na pana też czeka kąpiel. Pan Kitt tam jest.

- Mamy zamiar się pobrać - wyjaśnił Ren.

- Oczywiście, ale jeszcze nie dzisiaj.

Rzucił ostatnie spojrzenie na Emmę. Była blada, leżała nieruchomo na łóżku.

- Zaraz wrócę.

Postanowił, że po kąpeli przeniesie się ze swojej części domu do pokoiów po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko sypialni Emmy.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go Hattie.

Kiedy wrócił, Emma spała. Policzki miała zaczerwienione, skórę rozpaloną. Gorączka musiała być wysoka. Hattie z drugą służącą zmieniały jej zimne kompresy na czole. Próbowaly też napoić ją ziołową herbatką.

- Wywar z kory wierzbowej. Zbija gorączkę - rzuciła Hattie, nie oglądając się na Rena.

- Jak mogę się przydać? - Ren dotkliwie odczuwał swoją bezradność.

- Jest co robić. Niech się pan weźmie za to, co zrobiłaby panna Emma, gdyby nie była chora. Musi mieć spokój, żeby wrócić do zdrowia.

Jakby na sygnał do pokoju wsunął głowę Kitt. Zdażył się umyć i przebrać w czystą koszulę i spodnie przyjaciela.

- Ona ma rację. Chodź, Ren. Nie ma tu dla ciebie nic do roboty, za to możesz przydać się na plantacji.

Rzeczywiście, pomyślał Ren, jeśli chce pomóc Emmie, powinien zająć się Sugarlandem. Obaj z Kitem wykorzystali resztę dnia na dokonanie inspekcji. Pola były wypalone. Budynek folwarczny będzie wymagał odbudowy od fundamentów. Ogród warzywny przepadł. Dom był nietknięty, destylarnia również, lecz Sugarland utracił samowystarczalność. Całą niezbędną żywność będą musieli nie małym kosztem

sprowadzać z Bridgetown. Do odbudowy potrzebni będą robotnicy, a to oznaczało, że trzeba mieć pieniądze na ich wynagrodzenie, nie mówiąc o wyżywieniu.

- Nie wygląda to dobrze - powiedział zmartwiony Ren.

- Mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy, udało mi się odłożyć dość pokaźną sumkę - zaproponował Kitt.

- Dzięki. Może skorzystamy.

- My? - Kitt trącił Rena łokciem.

- Pobieramy się, oświadczyłem się dzisiaj rano. Obiecałem jej, że ze mną będzie bezpieczna. Niestety, nie udało mi się dotrzymać słowa.

- Nie ponosisz za to winy, ale pozwól sobie powiedzieć, że lepiej by było, gdybyś zdecydował się wykończyć Gridleya.

- Też o tym pomyślałem. Ta wyspa jest za mała dla nas dwóch. Emma i ja nie możemy tu zostać, jeśli on zostanie. Gridley nie jest normalny. Zamierzam oskarżyć go o podpalenie.

- Uważam, że powinieneś. Zasięgnąłem języka, jak ci obiecywałem. Sędzia nie siedzi w kieszeni Gridleya. Mieli nawet przed laty ze sobą na pieńku. Możesz liczyć na sprawiedliwy proces. Postaram się odszukać tego faceta z hotelu. Dobrze by było, gdybyś mógł znaleźć w papierach Merrimore'a coś, co rzuciłoby światło na motywację Gridleya.

- Mam już coś. - Ren powiedział Kittowi o dzienniku kuzyna. - A na pewno znajdzie się coś więcej.

- Wiem, że chcesz postąpić zgodnie z prawem, Ren, i to jest do zrobienia. Co by jednak szkodziło postraszyć Gridleya? Podejrzewam, że uciekłby, gdybyś go solidnie przycisnął. A niewykluczone, że Devore zabrałby się razem z nim. Pozostali nie stanowią problemu. Prowodyrami są ci dwaj.

Było w tym wiele racji. Ren zgromadzi dowody, przedstawi je Gridleyowi i niech on sam postanowi, co powinien uczynić. Przemyśli tę ewentualność podczas bezsennej nocy, którą zamierzał spędzić przy łóżku Emmy. Poskłada jej zburzony świat w całość. Tak, robi to.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Gorączka nie spadała. Nazajutrz wzrosła. Napar z kory wierzbowej i zimne okłady nie podziałały. Kiedy Emma się budziła z niespokojnego snu, Ren próbował poić ją herbatką i rosołem, a jednocześnie zająć opowiadaniem o tym, co dzieje się na plantacji, ale ona przyjmowała jego opowieści z apatią.

- Może zaczęłabyś myśleć o przygotowaniach do ślubu - podjął ostatnią próbę obudzenia jej zainteresowania. - Jaką suknię włożysz? Z jakich kwiatów ma być wiązanka ślubna? Za miesiąc o tej porze będziemy mężem i żoną.

Ren pragnął tego goręcej niż podniesienia Sugarlandu z popiołów, nawet bardziej niż zemsty na Arthurze Gridleyu. Pogłębiało to frustrację wynikającą z faktu, że wciąż nie udawało się zbić gorączki trawiącej Emmę.

- Nie, Ren, nic z tego - odparła zdławionym głosem, opuszczając bezsilnie głowę na poduszkę. Bardziej niż ton Rena zmartwiły jej słowa. - Gridley nigdy nie zostawi nas w spokoju. Nie będziesz ryzykował. On ci nie daruje, będzie cię prześladował aż do skutku.

- Dam sobie radę z Gridleyem, Devore'em, a jak zajdzie potrzeba, i z resztą. Oni nie będą decydowali o twoim szczęściu.

- Nie dopuszczę do tego, Ren. Zwalniam cię z danego słowa - powiedziała gasnącym głosem. Zamknęła oczy. Wysunęła dłoń z jego dłoni. - Ren - szepnęła tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Tak, Em? - Nachylił się nad nią z uśmiechem, który maskował jego rozpacz.

- Kocham cię.

- Ja też bardzo cię kocham. - Ucałował ją, niepewny, czy go dosłyszała.

Uzmysłowił sobie, że te słowa wyszły z jego ust po raz pierwszy. Nie tylko wobec Emmy, lecz w ogóle wobec kobiety. Nagle zaczęło mu bardzo zależeć na tym, żeby ona je usłyszała i by wiedziała, że jest pierwszą i jedyną kobietą, która wzbudziła w nim miłość. Kochał ją i to uczucie stanowiło sens jego istnienia.

- Emmo? - Potrząsnął nią lekko za ramiona, żeby oprzytomniała. Nie było żadnej odpowiedzi, żadnej reakcji, nawet fizycznego oporu przeciwko dotykaniu. - Em, powiedz coś.

„Zwalniam cię z danego słowa, nie dopuszczę do tego, nie będziesz ryzykował” - dzwoniły mu w uszach te zdania. Ona go do tego nie zmusi... ale ona może... Nie! Oblał go zimny pot. Zrozumiał, w jaki sposób miała go zwolnić z obietnicy małżeństwa. Czują, że odchodzi, gorączka ją pokonuje.

- Emmo! Zostań, słyszysz?! - Ren nie zdawał sobie sprawy z tego, że krzyczy. - Tracimy ją! - zawołał do wchodzących do pokoju Hattie i Kitta. - Dawaj pistolety, Kitt! Jedziemy do Gridleya. Zrobimy z nim koniec.

Dzisiaj wszystko się zakończy w taki czy inny sposób. Jedynie wiadomość, że Gridley już im nie zagraża, może utrzymać przy życiu Emmę.

Spojrzał z rozpaczą na ukochaną.

- Wrócimy za parę godzin, Hattie. Nie pozwól jej odejść.

Po kilku minutach kopyta ich koni dudniły na podjeździe, a chwilę potem na gościńcu. Każdy z nich miał po dwa pistolety. Kitt nie zadawał pytań, za co Ren był mu wdzięczny, gdyż nie potrafiłby na nie odpowiedzieć. Wiedział jedynie, że los Emmy jest związany z losem Gridleya. Nie może być tak, że ona umrze, a ten drań będzie cieszył się życiem. Ren pojął, po co wezwał go na wyspę kuzyn Merrimore. Miał uwolnić Emmę z rąk złego człowieka, i on to uczyni.

Zostawili konie przed domem, żeby były gotowe do odjazdu. Wspinając się po frontowych schodach, wyjęli pistolety z olster. Widząc broń, służący schodzili im z drogi.

- Gdzie Gridley? - zapytał Ren jednego z nich, którego zapamiętał z wieczoru, kiedy był tu na prośzonej kolacji.

Służący wahał się, więc Ren pomachał mu pistoletem przed nosem.

- W gabinecie, drugie drzwi po lewej - wyjąkał zapytany.

- Na lojalność nie ma to jak nabity pistolet - rzucił Kitt.

- Panowie! - zawołał za nimi sługa. - On nie jest sam. Trwa spotkanie.

- Tego już nie musiał mówić, nie był na muszce - zauważył Ren.

- Nie jest tajemnicą, że pracownicy Gridleya nie przepadają za nim - odparł Kitt.

- Jak zamierzasz tam wejść?

- Z zaskoczenia.

Devore walczyłby, gdyby mógł, ale został unieszkodliwiony przez Kitta i może go nawet nie być. Gridley na pewno będzie walczył. Co do reszty, nie wiadomo.

- Będzie ich pięciu, nie więcej. - Ren przypomniał sobie, jak opisała mu tę grupkę Emma. - To dranie bez zasad. Możliwe, że zwrócą się nawzajem przeciwko sobie, żeby uratować skórę.

Uwagę przyjaciela Kitt przyjął do wiadomości skinieniem głowy.

- Ja zajmę się drzwiami, ty wparuj do środka - powiedział i z całej siły kopnął drzwi, aż wyskoczyły z zawiasów.

Ren wpadł do pokoju, wymierzył pistolet w Eliasa Blakely'ego, najśłabsze ogniwo. Niewykluczone, że stchórzy w obliczu siły, zwłaszcza jeśli w grę będzie wchodził jego majątek.

- To ty dokonałeś podpalenia? - Ren doskonale wiedział, że to nie on, ale liczył na to, iż Elias przestraszy się oskarżenia.

- Nie, to oni. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

- Ale wiedziałeś, że to planują? - przycisnął go do muru Ren.

Blakely zorientował się ponieważ, że popełnił błąd. Chcąc się bronić, wplątał się jako współnik.

- A ty, Cunningham? - Ren wykonał obrót. - Ty podłożyłeś ogień?

- Dość tego - wmieszał się Gridley, sięgając pod stół.

Ren odwrócił się w jego stronę, ale Kitt był szybszy, już mierzył do Gridleya.

- Dość czego? - zapytał zimnym głosem Ren. - Pogawędki z twoimi przyjaciółmi? Boisz się, że cię wkopią i powiedzą, że ty i Devore podłożyliście ogień, próbowaliście zgwałcić Emmę, a mnie zabić? - Był wściekły. Gdyby to jego pistolet był wymie-

rzony w Gridleya, drań już by nie żył.

- Powiedziałaś, że nie będzie więcej zabójstw. - Cunningham zwrócił się do Gridleya. - Uprzedzałem, że to zbyt ryzykowne.

Ren wziął Cunninghama na muszkę.

- Nie będzie więcej zabójstw? Co to znaczy? Mów, masz trzydzieści sekund.

Wiedział, o co chodzi, ale chciał, żeby Kitt to usłyszała. Czyniłoby go to dodatkowym świadkiem poza nim i Emmą, gdyby doszło do rozprawy w sądzie.

- Chodzi o Merrimore'a. I tak umierał. Miał najwyżej dwa dni życia. Gridley myślał, że on zmienił testament i zapisał mu Sugarland. Bał się, że stary jeszcze raz zmieni zdanie, zanim ostatecznie odejdzie.

- Jesteś skończony, Cunningham. - Posiniały z wściekłości Gridley próbował unieść się z krzesła, ale przypomniał sobie o pistolecie Kitta wymierzonym w jego klatkę piersiową.

- Ty też - przypomniał mu Ren. - Emma rozchorowała się przez ciebie. Uwolnię tę wyspę od ciebie i tobie podobnych, by zrobić jej przyjemność. Morderstwo, podpalenie, usiłowanie gwałtu i kolejnego morderstwa - lista jest długa i mamy świadków. Jestem pewny, że sąd obejdzie się łaskawie z tymi, którzy pomogą nam cię skazać.

Gridley zdawał sobie sprawę, że jest na straconej pozycji, ale nie zamierzał się poddać.

- Elias lubi mężczyzn, im są młodszy, tym lepiej. Prawda, Elias? Nie chciałbyś, że bym wywlekł to w sądzie. Zdyskredytowałbym cię jako świadka. A ty, Miles? Od roku starasz się sprzedać plantację. Powiedziałbym w sądzie, że Dryden obiecał kupić ją od ciebie w zamian za małe krzywoprzysięstwo.

- To nieprawda! - zbulgotał Miles.

- A kto to wie? Nawet cień wątpliwości podważy twoje zeznanie. Co do ciebie, Cunningham, oświadczę, że o wszystkim wiedziałaś i na wszystko się godziłaś, gdyż zależało ci na utworzeniu kartelu cukrowego, a świadectwem w sądzie starasz się uratować skórę.

- Chcesz zaryzykować i stanąć przed sądem? - zapytał Ren. Walczył z sobą, żeby nie ulec rozsadzającej go wściekłości na myśl o tym, że Emma umiera przez tego łajdaka.

- Jasne, że nie będę siedział i czekał, aż mnie zastrzelisz z powodu tej dziwki Merrimore'a.

- Wyjedź - rzekł Kitt. - Mogę udostępnić ci łódź. Dostaniesz dwanaście godzin na opuszczenie wyspy. Możesz popłynąć, dokąd zechcesz, pod warunkiem że tu nigdy nie wrócisz. Nie będzie żadnej sprawy sądowej, jeśli wyniesiesz się po cichu.

- Nie radziłbym jednak udawać się do Anglii - uprzedził Ren. - Wysłałem już listy do wpływowych przyjaciół i rodziny, w których opisałem wasze wyczyny. Nie oczekujcie dobrego przyjęcia.

- Zrujnowałeś nas! - wrzasnął Cunningham.

Ren nie potrafił ocenić, czy odnosiło się to do niego, czy do Gridleya.

- Mam zacząć strzelać, Ren? - zapytał Kitt. - Oni chyba ciągle nie mogą się zdecydować. Strzaskalem już kolano Devore'owi, to może tym razem przestrzelę im łokcie? A może któryś woli dostać w jaja?

- Wyjadę! - zawołał Miles. - I tak miałem taki zamiar. Tylko co z plantacją? Chyba nie oczekujecie, że ją zostawię? To mój jedyny majątek.

- Owszem, oczekujemy - oznajmił Ren. - Byłeś za bardzo zachłanny. Weź, co zdołasz unieść, i uważaj się za szczęśliwca. Twoja plantacja się nie zmarnuje. Słyszałem, że na Barbados brakuje ziemi dla tych, którzy na niej pracowali jako niewolnicy, a teraz chcieliby ją uprawiać jako wolni ludzie.

- Nie oddasz tej ziemi niewolnikom! - krzyknął Gridley.

- Oddam. Niewolnictwo zostało zniesione przed dwoma laty, tylko w twoich posiadłościach ludzie tego nie odczuli. Wciąż traktujesz ich jak niewolników.

Tego było Gridleyowi za wiele. Zerwał się z miejsca i skoczył na Rena. W jego dłoni błysnął nóż. Musiał ukrywać go cały czas w rękawie. Ren uchylił się w bok, ostrze chybiło o włos. Gridley zaatakował ponownie. Z takiej bliskiej odległości Renowi trudno było celować do niego z pistoletu, chociaż wiedział, że musi oddać strzał. Albo on przeżyje, albo ten drań.

Gridley atakował z dziką furią. Renowi udało się wziąć go na cel. Zanim nacisnął spust, rozległ się strzał. Gridley skurczył się, krzycząc, następnie upadł na podłogę. Wystrzeliłem? Ren sprawdził lufę. Nie była osmolona, nie śmierdziała dymem. Spojrzał na Kitta i podążył śladem jego spojrzenia utkwionego w Cunninghamie.

- Zawsze noszę go przy sobie - wyjaśnił Amherst Cunningham, wkładając niewielki pistolet do kieszeni z takim spokojem, jakby była to najzwyczajniejsza codzienna czynność, po czym wyszedł z pokoju. Blakely i Miles podążyli za nim ze zwieszonymi głowami.

Emma miała rację, kiedy z pogardą wyrażała się o morale tych ludzi, pomyślał Ren. Tracił czubkiem buta nieruchome ciało Gridleya.

- Wiem, że dużo od ciebie wymagam, Kitt, ale czy mógłbyś zostać i dopilnować dokończenia tych spraw? Pojadę do Emmy. Niech się dowie, że już po wszystkim.

Już po wszystkim. Na Emmę spłynął nieznany do tej pory spokój. Odchodziła. Było jej dobrze, chłodno. Skończyły się wszystkie zmartwienia, nie musi już o nic walczyć. Nic nie musi. I jak pusto wokół niej.

To ją zastanowiło. Nie powinno być tak pusto. Poczucie, że coś jest nie w porządku, zakłóciło jej spokój. Czegoś brakuje. Ren. Powinien tu być. Nie, przecież go wysłała do Anglii. Dlaczego? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Otaczająca ją pustka wcale nie tchnęła ukojeniem. Emmę męczyło, że o czymś zapomniała, o czymś bardzo ważnym, o czym nie powinna zapominać.

Wyteżyła pamięć. Przypomniała sobie... bo Gridley go zabije. Nie spocznie, dopóki jej nie zniewoli. A ona kocha Rena za bardzo, żeby pozwolić mu umrzeć dla niej... Dlatego ona umrze dla niego. Tak wygląda umieranie?

„Emmo!” Ktoś ją woła. Nie, nie ktoś. To woła on, Ren. „Emmo!” Znowu woła. Nie przesłyszała się. Jak dobrze znowu usłyszeć jego głos. Silne palce chwytają jej dłoń. Jeszcze raz czuje jego dotyk. Nie liczyła na to, nie miała nadziei. Jakie to szczęście, że on jest przy niej w tej ostatniej chwili. „Emmo!” Głos jest natarczywy, ponaglący. Ciszę rozdzierają słowa:

- Emmo, Gridley nie żyje. Cunningham go zastrzelił. Nie skrzywdzi ani ciebie, ani mnie. Jesteśmy bezpieczni. Nie musisz dla mnie umierać. Wracaj, najukochańsza,

już po wszystkim.

Emma splótła palce z palcami Rena. Skupiła uwagę na płynących ku niej słowach: „Dom, dzieci, rodzina”. Dawno temu utraciła nadzieję, że to kiedykolwiek będzie dla niej osiągalne. Już nie musi walczyć z wrogami, teraz będzie walczyć o swoje szczęście. O ile to przyjemniejsze.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała Rena leżącego obok niej. Trzymali się za ręce. Nie zdziwiła się. Czuła jego bliskość na długo przed tym, zanim się obudziła. Uśmiechał się do niej zniewalająco. Na policzku dostrzegła dołek, który ją urzekł już pierwszego dnia, kiedy się spotkali.

- Witaj, śpiąca królewno - odezwał się.

- Jesteś gotowy? - zapytała.

- Gotowy do czego?

- Rozpocząć nasze wspólne życie.

Teraz, kiedy wszystko było już postanowione, nie chciała z tym zwlekać. Zrozumiała, co miał na myśli Ren owej nocy, gdy jej obiecywał, że będzie ją wielbił do końca życia.

- Jak tylko wstaniesz z łóżka.

Pocałował ją delikatnie. Emma poczuła zbierające się pod powiekami łzy. Jak niewiele brakowało, żeby zrezygnowała. Była tego bliska.

- Jak wstanę z łóżka? - Roześmiała się. - A ja myślałam, że łóżko jest tym miejscem, gdzie spotka mnie wszystko, co najlepsze.

- Ty figlarko. - On też się roześmiał, zaraz jednak spoważniał. - Em, nigdy więcej mnie nie zostawiaj. Obiecujesz? Nie chcę już nigdy tak się bać.

Spojrzała na ich splecione dłonie. Miała mu mnóstwo do powiedzenia na temat swoich uczuć, lecz brakowało jej słów, aby wyrazić wszystkie przepełniające ją emocje.

- Dziękuję ci, Ren - szepnęła drżącym głosem.

Wiedziała, że on zrozumie, co kryją te trzy proste słowa, albowiem znał ją bardzo dobrze i kochał. Czy jakakolwiek kobieta może marzyć o czymś więcej?

EPILOG

Czy może istnieć szczęśliwszy od niego mężczyzna? Ren Dryden nie potrafił myśleć o niczym innym, czekając na przyszłą żonę u stóp ołtarza kościoła św. Michała Archanioła. Towarzyszący mu Kitt Sherard, ubrany w elegancki żakiet i spodnie, flirtował z jakąś ładną dziewczyną w pierwszym rzędzie ławek.

Kościół był pełny, chociaż Ren osobiście znał tylko nieliczne osoby siedzące w ławkach. Oni go jednak znali, przynajmniej ze słyszenia. Przyszli, żeby oddać jemu i Emmie hołd za to, co zrobili dla lokalnej społeczności. Dzięki ich staraniom porzuczone plantacje zostały rozparcelowane na mniejsze gospodarstwa i nadane wyzwolonym z niewoli robotnikom, którzy kiedyś na nich pracowali na rzecz dawnych właścicieli. Ludzie pozbawieni nadziei na samodzielne gospodarowanie na roli, zarówno czarni, jak i biali, uzyskali taką szansę i przyszli wziąć udział w uroczystości ślubnej.

Otworzyły się drzwi kościoła. Ren utkwiał wzrok w zbliżającej się do ołtarza Emmie. Promienie słońca prześwietlały welon i lśniły na perełkach ponaszywanych na suknię. Panna młoda wybrała biały kolor, nietypowy i niepraktyczny, ale zależało jej na bieli. Biel ucieleśniała nowy początek i nikt bardziej od Emmy nie rozumiał znaczenia tego symbolu.

Renowi było wszystko jedno. Emma wyglądałaby pięknie w każdym kolorze. Musiał jednak przyznać, że efekt bieli przy jej czarnych włosach był olśniewający. Kiedy jej krok przybliżał do niego przyszłość, o której dawniej mógł tylko marzyć. Kiedy podeszła bliżej, wyciągnął do niej rękę, przygarnął do siebie i uniósł w górę welon. „Kocham cię” – odczytał z ruchu ust Emmy. W jej oczach błyszczały łzy.

Rozpoczęła się uroczystość. Były modlitwy, odśpiewano hymny, nowożeńcy złożyli przysięgę ślubną, wymienili obrączki. Wcześniej w obecności świadków podpisali akt ślubu, i to było dla nich najważniejsze. Jeszcze wcześniej przespacerowali się na kościelny cmentarz, gdzie odwiedzili grób Alberta Merrimore'a. Złożyli wiązkę kwiatów i w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, tak jak teraz przed ołtarzem, łączyli się w myślach ze swoim dobroczyńcą, bez którego pomocy nie odnaleźliby się w wielkim świecie.

Nabożeństwo dobiegło końca. Biskup przypomniał im o jeszcze jednej formalności.

Ren zniżył głowę, żeby ucałować swoją świeżo poślubioną żonę.

- Ach, te Karaiby, kraina ryzyka, rumu i miłości.

Emma uniosła błyszczące oczy i odpowiedziała z uśmiechem:

- Zwłaszcza miłości.

[1] Falernum - słodki, wonny napój z dodatkiem między innymi rumu i limonki, charakterystyczny dla tropików (*przyp. red.*).

[2] Melasa - gęsty syrop, produkt uboczny powstający przy produkcji cukru trzcinowego, tzw. czarne złoto; wykorzystywany do produkcji najlepszych rumów (*przyp. red.*).

Tytuł oryginału: Playing the Rake's Game
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2015
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2015 by Nikki Poppen
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-2225-9

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Epilog
Strona redakcyjna